

Grayson Emily

Altanka



Przez pół wieku raz do roku pewien mężczyzna i pewna kobieta spotykają się w altance na skwerze małego miasteczka w stanie Nowy Jork. Dlaczego? Martin Rayfiel i Klara Swift, jako bardzo młodzi ludzie, buntują się przeciw małomiasteczkowej moralności, poczuli wszystko i wspólnie podróżowali po Europie. On marzył o karierze sławnego na cały świat szefa kuchni, ona pragnęła zostać rzeźbiarką. Nagłe wydarzenia zmusiły Klarę do powrotu. Przed rozstaniem przyrzekli sobie jednak, że niezależnie od okoliczności raz do roku będą się spotykać w altance w swoim rodzinnym mieście.

1

Siwowłosey mężczyzna stał w drzwiach pokoju, zanim go spostrzegła. Nie umiała powiedzieć, jak długo czekał. Kiedy w pewnej chwili Abby podniosła wzrok, on tam po prostu był, zjawiając się bez pukania. Nie zapytał o nią przy wejściu do redakcji, bo ktoś by ją powiadomił. Nie poprosił o wskazanie drogi do jej pokoju, bo ktoś by go odprowadził. Zwyczajnie odnalazł ją, jakby znał to miejsce, a potem stał, jak gdyby zamierzał czekać w nieskończoność.

- Tak? - zapytała Abby, pochylając się z powrotem nad pracą przy biurku.

- Przepraszam, że przeszkadzam - odezwał się mężczyzna - ale mam coś, co mogłoby panią zainteresować.

- Proszę wybaczyć, ale jestem bardzo zajęta. - Abby nadal czytała wydruk strony korekty i wprowadzała poprawki na komputerze stojącym z boku biurka. Nie chciała wydać się niegrzeczna, ale to była przecież gazeta; obowiązki-

wały terminy. Pojawiając się bez zapowiedzi w biurze redaktora, nie można się spodziewać jego niepodzielnej uwagi. - Więc - odezwała się, sprawdzając wpisane słowa - czy to może poczekać?

- Niestety, nie - odparł.

Zerknęła na niego. Człowiek stojący w progu jej pokoju miał na sobie lekką, lnianą marynarkę i stawał właśnie na podłodze bardzo zniszczoną, lecz solidnie wykonaną aktówkę. Nie wyglądał na osobę miejscową, lecz nie mogła mieć co do tego pewności. Abby zawahała się, a potem wróciła do pracy.

- To zajmie tylko chwilę - ciągnął mężczyzna. - Pani nazywa się Abby Reston, prawda?

Przytaknęła, nie podnosząc wzroku.

- Chciałbym, żeby poznała pani pewną historię - powiedział. - Coś, co może zechce pani wydrukować w „Kronice”. Sądzę, że to opowieść, która zainteresuje ludzi.

Tego właśnie się spodziewała. Od połowy ubiegłego stulecia „Kronika” była instytucją lokalnej społeczności i odkąd przed sześciu miesiącami Abby przejęła jako redaktor prowadzenie firmy, często otrzymywała od wiernych czytelników propozycje jakiegoś „cudownego” artykułu: o zgubionych obrączkach, śmierci ukochanego sznaucera, o sąsiedzkich niesnaskach. Zazwyczaj to, co ktoś uważał za doskonale nadające się do gazety, okazywało się zbyt osobiste, zbyt partykularne, czy po prostu nie dość interesujące.

- Powinien pan porozmawiać z jednym z naszych reporterów - odpowiedziała Abby. - Mogę pana skontaktować z ...

- Nie - odrzekł mężczyzna, przerywając jej. Abby ponownie podniosła wzrok.

- To historia, która powinna trafić do kogoś, kto rzeczywiście umie pisać. Uważam, że to powinna być pani

kontynuował. - Może mógłbym ją opowiedzieć, a wtedy pani zdecyduje. Spojrzała na ekran monitora, na którym niecierpliwie błyskał kursor, a potem na nieruchomego mężczyznę w proggu.

- Jeśli w jednym czy dwóch zdaniach potrafi pan powiedzieć, o czym to jest - powiedziała.

Mężczyzna skinął głową.

- To opowieść o miłości - odparł.

- No cóż, tych możemy jeszcze trochę wykorzystać w naszym świecie - zgodziła się Abby. Oparła się o fotel.

- To o mnie - ciągnął. - Och, przepraszam, nawet się nie przedstawiłem. Nazywam się Martin Rayfiel.

Zdawał się badać jej twarz, poszukując reakcji. Lekko potrząsnęła głową i delikatnie wzruszyła ramionami. - Czy powinnam znać pana?

Uśmiechnął się, niemal do samego siebie.

- Właściwie nie - powiedział. - Tylko kiedyś to nazwisko budziło w tych stronach określoną reakcję. - Potem wyprostował się, przechodząc do rzeczy. - Postaram się skracać. - Wziął głęboki oddech i zaczął. - Co roku o zmierzchu dwudziestego siódmego maja spotykam się z kobietą, którą kocham, w altance na skwerze tego miasta. Tylko w tym dniu możemy być razem. - Wskazał głową w kierunku dużego okna w pokoju Abby. Odwróciła się w fotelu, żeby podążyć za jego wzrokiem na drugą stronę ulicy ku miejskiemu skwerowi, a przez skwer ku altance, w której siedział mały chłopczyk z mamą, niechętnie poddając się jej wysiłkom wytarcia mu buzi wilgotną serwetką.

- Raz w roku - powtórzyła Abby, a on przytaknął. Więc to nie żona, pomyślała Abby. Kochanka? Ale w takim razie po co by jej o tym opowiadał? I dlaczego prosił ją, by powiedziała światu - czy choćby Longwood Falls? Udało mu się pobudzić jej ciekawość, ale Abby wiedziała, że to jesz-

cze o niczym nie świadczyło; ciekawość była częścią jej pracy. Chodziło raczej o to, czy innych zainteresuje to, wyraźnie prywatne, coroczne wydarzenie. Abby zerknęła na swój kalendarz na biurku.

- Jutro jest dwudziesty siódmy - zauważyła. Jeszcze raz kiwnęła głową. - Klara i ja spotykaliśmy się dwudziestego siódmego maja w tej altance od dość długiego czasu. Właściwie, robiliśmy to przez pięćdziesiąt lat. I nie opuściliśmy ani jednego roku.

Pięćdziesiąt lat. Abby Reston właśnie skończyła trzydzieści pięć; trudno jej było wyobrazić sobie tak długie życie, a tym bardziej obdarzanie kogoś miłością przez tak długi czas. Jeszcze raz popatrzyła na tego mężczyznę, uważnie, jakby po raz pierwszy. Martin Rayfiel nie należał do ludzi młodych, lecz jego powierzchowność była frapująca i w pewien sposób młoda. Włosy miał dość długie, poprządkane siwizną, odgarnięte z czoła jakby niecierpliwą ręką. Prawdopodobnie skończył już dość dawno sześćdziesiątkę; musiał być mniej więcej w wieku, w jakim byłby jej ojciec, jak sobie zdała sprawę. Spróbowała wyobrazić sobie Martina Rayfiela jako znacznie młodszego, gdy siwe włosy były zupełnie czarne, pociągłe rysy nie pocięte zmarszczkami, a smukłe dłonie dotykały twarzy młodej kobiety - kiedy usiłowała wyobrazić go sobie jako młodego, zakochanego człowieka, napłynęło wspomnienie twarzy ojca. A potem szybko znikło, bo Abby nie potrafiła sobie wyobrazić ojca, niezależnie od tego, jak bardzo kochał jej matkę aż do chwili swojej śmierci przed siedmiu miesiącami, w okowach czegokolwiek przypominającego namiętność.

- Przepraszam? Abby? - To była Kim, sprzedawczyni ogłoszeń i recepcjonistka w jednej osobie, która nagle pojawiła się w drzwiach za Martinem Rayfielem. Była niewy-

soką, pijącą zbyt dużo kawy, młodą kobietą w różowej opasce na głowie i przestępowała z nogi na nogę. Martin odsunął się, a Kim powiedziała:

- Muszę mieć te makiety dziś po południu, pamiętasz? W tej chwili Abby za nic nie mogła sobie przypomnieć, o jakich makietach mówi Kim, ale zaraz przeprosiła ją i powiedziała, że oczywiście za chwilę będzie gotowa.

- Przykro mi - zwróciła się teraz do Martina. - Chciałabym usłyszeć ciąg dalszy, ale ... - wskazała na Kim, komputer i posłusznie czekający kursor.

- Nic nie szkodzi - powiedział cicho Martin Rayfiel.

-Przypiszemy to po prostu brakowi wyczucia czasu z mojej strony. - To także zdawało się bawić go w jakiś tajemniczy, osobisty sposób. - No cóż, dziękuję. W każdym razie próbowałem. Była pani niezwykle łaskawa i doceniam to. - Skinął głową, a potem podniósł aktówkę i wyszedł z pokoju, usuwając się równie cicho, jak poprzednio wszedł.

Abby miała ochotę go zawołać, ale co by mu powiedziała? Nawet gdyby znalazła czas na wysłuchanie opowieści do końca, i tak nie wiadomo, czy chciałaby ją opublikować w gazecie. A jednak nie wydawało się słuszne pozwolić odejść bez słowa temu mężczyźnie, który przez pół wieku przeżywał miłość, a teraz chciał o niej wszystkim opowiedzieć. Dopiero kiedy Kim rozłożyła na biurku papiery i wyszła z pokoju, Abby odwróciła się z powrotem do okna i obserwowała, jak Martin Rayfiel znika po drugiej stronie miejskiego placu i mija altankę bez jednego spojrzenia, zaś poły jego lnianego garnituru powiewają, jakby zwykły wiosenny wiatr mógł przenieść go do innego hrabstwa, wtedy dopiero Abby zrozumiała, że chciała go zawołać.

- Szczęśliwej rocznicy - powiedziała na głos.

Następnego dnia Abby Reston zajmowała się składaniem kolejnego wydania „Kroniki Longwood Falls”. Nadzorowała spotkanie personelu, napisała artykuł wstępny na temat debaty nad podatkami szkolnymi, zredagowała relacje reporterów, wypięła za dużo kawy, zapomniała zjeść lunch, zaradziła popołudniowemu niedoborowi cukru we krwi dwoma batonami migdałowymi, powyrzucała sobie trochę odżywianie się słodyczami zamiast sałatką, którą rano zostawiła w małej lodówce, i wreszcie, punktualnie o godzinie piątej po południu, przycisnęła klawisz komputera, który posłał wydanie gazety z 28 maja 1999 roku na drukarkę i w świat.

Co oznaczało, że właśnie był 27 maja. Abby wstała od biurka, wyciągnęła ręce nad głowę, czując, że coś ją w środku lekko ponagla i nurtuje. Przez cały dzień jej myśli zaprzętał tajemniczy mężczyzna, który poprzedniego dnia złożył jej wizytę. I myślała o tym jednym dniu w roku, kiedy z jakiegoś powodu on i kobieta o imieniu Klara mogli się widywać. Rzuciła okiem przez okno na białą altankę w oddali, jakby Martin i Klara mogli się tam nagle zmaterializować. Wtedy przypomniała sobie: o zmierzchu, tak powiedział. Jeszcze niezupełnie zmierzchało, ale nawet gdyby Abby nie wiedziała właściwie, co miała nadzieję zobaczyć za oknem poza dwojgiem zakochanym ludzi - niezupełnie niecodziennym widokiem na trawniku miejskiego skweru.

Wstała więc i wyszła z biura, szybko mijając trzy ulice dzielące ją od małego domku przy Adler Lane. Za luksus uważała możliwość zobaczenia się z córeczką w ciągu dnia pracy - nigdy nie mogła sobie na to pozwolić, będąc redaktorem czasopisma w Nowym Jorku. Teraz weszła do domu, gdzie sześćioletnia Miranda siedziała przy stole kuchennym, a gospodyni, pani Frayne podawała jej talerz z kawałkami kurczaka.

- Mamusia! - ucieszyła się Miranda, podnosząc kawałek kurczaka, a potem przechyliła się przez stół, by objąć mamę. Abby wdychała słodycz córki: zapach mleka z czekoladą i owocowego szamponu dla dzieci. Miranda opowiadała o szkole, a Abby słuchała. Klasa Mirandy była tego dnia na wycieczce w gospodarstwie mleczarskim i każde dziecko osobiście pociągnęło za wymiona nieświadomej tego wydarzenia krowy, o czym właśnie Miranda gawędziła. Abby siedziała pochylona do przodu, opierając się łokciami o kolana, jakby chciała zapamiętać tę małą buzię na długi wieczór, czekający ją w biurze. Miranda odziedziczyła koloryt po swoim ojcu - brązowe włosy w odcieniu sierści irlandzkiego setera i ciemnobrązowe oczy. Dziwną karą dla Abby było przypominanie sobie o Samie za każdym razem, kiedy patrzyła na Mirandę, ale nie dało się tego uniknąć. Nigdy nie sądziła, że samotne wychowywanie dziecka będzie łatwe, nie zdawała sobie jednak sprawy z tego, jak trudno będzie nieustannie zostawiać Mirandę. Wciąż następowały pożegnania: kolejne spotkanie, które Abby musiała poprowadzić, następny termin końcowy. Równie źle było w Nowym Jorku, a jedyna pora, kiedy miały szansę naprawdę być razem, przypadła w weekendy albo w nocy, po wyjściu pani Frayne do mieszkania wynajmowanego dwie ulice dalej. Wtedy wyciągały się na wielkim łóżku Abby i długo rozmawiały. Abby zaplatała włosy Mirandy i cicho jej czytała. Nie wyobrażała sobie większej przyjemności. Ale teraz miała ledwie krótką chwilę, by pochwycić córkę w przelocie, usłyszeć, jak minął jej dzień, a potem trzeba było wracać do redakcji. Dotknęła ramienia córeczki i zebrała się do wyjścia.

- Do zobaczenia, mamusiu - powiedziała Miranda, uśmiechając się, a potem natychmiast pogrążyła się w czytaniu książki o dziewczynce i jej kameleonie.

- Aha, Abby - odezwała się pani Frayne. - O mało bym zapomniała. Ktoś dzwonił do pani z Nowego Jorku, powiedział, że ma na imię Nick i że chciał tylko panią pozdrowić i sprawdzić, jak się miewacie z Miranda.

- Nick, pan doktor? - zapytała Miranda, podnosząc wzrok i wyglądając na zaciekawioną, a Abby przytaknęła.

Odkąd przeprowadziły się do Longwood Falls, Nick Kelleher zostawił kilka wiadomości, a dwa razy rozmawiali ze sobą krótko, informując się na bieżąco o swoim życiu, odrobinę zalotnie. Nigdy go jednak nie zachęcała, nigdy nie dała poznać, że jest nim zainteresowana. On mimo to wciąż, z jakiegoś powodu dzwonił.

- Ma miły głos - odezwała się pani Frayne w zamyśleniu.

- Jest miły - powiedziała Abby, a potem odwróciła się i skierowała do drzwi, nagle ucinając rozmowę. - Do zobaczenia później - pożegnała się z gospodynią i córką, nim zdążyły powiedzieć coś więcej o Nicku.

Jednak w drodze powrotnej do redakcji, kiedy niebo szarzało, a dzień pracy kończył się dla większości ludzi, choć nie dla niej, gdy niemal nastawał zmierzch, Abby zatrzymała się na trawniku. To prawda, że musiała wracać do pracy, ale może to właśnie była praca; przypomniała sobie: historia, do której napisania została zaproszona, opowieść o Martinie Rayfielu i kobiecie o imieniu Klara, opowieść o miłości, jak powiedział.

Abby wybrała ławkę w pobliżu altanki - nie tak blisko, by przeszkadzać, ale też dość blisko, aby móc obserwować. .. Co? Ponowne spotkanie? Randkę? Altanka wyglądała na mało prawdopodobne miejsce czegoś zakazanego: otwarta i przewiewna, i co najmniej trochę staro-świecka. Ale może właśnie dlatego ją wybrali. Kto mógłby podejrzewać, że dwoje ludzi spotykających się w naj-

bardziej publicznym miejscu miasta próbuje coś ukrywać?
Rzeczywiście, kiedy się teraz nad tym zastanawiała, zrozumiała, jak mało zwracała uwagi na tę altankę. Ona tam po prostu była. Nigdy dotąd nie śledziła delikatności jej architektury, imbirowego drewna pomalowanego na biało - ośmiokąta, zauważyła, licząc - czyli dachu zbiegającego się u szczytu, który odcinał się na tle nieba. Taka mało znacząca budowla, a jednak najwidoczniej posiadała duże znaczenie dla co najmniej dwojga ludzi.

Abby oparła się o ławkę i rozpoczęła czuwanie. Zobaczyła ciężką, starszą kobietę w swetrze i zbyt jaskrawym makijażu i miała nadzieję, że to nie Klara. To nie była ona, kobieta poszła dalej. Dobrze, pomyślała Abby. Potem zbliżyła się następna kobieta, ruda, ładna, w dresie zapinanym na suwak. Usiadła w altanie, lecz wyglądała zbyt młodo, by mogła się spotykać z Martinem przez pięćdziesiąt lat. Po chwili przyłączyły się do niej dwie inne koleżanki, obie w strojach do biegania, wszystkie trzy wstały, wykonały kilka ćwiczeń nóg i pobiegły} razem. Później już nikt nie zbliżał się do altanki.

Wokół placu rozbłysły naraz wszystkie latarnie uliczne, a po nich stare lampy wzdłuż alejek skweru. Miejsce było malownicze, jak całe Longwood Falls: na wiele sposobów sielankowe, bezpieczne i intymne, nieco teatralne, pełne zieleni, stawów, krętych dróg ogrodzonych niskimi płotami. A przecież to nie wystarczyło, by ją tu zatrzymać. Podobnie jak wiele jej koleżanek, w lecie po skończeniu szkoły średniej Abby Reston wsiadła do pociągu zmierzającego na południe, do Nowego Jorku, niemal bez żalu. Teraz wróciła. Kiedy zeszłej jesieni jej ojciec zmarł wskutek nagłego ataku serca, Abby wróciła do domu na

pogrzeb i żeby pomóc matce. Przyjechała z Mirandą i jej opiekunką, a planowane kilka dni zmieniło się w kilka miesięcy. Skończyło się na tym, że została, sprowadzając się tu z powrotem i przejmując pracę ojca jako redaktora „Kroniki”. Siebie, córkę, a nawet gospodynię, która i tak nie lubiła wielkiego miasta, ulokowała w tym zupełnie innym życiu. Jej współpracownicy mówili, że zbyt dużo pracuje, i oczywiście mieli rację. Część tej pracy stanowiła sama nauka, by przystosować się na nowo do rytmu małego miasteczka. W magazynie mody kobiecej na Manhattanie, gdzie pracowała jako redaktor, nagminnie zamykano biuro o północy, co dawało niejaki wytłumaczenie dla atmosfery sennego przyjęcia z pizzą i winem oraz narzekania i wyczerpania. Pani Frayne często musiała zostawać do bardzo późna w ich mieszkaniu, a Abby dawała jej na taksówkę i wysyłała do domu w środku nocy. - Za dużo pani pracuje - mówiła jej otwarcie gospodyni, zakładając płaszcz o pierwszej nad ranem, i tę uwagę różne osoby powtarzały raz po raz jak echo. Jednak takie podejście Abby do pracy było po części dziedziczne. Odziedziczyła tę cechę po ojcu i czasem, siedząc przy tym samym brzoźowym biurku, które Tom Reston zajmował przez czterdzieści lat, nie mogła przestać się zastanawiać, czy jej tata znajdował ulgę i pocieszenie w tym samym, co ona - w chwilach spokojnej pracy i cudownego nagromadzenia faktów.

To byłaby historia w jego typie. Abby czuła pewność, iż jej ojciec zamieściłby w gazecie opowieść o dwojgu kochankach spotykających się raz w roku przez pięćdziesiąt lat. On wiedział, co przemawia do społeczności. To, czy historyjka przemówiłaby do niego - czy sam potrafił rozpatrywać cokolwiek nie jako wydawca i redak-

tor gazety - pozostawało całkiem odrębną sprawą. Kiedyś Abby jako nastolatka zapytała swoją mamę:

- Kogo tata kocha bardziej, ciebie czy „Kronikę”?

- To dość skomplikowane pytanie - odpowiedziała jej matka po długiej chwili zastanowienia. - Sądzę, że kocha i mnie, i gazetę, tylko w inny sposób.

Odpowiedź zaskoczyła Abby. Spodziewała się, że mama powie coś upewniającego, w stylu: „No cóż, oczywiście mnie, ale twój tata ma czasem kłopoty z wyrażaniem swych uczuć”. Tymczasem matka postanowiła podać jej inną prawdę, pełniejszą, i robiąc to, udzieliła jej też ważnej lekcji: Nie zadawaj pytania, jeśli nie jesteś pewna, że chcesz poznać odpowiedź.

Pytanie, na które teraz o zmierzchu musiała sobie odpowiedzieć Abby, brzmiało: Czy chce zamieścić tę historię w gazecie?

Przyszła jednak posiedzieć na ławce w pobliżu altanki na skwerze również po to, by przekonać się, jaka jest jej osobista odpowiedź - nie jako wydawcy i redaktora, lecz jako czytelnika. Czy ta opowieść przemawiała do niej? Czy wywoływała oddźwięk? Czas mijał, a Klara i Martin nie pojawiali się, i teraz, przypuszczała Abby, nigdy się nie dowie.

Na miejskim skwerze było już ciemno. Słońce zsunęło się za szpaler drzew po zachodniej stronie placu, a potem za wystawy sklepowe. Martin powiedział jej, że nigdy, ani razu przez pięćdziesiąt lat nie opuścili żadnego spotkania w altance. Abby nie wiedziała, czy ma być poirytowana, czy zmartwiona.

Zastanawiała się nad wezwaniem policji, lecz o czym by im doniosła? Nawet nie znała żadnej z tych osób. Może jedno z nich było zajęte, powiedziało o tym drugiemu tego ranka i przełożyli spotkanie na inny dzień? Może się z nimi minęła? Zanim wróciła na skwer z domu, mogli już przyjść i pójść. A może cała ta sprawa to był tylko kawał? Ja-

koś jednak nie mogła w to uwierzyć. Przez ten krótki czas, kiedy Martin Rayfiel mówił do niej, wydawał się szczerzy, poważny i przekonujący: namiętny, wrażliwy mężczyzna.

Abby wstała i rozejrzała się dokoła. Została teraz sama. Sklepy okalające plac z czterech stron, już pozamykano, story opuszczono, wejścia zamknięto. Podeszła do pustej altanki, pokonała dwa białe schodki i usiadła w środku. Próbowała wyobrazić sobie Martina i Klarę, jak spotykają się tutaj, obejmują, siedząc na białych deskach. Potem zauważyła coś pod jednym z siedzeń, na pół ukryte. Abby pochyliła się do przodu, a potem przyklękła na jedno kolano, by to coś wydostać: aktówka. Wyciągnęła ją z cienia i postawiła na podłodze altanki. Była stara i zniszczona, lecz porządnie uszyta i wykonana z dobrej skóry, która wyraźnie przetrwała wiele lat. Przesunęła palcami po wytłoczonych literach monogramu: MR. To była aktówka Martina Rayfiela, ta sama, którą dzień wcześniej przyniósł do redakcji. Czy zostawił ją tutaj dla niej? A jeśli tak, to dlaczego? Rozejrzała się po skwerze; wciąż była sama. Wahala się jeszcze chwilę, potem sięgnęła do klamer. Zamknięcie łatwo odskoczyło i otworzyła teczkę.

Wypełniały ją różne przedmioty, trudne do rozpoznania w przyćmionym świetle latarni na skwerze, i żaden z nich nic dla niej nie znaczył. Przypominały zbiór rzeczy, jakie można znaleźć w komodzie na czyimś strychu: stare pocztówki, listy, karty dań z restauracji, wyblakłe fotografie, dawno zapomniane ozdoby.

Lekko wsunęła rękę, jakby obawiając się zakłócić jakiś niewidoczny porządek, aż jej palce trafiły na kilka kaset magnetofonowych ściągniętych grubą gumką. Chwyciła kasety, podniosła je, żeby wykorzystać światło pobliskiej latarni, aż udało jej się odczytać napis na pierwszej kasecie. Eleganckim charakterem

pisma umieszczono na niej słowa: Abby Reston - proszę najpierw tego posłuchać.

Zdumiał ją widok swego nazwiska. Czuła się tak, jakby ktoś nagle wyszeptał jej imię z ciemności otaczających altankę i przez chwilę zastanawiała się, czy nie zamknąć aktówki i nie wsunąć jej z powrotem pod ławkę, jakby tu nigdy nie weszła, jakby jej nie widziała na oczy. Ale przecież widziała ją. Trzymała kasety na dłoni, lekko je waząc, jak gdyby rozważając możliwości. Miała zatem rację; zostawił aktówkę w altance dla niej - albo by ktoś, kto ją znajdzie, odniósł teczkę jej. Czy jednak naprawdę chciała się w to zaangażować? Gdyby zabrała te kasety do biura i wsunęła do magnetofonu stojącego na jej biurku, tego samego, na którym słuchała Cheta Bakera czy starych piosenek Beatlesów albo etiud Chopina, znalazłaby się w samym środku tego - cokolwiek to było. Chciała wiedzieć, kim są Klara i Martin i dlaczego nie przyszli tego dnia do altanki. Ale jak wiele chciała się dowiedzieć? Nie zadawaj pytania, jeśli nie jesteś pewna, że chcesz poznać odpowiedź.

Abby podniosła aktówkę jak swoją własność i ruszyła z nią z powrotem przez trawnik. Kiedy dotarła do swojego pokoju w pustej teraz redakcji - bo wszyscy jej współpracownicy rozsądnie wrócili do rodzin, ciepłej kolacji i wygodnych foteli oraz czasu wolnego od pracy - pociągnęła za łańcuszek u lampy przypominającej gęsią szyję, i krąg światła padł na nieporządną powierzchnię jej biurka. Odsunęła kartki z obrysem strony i położyła aktówkę. Potem podeszła do lodówki i wyciągnęła butelkę wina Gewurztraminer, które chłodziło się w pozycji leżącej od kilku tygodni, o czym sobie teraz przypominała. Dostała je od zadowolonego ogłoszeniodawcy -właściciela firmy produkującej buty dla dużych i wyso-

kich mężczyzn („Wielkości maksymalne!"). Wyjęła korkociąg z szuflady w kuchence, chwyciła kubek z suszarki do naczyń i wróciła do swego pokoju. Tam, przy świetle lampy, Abby otworzyła butelkę, nalała sobie wina i włożyła pierwszą kasetę do magnetofonu.

- Dobry wieczór - odezwał się nagrany głos Martina Rayfiela. - Jeśli się nie mylę, to prawdopodobnie słucha pani tej kasyety wieczorem, trochę po zmierzchu, po tym, jak się pani przekonała, że Klara i ja nie przyszliśmy do altanki. Przykro mi, że panią rozczarowałem - ciągnął Martin - ale okoliczności bardzo się skomplikowały i trudno je wytłumaczyć w dwóch zdaniach. Więc jeśli to panią interesuje, proszę posłuchać całej historii, jaką mam do opowiedzenia o Klarze i o sobie. Mam nadzieję, że przedmioty w teczce pomogą zilustrować moje słowa, choć niektóre z nich mogą się pani wydać absurdalnie sentymentalne i skłonić do zastanowienia, dlaczego przechowywałem je przez tak długie lata.

Abby sięgnęła pod biurko, by zdjąć buty, pozwalając im upaść na podłogę, a potem położyła nogi na biurku. Dźwięk głosu z taśmy w ciszy biura po godzinach pracy był dziwnie kojący - pociągając pierwszy łyk chłodnego wina i opierając się o fotel, czuła, że mogłaby słuchać tego głosu przez całą noc. I tak zrobiła.

2

Klara Swift nigdy nie nosiła kapelusza. Gdy była jeszcze dziewczynką, w zimowe dni matka wybiegała za nią z wełnianą czapką w ręce, gorączkowo wymachując nią w powietrzu, ale Klara zawsze już zdążyła się oddalić. Ilekroć Martin o niej myślał, zawsze widział ją z gołą głową i powiewającymi włosami. Ale kiedy się po raz pierwszy spotkali, w ogóle jej nie zauważył.

To wydarzyło się w piątek, 27 maja 1949 roku, jak wspominał Martin na taśmie. Obydwoje z Klarą mieli wtedy po siedemnaście lat. Wyrośli w tym samym małym miasteczku Longwood Falls, lecz prowadzili tak różne życie, że nigdy nie dane im było ze sobą porozmawiać. Podział był prosty: jego rodzina należała do bogatych, jej nie. Klara mieszkała przy śródmiejskiej ślepej uliczce, ciasno zabudowanej małymi domkami i uczyła się w miejscowej szkole publicznej. On zaś mieszkał na wzgórzu, w dzielnicy ogromnych, ostentacyjnych domów, znanej jako Crest

i uczęszczał do ekskluzywnej szkoły męskiej odległej trzydzieści kilometrów od jego domu. Na wzór tych domów Martin pozostawał stale jakby zawieszony nieco ponad wszystkim. Jednak w przeciwieństwie do innych ludzi z Crest nie chciał się izolować, więc często wybierał się do śródmieścia, mimo że zamożność i szary strój szkolny w stylu wojskowym czyniły go widocznym celem. Tego dnia Martin kupował coca-colę u Beckermana, w miejscowym sklepie z napojami, błyszczącymi kranami, obrotowymi stołkami i szafą grającą o imponującym repertuarze, kiedy usłyszał znajome uwagi: „To zwykły dziwoląg. Lepiej, żeby wracał na Crest. Powinien zasiąść na swoim tronie i zostać tam”.

To byli chłopcy z miejscowej szkoły średniej, widywał ich i bił się z nimi już wcześniej, i teraz po chwili znów z nimi walczył, zadając wściekłe ciosy i otrzymując je. Martin zamachnął się na jednego z napastników, jego pięść wylądowała na szczęce tamtego z okropnym, miękkim chrzęstem, jakby gryzł jabłko. Chłopak jednak oddał cios i walnął Martina w oko, w tym samym momencie chłopak poczuł głuchy odgłos i dotkliwy ból, pulsujący w głowie. A potem leżał na podłodze wyłożonej białymi kaflami, patrząc na srebrne nogi obrotowych stołków. Z daleka słyszał trzaskające drzwi - winowajcy zniknęli. Sam właściciel, pan Beckerman, zatroskany mężczyzna w średnim wieku, który zawsze nerwowo wycierał ręce w swój biały fartuch, pomógł Martinowi wstać i podał mu kawałek lodu. Martin wziął go z wdzięcznością i przyłożył do oka, które już niemal zniknęło pod opuchlizną, a potem wyszedł w jasny dzień. Kierowca rodziny, Henry, czekał za rogiem przy bendeyu, najprawdopodobniej opierając się o niego i paląc papierosa. Martin jednak nie mógł znieść myśli o tym, że zostanie zawieszony do domu, gdzie matka zrobi wokół niego mnó-

stwo głupiego i niepotrzebnego zamieszania, a ojciec zbeszta go za „wdawanie się w bójkę z miejscowym elementem”.

Martin Rayfiel ruszył więc w stronę miejskiego skweru, po miękko uginającej się pod stopami trawie. Poprzedniej nocy padało i ziemia wydawała nieco mocniejszy zapach niż zwykle. Oko pulsowało własnym rytmem i gorącem, ale jakoś doszedł do altanki. Zawsze lubił jej widok, sposób, w jaki stała na środku placu, jakby pośrodku niczego. Teraz wspinał się po białych schodkach i położył na ławce pod daszkiem, z ugiętymi nogami, głową spoczywającą na gładkich, polakierowanych deskach. Wreszcie sam. Poprawił bryłkę lodu na oku i wydał jęk. „O Jezu, Jezu - powiedział do siebie. - Czyż nie jest wspaniale?”.

- Nie powiedziałałabym tego - odparł jakiś głos.

Martin natychmiast się poderwał. Naprzeciw niego siedziała dziewczyna, mniej więcej w jego wieku, ze złożonymi rękami. Uśmiechała się do niego. Nie, raczej uśmiechała się z przymusem i Martin przygotował się na zniewagę, jakąś sarkastyczną uwagę na temat swojej rodziny, swoich pieniędzy. Ale to nie nastąpiło. Jednym otwartym okiem dostrzegł książkę na jej kolanach, *Skarby rzeźby europejskiej*. Była ładną dziewczyną w brzoskwińowej, letniej sukience. Miała długie ręce i nogi, jasne, proste włosy. Martin poczuł się skrepowany, tak jak może się czuć tylko siedemnastoletni chłopak ze spuchniętym okiem, który gada do siebie przy dziewczynie.

- Wiesz - ciągnęła ona - słyszałam, że mięso jest lepsze niż lód.

- Naprawdę? - odparł. Ona przytaknęła. - Dzięki za radę - powiedział i ostrożnie wstał, próbując nadać sobie nieco godności, udając, że go nie boli i że może po prostu wyjść z altanki i powoli oddalić się przez trawnik.

- Chciałbyś wypróbować? - zapytała. - Mieszkam za rogiem, mogę postarać się dla ciebie o stek.

Popatrzył na nią.

- Nawet mnie nie znasz - zauważył.

- Nie, nie znam cię.

- I zapraszasz mnie do swojego domu? Skinęła głową.

- Dlaczego?

- Bo jesteś poszkodowany - powiedziała po prostu. Dziewczyna zachowywała się uprzejmie, ale zarazem

trochę figlarnie, prowokująco. Mieszanka tych cech zaciekała go i ku swemu zdumieniu zaraz się zgodził, by zaprowadziła go do domu za rogiem. Dom okazał się zaskakująco mały, otoczony innymi, takimi samymi domkami. Gdzie jej rodzina śpi? -

zastanawiał się, rozglądając po małym, zatłoczonym wnętrzu.

Kuchnia była nieduża, ale dość czysta. Dziewczyna przyniosła

mu kawał surowego mięsa, tani płat, jeszcze w papierze od

rzeźnika. Posadziła go przy stole, a on posłusznie przyłożył sobie okład do oka. Czuł zapach świeżego mięsa, trzymając je przy twarzy, a krew z niego trochę mu teraz przeszkadzała.

- Biłem się - wyjaśnił dziewczynie, choć wcale nie pytała. -

Właściwie to oni walczyli ze mną. Nie jestem nawet pewien, dlaczego to się stało.

- Wiem, dlaczego - odezwała się. - To z powodu tego, kim jesteś.

- Czyżby? A kim jestem? - zapytał.

- Nie znam twojego nazwiska - mówiła dziewczyna powoli. - Ale widywałam cię w mieście. W tym twoim srebrnym samochodzie. I z rodziną. I wiem, że to, co ci się dzisiaj przydarzyło, stało się z tego powodu. Ludzie ci zazdroszczą.

Pokiwał głową. - Chyba tak - potwierdził.

- Wcześniej też ci się to przytrafiało, prawda?

- Tak.

- Więc dlaczego nadal tu przychodzisz? - spytała. - Łazisz w te same miejsca, żeby cię wszyscy oglądali?

Przerwał, zastanawiając się nad tym.

- Chyba - w końcu odpowiedział - też z powodu tego, kim jestem.

- Spojrzała, troszkę zaintrygowana, ale on nie podał szczegółów.

Nie wiedział, jak wyjaśnić, że przyczyną, dla której wciąż przychodził do śródmieścia, przyczyną, dla której często wikłał się w bezcelowe walki na pięści, było właśnie to, że nie chciał pozostawać odizolowany na górze w Crest.

Martin nigdy nie czuł się swobodnie, mieszkając tam, dorastając we wnętrzu absurdałnego - w jakiś nieuchwytny sposób - domu z kolumnami, wybudowanego tak, by przypominał dawną, przedsecesyjną posiadłość na plantacji. Marmurowe, żyłkowane posadzki były zbyt śliskie, a kiedy jako małe dziecko Martin udawał, że jeździ po nich na łyżwach, niania albo któraś z pokojówek zawsze go powstrzymywała. Rodzice zatrudniali wciąż zmieniającą się służbę domową, której odejścia zależały w dużym stopniu od nie dających się przewidzieć humorów ojca Martina, Asha Rayfiela, imponującego posturą i wymagającego dyrektora, który odziedziczył rodzinne przedsiębiorstwo: wyrób damskich kapeluszy.

W rezultacie matka Martina, Lucinda, miała chyba więcej nakryć głowy niż jakakolwiek inna kobieta na świecie. Garderoba, w której je przechowywano, została powiększona i nazywano ją „pokojem kapeluszy”. Lucinda miała kapelusze wysokie, puszyste, przypominające bezy i niskie, szerokie, z czarnego aksamitu, które nadawały się na pogrzeb głowy państwa. Jeden z kapeluszy, w kolorze oberżyny, ozdobiło mnóstwo maleńkich guziczków z perełek, a inny, żółty z szerokim rondem, miał odcień identyczny jak jaskry kwitnące kępami w rodzinnej posiadłości

i przyciągał tyle samo owadów, kiedy go nosiła. Lucinda Rayfiel była kobietą na wskroś nieszczęśliwą, pochłoniętą kapeluszami i własnym wyglądem w ogóle jako sposobem na zapomnienie o swym nieszczęściu.

Najważniejszym elementem życia towarzyskiego Rayfielów był klub golfowy Longwood Falls, położony na pofalowanym terenie majątku ziemskiego z odpowiednio rozmieszczonymi bramkami. Należeli do niego wszyscy mieszkańcy Crest. W każdy sobotni poranek Henry ostrożnie prowadził samochód rodzinny w dół wzgórza i przez miasto do klubu Longwood, gdzie ojciec Martina posyłał po trawiastym polu golfowym jedną piłkę po drugiej, przeklinając w głos, kiedy trafił w pułapkę piaskową, matka zapijała jeden ból za drugim, pozwalając, by dzień umykał w alkoholowej mgiele, a Martina zostawiano samemu sobie.

Nienawidził klubu. Inne dzieci wydawały mu się niezbyt miłymi, a co gorsze tępyimi snobami. Były według niego miniaturowymi kopiami rodziców, a myśl, że on również mógłby się stać jakąś wersją swoich rodziców, przerażała go. Ojciec był przystojny, lecz nieokrzesany, stale rozgniewany; brakowało mu subtelności.

Matka natomiast, szykowna blondynka, miała w swych rysach jakiś uwiad, który przeszkadzał jej być prawdziwie piękną.

Martin doszedł do wniosku, że wyglądała trochę jak zdesperowana, starsza siostra Rity Hayworth, gdyby aktorka miała siostrę. Martin przypominał rodziców tylko w dość niejasny, pośredni sposób. Był bardziej introspektywny niż każde z nich, ale i bardziej roztargniony. Włosy miał proste, kruczoczarne, a oczy szare z cieniutkimi kreszczkami i maleńkimi plamkami na źrenicach, jak gdyby wycięte z kawałka płyty marmurowej podłogi rodziców. Jego ciało charakteryzowała pewna wrodzona lekkość, która pozwalała mu z łatwością przeskakiwać płoty i biegać szyb-

ciej od pozostałych. Martinowi wydawało się, że ciągle biegnie, zawsze ucieka z jednego miejsca na drugie.

Teraz, kiedy siedział przy kuchennym stole naprzeciw tej dziewczyny, przyszło mu do głowy, że tym razem nie chce uciekać z jej domu. Ku swemu zdumieniu po prostu miał ochotę siedzieć tu całe popołudnie, przy tym małym, chwiejącym się stole. Opuchlizna wokół oka trochę zesza, więc zdjął z niego stek i odłożył z powrotem na wilgotny papier.

Nagle drzwi kuchenne się otworzyły i wszedł jakiś mężczyzna. Był to ojciec dziewczyny. Przystojny, lecz zmęczony; jego koszulka miała mokre półksiężycy potu pod pachami. Wniósł smugę woni - nie potu, lecz tego mineralnego zapachu, na który Martin zwrócił uwagę, przechodząc przez trawnik: ziemia i wapno, i coś jeszcze, o ostrzejszym tonie. Farba, pomyślał, i terpentyna. Mężczyzna spojrzał na Martina z nieodgadnionym wyrazem twarzy i wolno skinął na powitanie.

- Klaro - odezwał się - czy mogłabyś mi podać piwo? I może wzięłabyś się do kolacji. Mama mówi, że chciała mi zaimponować i kupiła stek.

Więc ma na imię Klara. Imię wydało mu się odpowiednie, proste, właściwe. Wymienili między sobą spojrzenia pełne poczucia winy. Stek, niedawno przyciskany do jego rany, miał teraz zostać usmażony i zjedzony - mało zachęcające, a zarazem śmieszna myśl, która obojgu się nasunęła.

- Jestem Martin Rayfiel - przedstawił się ojcu Klary.

- Syn Asha Rayfiela? - spytał, a Martin przytaknął. - Pracowałem kiedyś dla niego - powiedział ojciec Klary wymijająco, choć Martin wiedział, co miał na myśli.

Wszyscy tak samo myśleli o Ashu Rayfielu: był kimś złym, nieprzyjaznym dla ludzi pracy tego miasta. Krążyły pogłoski o szykowanych akcjach odwetowych przeciw

ojcu Martina, jednak ze względu na zasięg jego władzy i wpływu, nigdy zamiary te nie przerodziły się w czyn. Martin czuł się zakłopotany i próbował zmienić temat.

- Pańska córka - wyjaśnił - pomogła mi dziś wydostać się z tarapatów. - Dziewczyna jest chętna do pomocy, jak mi się zdaje - padła odpowiedź. Potem ojciec Klary wziął bursztynową butelkę piwa za szyjkę i wyniósł ją z kuchni. W ciągu paru minut, tak sobie wyobrażał Martin, zaśnie gdzieś z nogami wyciągniętymi do góry. - Powiniennem iść - powiedział Martin.

- Tak - zgodziła się Klara - chyba powinieneś już iść. Ale nie ruszył się z miejsca. Uśmiechnęli się do siebie, bo żadne z nich nie chciało, żeby poszedł, i oboje o tym wiedzieli. Ta dziewczyna o jasnych włosach, która siedziała naprzeciw przy stole, obserwując go rozbawiona, odebrała mu odwagę. Bawiła się, a jego podniecała ta dziwna mała gra.

Sposób, w jaki się czuł, przypominał mu o czymś, co wydarzyło się dwa lata wcześniej. W domu jego rodziców pracowała kucharka, Nicole Clement. Pochodziła z Lour-marin, małego miasteczka na południu Francji. Właściwie trudno ją było nazwać piękną; miała troszkę zbyt pełne biodra, a ciemne włosy zawsze w nieładzie, była jednak uprzedzająco grzeczna i przyjazna. Martin często przebywał w jej pobliżu, kiedy mieszała sos w miedzianym garnku albo kroїła na paski marchewkę ręką szybszą niż u krupiera w kasynie. Nauczyła Martina wszystkiego, co wiedziała, na temat gotowania. Kiedy rodziców nie było w domu, wciąż kręcił się koło niej w kuchni - pośród zapachów, hałasu i pary wydobywającej się z garnków, jeśli choć odrobinę podniosło się pokrywkę. Nicole Clement pokazała mu, jak wybijać bąble powietrza z ciasta chlebowego i jak ugotować perfekcyjnie jajko na miękko. Nie

wiedząc kiedy, Martin stał się wyśmienitym kucharzem, potrafił przygotować zarówno francuskie, jak i amerykańskie potrawy. Matkę trochę bawiła ta jego umiejętność, podczas gdy ojciec uważał ją za sztuczkę salonową dla dziewcząt, a nie coś, co może mu się przydać w świecie.

Pewnego dnia, gdy Martin miał piętnaście lat, a Nicole dwadzieścia sześć, stał obok niej przy stole, pomagając jej kroić ziemniaki. Nagle odwrócił się do niej, zobaczył mąkę, która jak świeży śnieg przyprószyła jej włosy, szybkie ruchy rąk i latające krążki ziemniaczane. Zanim pojął, co robi, pochylił się do przodu i mocno pocałował ją w usta. Oczy Nicole otworzyły się szeroko, lecz w jednej chwili odłożyła nóż i poddała się gorączkowym pocałunkom. Po chwili znaleźli się w spiżarni. Tam, na podłodze tego małego pokoiku, w otoczeniu puszek duszonych pomidorów, słoików dżemu i wiszących warkoczy czosnku, w absolutnej ciszy Martin i kucharka szybko rozebrali jedno drugie. Kiedy wyszli ze spiżarni - Martin nie miał pojęcia, ile minęło czasu - stał wciskając do spodni zmiętą, białą koszulę, odrzucając do tyłu pasmo włosów, które zawsze spadało mu na twarz, i głęboko oddychając. Wtedy chyba dotarło do niego, że nigdy nie zostanie facetem od kapeluszy jak jego ojciec, że nigdy nie będzie żyć życiem ekskluzywnych klubów, finansów i głębokiego nieszczęścia. Odwrócił się i zobaczył stojącą w pobliżu Nicole, usiłującą szybko związać fartuch. Podszedł do niej, bo wyglądała na przestraszoną tym, co się właśnie stało.

- Nie musisz się martwić - odezwał się do niej.

- Dziękuję, Martin - odparła, wymawiając, jak zawsze, jego imię z francuskim akcentem. - Jesteś bardzo miłutki, wiesz.

Prawdziwy „kąsek”.

W ciągu miesiąca odeszła. Nicole opuściła pracę, upierając się, że to nie ma nic wspólnego z Martinem, tęskni je-

dynie za rodziną w Lourmarin. Nie był pewien, czy ma jej wierzyć - wyjeżdżając, płakała i powiedziała, że będzie do niego pisać, i od czasu do czasu to robiła. Nowa kucharka była tęgą, władczą kobietą z Alp Szwajcarskich, śpiewała marszowe piosenki i dodawała ser do każdej potrawy. Chociaż sporadycznie Martin przejmował od niej wskazówki kucharskie, to nigdy się nie zaprzyjaźnili.

Po przeżyciu w spiżarni wyciszył się, był bardziej skupiony. Tamtego dnia zawładnęło nim pewne uczucie i teraz siedząc w innej kuchni, po drugiej stronie miasta, powróciło. Nagle zapragnął móc położyć się w małym pachnącym pokoiku z tą dziewczyną o imieniu Klara. Potrafił wyobrazić sobie życie ukształtowane wokół niej; chciał, żeby to się wydarzyło, choć nie miał pojęcia, dlaczego. Przyszło mu do głowy, że ludzie wcale nie muszą być dokładnie tacy sami, by powiał między nimi silny prąd uczucia. Jego rodzice lubili obcować tylko z ludźmi takimi samymi jak oni. Słyszał kiedyś, jak jego matka niskim, znaczącym tonem obmawiała z przyjaciółką inną kobietę, która przypuszczalnie „nie była jedną z nich”, co oznaczało, jak się okazało, że tamta kobieta nie należała do bogatych, więc nie miała prawa przyłączyć się do klubu Longwood.

Martin chciał przebywać z tą dziewczyną, Klarą, która wyraźnie „nie była jedną z nich”. Podobało mu się, że jest inna, że to, co wiedziała, całkowicie różniło się od rzeczy, które jemu były wiadome i znane. Czuł jednak, że byli dziwnie do siebie podobni. Przyszła pora, by sobie poszedł, a mimo to nadal nie potrafił zmusić się do wyjścia. Z jakiegoś powodu przeciągał, zwlekał, zawracał jej w głowie w jej domu. Zamiast się pożegnać, rzekł: - Czy mogę zrobić stek dla twojego taty?

Klara wpatrywała się w niego.

- Umiesz gotować? - zapytała głosem pełnym wątpliwości.

Przytaknął.

- Nie umiesz - odparła.

- Tak, umiem.

- Żartujesz, prawda? - zapytała, a on potrząsnął głową. -No, dobrze, czuj się jak u siebie - powiedziała wreszcie, wzruszając ramionami i wskazując gestem, że kuchnia należy do niego.

Zabrał się do pracy na wąskim kawałku blatu, krojąc ząbki czosnku i kostki masła na desce do krojenia wielkości jego dłoni. Gdy zapytał Klarę, czy ma pod ręką jakieś przyprawy, odparła, że obok domu rośnie trochę ziół. Zebrała je i przyniosła. Posiekał dymkę i polny tymianek i zrobił masło ziołowe do steku, który dobrze wypłukał, bo wcześniej leżał na jego podbitym oku. Kiedy stek był gotowy, Klara spojrzała na niego ze zdziwieniem, bo nie tylko wyglądał na przepyszny, lecz także był artystycznie ułożony na talerzu. Zaniósła go bez słowa ojcu, który zjadł go chętnie, ogłaszając później, że to najlepsze danie, jakie kiedykolwiek dla niego przyrządziła.

Potem, gdy w kuchni wciąż jeszcze unosił się zapach smażonego mięsa, a dzień chylił się ku końcowi, Klara odwróciła się do Martina i powiedziała mu, że musi sobie pójść.

- Tym razem mam to naprawdę na myśli - rzekła. - Zaraz wróci ze sklepu z materiałami do domu mama z moją starszą siostrą, Margaret. I w przeciwieństwie do ojca będą zadawać mnóstwo pytań.

- Chciałbym, żeby to zrobiły - powiedział cicho. - Powiem im wszystko. Rozmiar butów: jedenaście. Inteligencja: dość wysoka

...

- Idź - powiedziała zdecydowanie i otworzyła mu drzwi.

- Klaro - powiedział nagle - spotkajmy się jutro w altance.

Nagle zupełnie przestała się uśmiechać.

- Nie - odrzekła. - To nie ma sensu. Jesteśmy całkowicie różni.

- I co z tego? - zareagował. - Proszę. Tylko się ze mną spotkaj.

Popatrzyła na swoje ręce, złożyła je, podejmując decyzję.

- Nie jutro - rzekła. - Za tydzień. O tej samej porze.

- Świetnie. Za tydzień - powiedział Martin.

Stali w ciszy w uchylonych drzwiach kuchennych z zasłoną. Nie chciał zepsuć tego popołudnia. Sytuacja przypominała przepis na potrawę, pomyślał: jeżeli mieszasz za długo, zmienisz

konsystencję. Więc nie mówiąc nic więcej, wyszedł przez drzwi

kuchenne i nie odwrócił się. W następnym tygodniu, myślał, idąc

w dół dróżki do małej ślepej uliczki, która nosiła nazwę Badger. Nie zdając sobie z tego sprawy, przyspieszył kroku, aż zaczął

biec. Za tydzień, myślał. Za tydzień.

Kierowca Rayfielów, Henry, czekał przy samochodzie kilka

przecznic dalej, palił papierosa i wyglądał na bardzo

zatrokanego. Zgasił papierosa butem.

- Nic poważnego? - zapytał, gdy Martin siadał obok niego. Nie

pierwszy raz widział podbite oko u tego chłopca.

- W porządku - odparł Martin i oparł głowę o brązowe skórzane

obicie fotela w bentleyu, z okiem wciąż opuchniętym i wielkim

jak śliwka. Samochód zaczął wspinać się na wzgórze w kierunku

domu.

W ciągu tygodnia Martin nie potrafił zupełnie się skupić, słabo

wypadł na egzaminie z angielskiego, a w czasie lekcji chemii

popęłnił podstawowy błąd, który omal nie doprowadził do

wybuchu. Dyrektor, pan Croft, poprosił Martina do swego

gabinetu na „słowo”. Croft był porządnym człowiekiem,

zbliżającym się już do emerytury, i Martin nie chciał go

rozczarować.

- Wiem, że jesienią wybierasz się do Princeton - zaczął pan Croft, mierząc go okiem spod ściany dyplomów - ale mimo to ważne jest, byś utrzymał oceny na dotychczasowym poziomie.

Od chwili spotkania z Klarą Martin zupełnie przestał myśleć o tym, że we wrześniu wybiera się do college'u. Został przyjęty do szkoły, do której uczęszczał ojciec i dziadek. Od chwili jego narodzin zakładano, że kiedyś i on pójdzie do Princeton, gdzie będzie korzystał z tej samej, ekskluzywnej restauracji klubowej, z której zawsze korzystali Rayfielowie oraz że będzie robić wszystko to, co robili oni: grać w piłkę, studiować ekonomię i umawiać się na randki z którąś z tych skrajnie bogatych, nudnych panien o mocnych zębach i gardłowym, nieco histerycznym śmiechu.

- Przepraszam, panie Croft - odezwał się Martin do dyrektora szkoły. - Ma pan rację; byłem roztargniony. Postaram się bardziej uważać. - Teraz jednak przygnębiał go pomysł wyjazdu do college'u na jesieni i zostawienia dziewczyny o imieniu Klara, której jeszcze nie zdążył poznać.

Kiedy nadszedł następny piątek, Martin nie kazał Hen-ry'emu zawozić się do miasta. Po zajęciach w szkole przebrał się, zdjął strój szkolny, założył codzienną koszulę i spodnie, a potem ruszył z Crest sam, na piechotę, nie mówiąc nikomu, dokąd idzie. Stapał lekko i śpiesznie po trawie, obawiając się, że jej tam nie będzie, że zapomni. Albo, co gorsza, nie zapomni, ale po prostu zmieni zdanie i postanowi nie przyjść. Niemal nie miał siły spojrzeć, lecz teraz, gdy się zbliżał, zrobił to.

W pewnej odległości ujrzał altankę, prostą, ośmiościenną budowlę, która robiła wrażenie, jakby w połowie była zrobiona z powietrza. A w środku czekała na niego Klara.

3

Bogaty chłopak z podbitym okiem wkroczył do życia Klary Swift w sposób, który ją zaskoczył. Nie przyszło jej do głowy, że mogłaby się zakochać, mieszkając jeszcze w domu rodziców. Wyobrażała sobie, że to się wydarzy w jakiejś odległej przyszłości, z dala od tego zatłoczonego domu i absolutnego braku jakiejkolwiek prywatności, cechującej jej dziewczęce lata. Klara przeczuwała, że zakochała się w Martinie już od chwili, gdy zaprosiła go do domu, żeby przyłożyć stek do jego oka. Początkowo jednak ukrywała tę prawdę przed sobą, przekonując samą siebie, że chciała tylko „pomóc”, zgodnie z tym, jak wychowywali ją rodzice i że postąpiłaby dokładnie tak samo, niezależnie od tego, kto by wszedł do altanki z podbitym okiem. A jednak, kiedy miała się z nim zobaczyć po raz drugi, była zdenerwowana do tego stopnia, że czuła wręcz mdłości. To się nazywało trema, ale w jej przypadku przypomi-

nało raczej panikę. Przez chwilę siedzieli w altance, a potem poszli na oddaloną o niecały kilometr łakę i tam znów usiedli. On chciał wiedzieć o niej wszystko, a ona opowiedziała mu o swojej rodzinie i o tym, jak w wieku ośmiu lat omal nie umarła na zapalenie opon mózgowych, i jak bardzo chciała zostać rzeźbiarką - uczęszczać do szkoły na wyższy kurs sztuki i zawsze zdobywać pierwszą nagrodę w corocznym szkolnym konkursie artystycznym. On z kolei opowiedział jej o swojej rodzinie, o tym, że chciałby zostać szefem kuchni i z jaką niechęcią myślał o wrześnieowym wyjeździe do Princeton na studia ekonomiczne, podczas gdy naprawdę pragnął iść do szkoły gastronomicznej. Wymienili między sobą całą serię szczegółów i w wielkim pośpiechu zadawali sobie różne inne pytania, jak gdyby chcieli nadrobić stracony czas.

Umówili się na spotkanie następnego popołudnia, tym razem nad pobliskim stawem, żeby popływać, choć jeszcze niezupełnie była na to pora. Gdy przyszła na brzeg stawu o wpół do czwartej, on już tam był, siedząc bez koszuli na kamieniu. Szybko objęła wzrokiem jego długie ręce i gołą klatkę piersiową z charakterystyczną linią czarnych włosów. Wkrótce znaleźli się razem w wodzie, dotykając palcami dna stawu, czując gęsią skórę i lekkie drżenie kolan.

Wreszcie, kiedy tak stali, wahając się i drżąc w wodzie przez dobre pięć minut, Martin podszedł bliżej, jakby przekraczając niewidzialny krąg, jaki wszyscy ludzie wokół siebie zakreślają. Jakoś jednak Klara nie chciała, by się odsunął.

- Hej - powiedział do niej.

- Hej - padło w odpowiedzi.

Wiedziała, że ma zamiar ją pocałować i ku jej zdumieniu powróciło uczucie nudności. Nie była pewna, dlaczego odczuwa tę obawę; stanowiło to część tego, kim była.

Matka Klary należała do nadopiekuńczych, co wyrażało się w wybieganiu za nią z wełnianymi czapkami i udzielaniu różnych ostrzeżeń przed mężczyznami.

- Nie ufaj im - mówiła. - Jesteś ładną dziewczyną i będą próbować miłymi słówkami namówić cię do rzeczy, których potem możesz żałować.

Teraz znów słyszała słowa mamy, choć wcale nie chciała o nich myśleć. Dlaczego miałyby ufać Martinowi? Rzeczywiście nie było powodu. Jego ojciec, Ash Rayfiel, miał w mieście opinię bezwzględniego przedsiębiorcy - kiedyś podobno oszukał jej ojca w związku z zapłatą za ogrodzenie ogrodu. Ale ten moment w nieruchomości zimnej wodzie nie miał nic wspólnego z rozsądkiem. Martin położył mokrą dłoń na jej ramieniu i przyciągnął ją jeszcze bliżej do siebie. Klara natychmiast poczuła ciepło i rumieniec na twarzy, który dotarł aż do linii włosów. Oczywiście, że pragnęła tego pocałunku, ale miała tylko siedemnaście lat i przeraziło ją to nagłe uczucie. Koledzy w szkole wciąż bezwstydnie próbowali z nią flirtować, wywoływali ją i błagali, podbijając piłki, a z kilkoma poszła do kina w Longwood, między innymi z Royem Crenshawem, który pocałował ją na balkonie w czasie kroniki filmowej. Roy był przystojnym koszykarzem drużyny Longwood Falls High, o jasnych, falujących włosach i sennych oczach. W czasie tego pocałunku niewiele czuła, poza odrobiną obawy o to, że ludzie patrzą i trochę nieprzyjemną świadomością smaku masła na jego ustach i języku, bo Roy całymi garściami opychał się prażoną kukurydzą.

Kiedy jednak teraz pocałował ją Martin, czuła wszystko. Usta Martina dotknęły jej warg, potem troszkę się wycofały i znów zbliżyły pod nieco innym kątem. Roy Crenshaw pachniał jakimś okropnym sosnowym tonikiem do

włosów, którym polał obficie całe włosy, a Martin nie używał żadnej wody kolońskiej. Pachniał jak przystojny chłopak w słońcu: słodyczą kończącego się dzieciństwa w połączeniu z czymś wyraźniejszym i bardziej dorosłym. Słodko-kwaśny, myślała w roztargnieniu, kiedy się całowali. Więc to jest to - teraz zrozumiała, o czym mówili i co do siebie czuli bohaterowie tych wszystkich bardzo romantycznych filmów, które obejrzała z siostrą w kinie w Longwood. Pomyślała o własnym szczęściu w odkryciu tego chłopca, tego uczucia. Obudziło to w niej coś, co dotychczas pozostawało uspięne. To powinno się obudzić, jak zwykło się mówić: przyszła pora.

Martin i Klara szybko opracowali harmonogram, który pozwalał im widywać się trzy, czasem cztery razy w tygodniu. Rzadsze spotkania budziły w Klarze paniczne poczucie pragnienia i rozłąki. Nawet kiedy się z nim widziała, była trochę wytrącona z równowagi. Jestem pomyłona, pomyślała któregoś popołudnia w czasie lekcji szycia w szkole, kiedy przeszła zygzakiem kieszeń fartucha, psując go. Potem dla obojga skończyła się szkoła średnia i zaczęło się lato. Klara codziennie spała do późna. Czasem nie wstawała aż do pierwszej po południu, leżąc w łóżku i myśląc o Martinie, aż jej zatroskana mama podchodziła do drzwi i pytała, czy coś jej nie dolega.

- Czuję się świetnie - mówiła Klara, ale mama i tak wchodziła do pokoju i kładła dłoń na czole Klary.

- No, głowę masz chłodną - stwierdzała, przyglądając się jej z zaciekawieniem.

Kiedyś, gdy nikogo nie było w domu, Klara przyprowadziła Martina, żeby mu pokazać jedną ze swych małych rzeźb z gliny, którą rodzice trzymali na kominku.

Martin ją podziwiał, rozpoznając od razu, że przedstawiała Klare jako dziecko i że wykonała ją z pamięci. Klara gorąco pragnęła zostać rzeźbiarką, lecz jej rodzice nie mieli pieniędzy, by wysłać ją na akademię sztuk pięknych. Była wyjątkowo utalentowana i oni o tym wiedzieli, ale nawet gdyby mogli ją wysłać, to - jak mu powiedziała - prawdopodobnie nie zrobiliby tego. Swiftowie należeli do ludzi konwencjonalnych i naturalnie zakładali, że po ukończeniu szkoły średniej ich córki znajdą pracę w Longwood Falls: może będą wykonywać jakieś lżejsze zajęcia w firmie remontowej ojca albo nawet zostaną recepcjonistkami w gabinecie miejscowego lekarza czy dentysty. Tak właśnie zrobiła starsza siostra Klary, Margaret, która po uzyskaniu dyplomu ukończenia szkoły przyjmuje telefony i kieruje przyjęciami pacjentów starszego i roztargnionego doktora Somersa. Margaret nie przepadała za siedzeniem przez cały dzień przy biurku za opuszczanym okienkiem z matowego szkła, słuchaniem kaszlu pacjentów w poczekalni, sporadycznym wstawaniem, by zmienić czasopisma na stoliku na nowsze. Nigdy się nie skarżyła. A jednak myśl o podobnej przyszłości ogromnie przygnębiała Klare, zwłaszcza od czasu, kiedy poznała Martina.

- Pozwól, że cię o coś zapytam - powiedział Martin któregoś popołudnia na łące. - Gdybyś miała pieniądze, żadnych ograniczeń i nie musiałabyś się zastanawiać, co pomyślą o tobie ludzie, to co zrobiłabyś ze swoim życiem?

- Och - natychmiast odparła Klara. - Zdecydowanie podróżowałabym. Pojechałabym do Europy i obejrzałabym wszystkie tamtejsze wspaniałe dzieła sztuki i studiowałabym rzeźbę. - Przerwała na chwilę. - Ale to śmieszne w ogóle myśleć o tym - dodała. - Nawet nie mam paszportu. Prawie nigdy nie wyjeżdżałam z Longwood Falls.

- Europa - mówił Martin, który był tam kilka razy z rodzicami - jest zupełnie inna niż Longwood Falls.

- A ty co byś zrobił? - zapytała go.

- Pojechałbym z tobą - odrzekł bez wahania. Obydwoje zamilkli. Przez wszystkie te popołudnia, kiedy się spotykali, nie mówili właściwie o tym, co nieuniknione, co ich czekało, czy tego chcieli, czy nie. We wrześniu Martin miał wyjechać do Princeton, a Klara zostać tu, znaleźć pracę i mieszkać nadal z rodzicami. Jej życie pozostanie statyczne, nie było w nim na co czekać. Jednak życie Martina miało przebiegać wypełnione studiami, egzaminami semestralnymi, od czasu do czasu meczami futbolu i bogatymi dziewczętami. W weekendy będzie tańczyć z tymi smukłymi pannami, których wąskie białe szyje otaczały sznury pereł. Klara nie wiedziała, co wydawało jej się gorsze - myśl o dzieleniu go z nimi, czy o dzieleniu go z kimkolwiek.

Niewiele rozmawiali o mającym nastąpić jesienią ich rozstaniu, całkowicie je ignorując, jak by to mogło je oddalić. Martin nie miał chęci na wyjazd do Princeton, pragnął natomiast udać się gdzieś, gdzie mógłby nauczyć się, jak zostać szefem kuchni i gdzie mógłby zabrać ze sobą Klarę. Ona także wolałaby nie słuchać dłużej swoich rodziców. Szczególnie matka była zawsze czujna i przestraszona, jakby żywiła przeczucie, że coś złego nieuchronnie przydarzy się jej młodszej córce.

Ojciec Klary mniej się martwił. Całkowicie pochłaniała go praca, ciągła i trudna. Lucas Swift był pracownikiem fizycznym, zatrudnionym przez miasto do pielęgnowania zieleni, przycinania i sadzenia, jak również do naprawiania chodników i płotów oraz utrzymywania w dobrym stanie altanki na środku skweru. Ostatnio wziął do pomocy kuzyna i teraz obaj mężczyźni prowadzili firmę, nazwaną przez

nich Firmą Remontowo-Porządkową Swiftów, co wypisali na boku ciężarówki. Praca wymagała coraz więcej wysiłku i ojciec Klary wracał do domu pod koniec dnia zlany potem, czując się jak pies, który chce tylko zwinąć się w kłębek i zasnąć. Swiftowie byli rodziną borykającą się z trudami utrzymania, lecz nie kompletnie ubogą. Co jakiś czas w lodówce pojawiał się niedrogi stek i chociaż domostwa nie ożywiał huczny śmiech i zabawa, to przynajmniej wszyscy jakoś sobie radzili. Nie należeli do szczęśliwych rodzin z powieści Tołstoja, ale dawali sobie radę. Właściwie szczęście zawsze wydawało się Klarze jakąś fałszywą koncepcją. Przez całe swoje życie była osobą nieco melancholijną, kiedy jednak przebywała tylko z Martinem, miała poczucie, że szczęście nie jest czymś nieprawdziwym, lecz ulotnym. Ale teraz pochwyciła je za wijący się ogon i oto miała je - w postaci tego chłopaka o ciemnych włosach, ustępującym siniaku i rękach zdolnych do okazywania czułości. Nadal wszystko sobie mówili, nawet o najbardziej intymnych historiach ze swego życia; zwierzył jej się z przeżyć tego popołudnia spędzonego na podłodze spiżarni z kucharką Nicole. Klara i Martin nigdy nie rozmawiali o tym, co czują do siebie z żadnym z przyjaciół, a Klara nie wspomniała słówkiem nawet starszej siostrze Margaret. Jednak w sposób nieuchronny w tak małym miasteczku jak Longwood Falls ludzie się o nich dowiedzieli. Wystarczająco długo widywano ich razem i któregoś dnia po prostu zaczęło się gadanie, ożywione, głośne plotkowanie w obu klasach społecznych - i wokół Swiftów, i na Crest.

- Co jest między pani córką a tym małym milionerem? -kasjerka w markecie u Stovera zapytała wprost matkę Klary, Maureen Swift, gdy ta stała w kolejce. - Jeśli chodzi o moje zdanie, to uważam, że z tego będą tylko kłopoty

ciągnęła kobieta. - Ojciec to zbir, matka pije i wszyscy wiedzą, że to najgorsze snoby w całym hrabstwie.

Matka Klary, która nie miała pojęcia o całej sprawie, udała, że jest dobrze poinformowana.

- Och, to wszystko tylko gadanie - powiedziała, zwinnie zbierając torby z jedzeniem i resztę. Jednak wieczorem w kuchni, gdy stały z córką przy stole kuchennym, myjąc wspólnie stertę naczyń po kolacji, przepytowała Klarę dokładnie. Ta najpierw przygryzła wargi, gorąco zaprzeczając oskarżeniom, ale zaraz potem się załamała i wyznała matce wszystko. Całe życie obowiązkowego mówienia prawdy nie mogło pójść na marne w ciągu jednego wieczoru.

- Kocham go, rozumiesz? - powiedziała, a jej słowa aż zadudniły w małej kuchni.

- W takim razie będziesz się musiała odkochać, Klaro - odparła matka. - Z tym byłoby za dużo kłopotów, to niezręczna sytuacja. Wszystkim przysporzyłoby to tylko nieszczęścia, a dla ciebie skończyłoby się straszną krzywdą.

Klara gniewnie wycierała talerz ścierką w kratkę, którą trzymała w ręce.

- Miłość tak nie działa - powiedziała do matki.

- Bardzo dobrze zdaję sobie sprawę, w jaki sposób działa miłość - odparła Maureen cicho. - Młodzi ludzie zawsze myślą, że pierwsi odkrywają miłość, ale uwierz mi, ona była tu przed wami i będzie po tym, jak odejdziecie z tej ziemi - zatrzymała się na moment. - Kiedy jednak zdarza się między ludźmi, którzy nie mają ze sobą nic wspólnego, zawsze czyni ich życie żalonym i nieszczęśliwym.

- To nie miłość powoduje, że tak się dzieje - odrzekła Klara. - To ty. - I z tymi słowami cisnęła ścierką o podłogę i wybiegła do swojego pokoju.

Tymczasem na wzgórzu Crest, tego samego wieczoru Martinowi wyraźnie oświadczono, że nigdy więcej nie wolno mu się zobaczyć „z tą dziewczyną”, o której jego rodzice dowiedzieli się od wulgarniej bogatej wdowy bywającej w klubie Longwood, pani Velmy Cornby - kobiety, która według Martina nie miała własnego życia i dlatego zawsze gorączkowo plotkowała o życiu wszystkich pozostałych.

- Pozwól, że wyrażę to jasno i prosto. Twoja matka i ja zabraniamy ci widywać się z tą dziewczyną - powiedział Ash Rayfiel po wezwaniu Martina do swego gabinetu.

Martin stał przed ojcem, od którego dzieliło go duże biurko z rdzawoczerwonym bibularzem, otoczone książkami, na których czytanie Ash Rayfiel nigdy nie poświęcił czasu. Książki te samą swoją liczbą miały robić wrażenie na gościach, i to wszystko.

- Zabraniacie mi widywać się z nią? - zapytał Martin, a Ash Rayfiel przytaknął. - Wybacz mi ojczy - dodał Martin - ale sądziłem, że w moim życiu skończył się już okres „zabraniań”. Myślałem, że muszę teraz sam dokonywać wyborów.

Ojciec wpatrywał się w niego bez mrugnięcia okiem, a potem nalał sobie drinka z karafki z ciętego szkła, w kształcie gruszki.

- W porządku, Martin - odezwał się. - W takim razie usiądź na chwilę i porozmawiajmy.

Nalał synowi duży kieliszek bourbona i podał mu. Dotąd Martin nigdy nie pił z ojcem. Usiedli na sztywnej skórzanej kanapie i Ash wreszcie przemówił do syna.

- Jeśli nalegasz, by spotykać się z nią mimo naszych protestów, to chyba powinienem w pewnym sensie odetchnąć.

- Jak to? - zdumiał się Martin.

- Bo to przynajmniej świadczy o tym, że jesteś normalny - odparł Ash. - Matka i ja niepokoiliśmy się trochę o twój rozwój, co począć z tym gotowaniem, które tak lubisz. - Wziął duży łyk bourbona. - Jeżeli obstajesz przy tym, żeby się widywać z tą dziewczyną, to chyba dlatego, że ma w sobie coś bardzo ... słodkiego, jeśli nadażasz za tym, co mówię. A chodzi właśnie o słodycz miodu, nieprawda? - Ash pokiwał głową do samego siebie. - To wszystko smakuje tak samo, bogate czy biedne, więc cóż to szkodzi, o ile nie zrobisz jej dziecka? Choć jestem pewien, że i wtedy moglibyśmy jakoś temu zaradzić ...

Martin odstawił swój kieliszek z bourbonem i wstał.

- Nic nie wiesz o Klarze - odezwał się. - I w ogóle o niczym.

- Och, wiem o wiele więcej niż sądzisz - odparł Ash cichym głosem. - Tylko ty jeszcze tego nie widzisz. Może któregoś dnia zobaczysz. Prawda jednak jest taka: jeśli jej na to pozwolisz, do czego zdajesz się właśnie skłaniać, to ta dziewczyna zrujnuje całe twoje życie.

- Dzięki za radę - zakończył Martin. Odwrócił się i opuścił ten zimny pokój z całymi ścianami nie przeczytanych książek.

- A więc zamierzasz jej na to pozwolić, jak sądzę! - zawołał za nim Ash Rayfiel, lecz Martin nie zareagował. - Świetnie! Proszę bardzo! - Słyszał jeszcze krzyczącego ojca, kiedy schodził po schodach.

W ciągu lata Klara i Martin zachowywali większą dyskrecję, spotykając się rzadziej i w miejscach, gdzie czuli całkowitą pewność, że nikt ich nie zobaczy. Nie widywali się już otwarcie w altance w ciągu dnia ani nawet na łące czy nad stawem.

Chodzili natomiast daleko do lasu na obrze-

zach Longwood, w miejsca odwiedzane tylko sporadycznie przez drżącą sarnę i z rzadka przez ludzi. Drzewa rosły tu gęsto, a powietrze przecinały komary. Zazwyczaj sadowili się pośród gąszczu gałęzi i liści. W lesie było ciemniej niż w miejscach, do których się przyzwyczaili, bo słońce z trudem przedzierało się przez nieliczne prześwity między roślinami. Lasy te przypominały ciemną, nieco zakazaną sypialnię. Czasem Martin pozował Klarze, gdy go o to prosiła; zdejmował koszulę i pozwalał jej wyrzeźbić się w kawałku gliny, który wzięła ze sobą w puszcze. Klara czuła się w lesie żałośnie i mówiła o tym. Przygnębiał ją fakt, że musieli chodzić tak daleko po to tylko, by być ze sobą, że nie mogli, jak inne zakochane pary spacerować po mieście, trzymając się za ręce. A wszystko z powodu pieniędzy. Nie chciała bogactwa ani pozycji Martina Rayfiela, choć niektórzy to sugerowali. Nie usiłowała wydać się za męża „ponad stan”, żeby się wyrwać z losu córki człowieka, który pielęgnował żywopłoty, reperował chodniki i malował altankę, by zarobić na życie, i żeby awansować do statusu zadowolonej z siebie, drobnomieszczańskiej, bezczynnej żony bogatego człowieka. Niektórzy bardziej ograniczeni umysłowo mieszkańcy miasteczka mówili, że Klara próbuje wykupić się z tego, w czym się urodziła. Jedynie wtedy gdy Klara i Martin zostawali sami, te plotki i krążące komentarze milkły do odległego, nic nie znaczącego pomruku.

A lato niemal się już kończyło: teraz inna pilna potrzeba rozpałała ich wspólny czas. Któregoś dnia pod koniec sierpnia, kiedy leżeli w lesie, Martin zwrócił się do dziewczyny, opierając głowę na łokciu i nagle milknąc.

- O co chodzi? - zapytała Klara.

- Wiesz, czego bym chciał? Być z tobą przez cały dzień - powiedział w końcu. - Gdzieś indziej. Gdzieś, gdzie mo-

glibyśmy leżeć razem bez tych przeklętych igieł sosnowych wbijających się w ubranie.

- Gdzie?

- W Lookout.

Klara usiadła i wpatrywała się w niego.

- Nie możemy tam pojechać - zaprotestowała. Lookout był jednym z tych dwupiętrowych moteli przy drodze numer dziewięć, z odchodzącą ze ścian farbą i starym basenem, pustym od lat, pełnym śmieci i pajęczyn.

- Będzie nam dobrze - przekonywał. - Prawdopodobnie w środku jest ładniej. Po prostu chcę być z tobą - ciągnął. - Nie musimy robić niczego, czego nie chcesz.

Klara odwróciła się od niego. Prawda była taka, że i ona chciała przebywać z nim w miejscu, które nie było gąszczem gałęzi.

Chciała się z Martinem kochać. To jednak sprzeciwiało się wszystkiemu, czego ją nauczono, wszystkiemu, co było właściwe dla siedemnastoletniej dziewczyny w 1949 roku. Rodziców - a szczególnie mamę - przerażyłyby jej pragnienia. Matka płakałaby i błagała ją, by zmieniła zdanie i przez całą drogę do tego marnego motelu goniłaby ją z wełnianą czapką w rękę.

Ale teraz Klara przestała myśleć o swojej matce. Niepewnym głosem, nie patrząc na Martina powiedziała do niego:

- W porządku, nie czuję się obrażona. Ja też chcę być z tobą, wiesz o tym.

- Więc rozumiesz, co chciałem powiedzieć - odparł, a ona po chwili przytaknęła. - Nieustannie mnie zdumiewasz - dodał Martin.

W następną sobotę pojechali autostopem do motelu; wsiedli do ciężarówki z mlekiem, która zatrzymała się przy drodze. Siedzieli z tyłu sztywno wśród skrzynek ze świeżym mlekiem, słysząc, jak wokół nich stukają i lekko

podzwaniają butelki. Klara miała na sobie uszytą przez matkę sukienkę w kolorze kakao - w odcieniu bladobrazowym.

Udawali małżeństwo.

- Jesteśmy nowożeńcami - powiedział Martin beztrąsko, wsuwając na serdeczny palec Klary jedną z jej własnych, srebrnych, niedrogich obrączek. - Państwo Harrisonowie z Saratoga Springs - improwizował. - John i Alice Harrisonowie. Pobraliśmy się w Saratoga, w hotelu Adelphi. To był raczej skromny ślub, jakieś dwieście osób, czy coś takiego.

- Więc co robimy w tym okropnym motelu Lookout, gdyby nas ktoś o to spytał? - zapytała Klara.

- Och, po prostu myśkujemy po północnej części stanu Nowy Jork - wyjaśnił Martin. - Wędrując zwyczajnie jak para zakochanych, korzystając ze swobody, bez celu, zanim gdzieś zamieszkamy na stałe i zaczniemy poważne życie. Zatrzymujemy się w małych motelach - w miejscach, gdzie w neonie brakuje jakiejś litery. W napisie Lookout nie świeciło się pierwsze „o”.

Klara potrząsnęła głową i powiedziała:

- No więc dobrze, John. Pojedziemy do Lookout.

- Dziękuję, Alice - odrzekł. - Nie będziesz tego żałować. Każde z nich dla niepoznaki wzięło niewielki bagaż;

Harrisonowie mieliby z pewnością jakieś ubrania. Podczas jazdy ciężarówką po wyboistej drodze Klara trzymała swoją torbę podrózną na kolanach. W środku znajdowała się tylko bawełniana nocna koszula z rzędem różyczek na brzegu, chociaż Klara wiedziała, że jej nie założy. Kierowca ciężarówki wysadził ich przy samym zwirowym podejździe do motelu. Na parkingu stało kilka samochodów, sam motel też nie wyglądał szczególnie ponuro, ale Klara i tak odczuwała lęk. W recepcji wpisali swoje wymyślone dane do rejestru gości hotelowych, a starsza kobieta z siat-

ką na włosach, która miała dyżur, nawet nie uniosła brwi w najmniejszym podejrzeniu. Nie dbała o to, kto tu przyjeżdżał, póki nie używał przemocy, nie niszczył mebli i póki płacił za pokój.

- Aha, jeszcze jedno - powiedział Martin do kobiety przy kontuarze. - Czy jest tu jakiś pokój z kuchenką?

Wyglądała na zdziwioną; zapewne nikt nigdy nie prosił o coś takiego.

- To będzie kosztować dodatkowo siedemdziesiąt pięć centów - odparła, a on zgodził się dopłacić. Kobieta przesunęła klucz po kontuarze i to było wszystko. W ciszy Martin i Klara wyszli na zewnątrz i wspięli się po chwiejnych drewnianych schodach do pokoju numer 18. Drzwi miały brzydki niebieskawy kolor, ze strzępami łuszczącej się farby. Klara nie przestawała myśleć, że jej tata ładnie by je odmalował, tak jak dbał o altankę i płoty dookoła miasta. Pokój był mroczny, a powietrze stęchłe, jakby nikt w nim nie mieszkał od tygodni. Stojące pośrodku łóżko zapadało się trochę, ale wyglądało na dość czyste.

Klara zastanawiała się, jak w ogóle mogła dojść do tego miejsca i miała ochotę odwrócić się i wyjść, nie mówiąc ani słowa.

Wszystko wydawało się tu takie obce. Ale kiedy podszedł do niej Martin, pojawił się znów ten słodko-kwaśny zapach i niosący bezpieczeństwo uścisk jego rąk wokół niej, przypomniała sobie, że on był znajomy. Znała już na pamięć jego dotyk, jego głos, to, co go zajmowało. On nie był obcym, więc powiedziała sobie, iż nie powinna czuć, że wszystko wokół niej jest obce.

Rozbierała się w milczeniu w mroku pokoju motelowego, a on patrzył na nią, na tyle, na ile mógł ją widzieć.

- Jesteś po prostu piękna - powiedział, a potem zdjął własne ubranie i powoli odsunął niebieską narzutę z łóżka, po czym obydwójce wsunęli się pod przykrycie.

Pościel była zimna jak staw, a pokój wyciszony i zacieniony, nawet w środku dnia. Wydawało się jej, że są po prostu dwójką pływaków w wodzie. Pocałował zagłębienie przy jej obojczyku, a później zaczął przesuwać się w dół, aż nagle jego usta znalazły się na jej piersi. Zrobiła głęboki wdech i poczuła, jak staje się coraz bardziej spięta, jak każdy mięsień jej ciała trwa w pogotowiu i naprężony. Ale wtedy sobie przypomniała: Jestem przecież panią Harrison, kobietą zamężną. Usta Martina pozostały na jej piersi. Usłyszała swoje mruczenie - czy to naprawdę ona?

Ich ubrania odplynęły gdzieś w ciemności i teraz tylko ciepła skóra dotykała ciepłej skóry, blade powierzchnie odbijały się od trochę ciemniejszych. Potem nastąpił nieuchronny ból, dreszcz bólu, żywy i prawdziwy, który spowodował, że na chwilę odwróciła głowę, ale zaraz i on zniknął, a pozostało uczucie przypominające pływanie w czystej, przejrzystej wodzie. Martin wpatrywał się w nią z góry, a ciemne włosy opadały mu na twarz.

- Kocham cię, wiesz o tym - odezwał się.

- Ja też cię kocham - odpowiedziała.

- Zawsze będziemy do siebie należeć - dodał. Wiedziała, że to zdanie ma domyślną, drugą część. Mówił: Zawsze będziemy do siebie należeć, nawet gdy będziemy z dala od siebie.

Potem, kiedy w ciszy leżeli obok siebie, Martin wstał, wciąż nie ubrany, i podszedł do swojej małej torby podróżnej.

- Co robisz? - zapytała, bo pomyślała, że mogliby się chwilę zdrzemnąć. On jednak wyjmował z torby jakieś przedmioty, a potem przenosił je do płyty grzejnej w małej kuchence, za którą dopłacił dodatkowo siedemdziesiąt pięć centów. Cebula, kilka jajek zawiniętych w chusteczkę, żeby się nie stłukły, kawałek masła, skrawek żółtego sera, tarka,

srebrny komplet z solniczką i pieprzniczką z wygrawerowaną literą R na boku i wreszcie mały rondel z długą rączką.

Klara przyglądała się zaskoczona, jak ten nagi mężczyzna stał i przygotowywał omlet po ich miłosnym akcie, a jego ręce szybko wybijały jajka, kroili ser i podejmowały następne czynności.

Kiedy skończył, zsunął omlet na talerz i wrócił do łóżka.

Siedzieli, jedząc i opierając się o siebie, pragnąc znaleźć sposób, by ta chwila trwała wiecznie, tu, pod tym cienkim, niebieskim kocem, w pokoju w tym kiepskim motelu z brakującym „o” w neonie.

Martina odwieziono do Princeton w mokry niedzielny poranek.

Bagażnik samochodu był wyładowany jego walizkami i szybkowarem, a Martin siedział na tylnym siedzeniu obok matki, ubranej w kapelusz w kolorze liściastej zieleni, przypominający mu główkę kapusty, i która natychmiast po tym, jak ich Bentley ruszył z podjazdu przy domu, naląła sobie jakiegoś alkoholu z podręcznego borku samochodowego. Ojciec wymówił się z towarzyszenia synowi w pierwszym dniu jego nauki w college'u, twierdząc, że ma wcześniejsze zobowiązania związane z firmą kapeluszną, lecz Martin wiedział, iż miało to raczej coś wspólnego z gniewną konwersacją, jaką przeprowadzili tego lata w gabinecie Asha.

Podczas jazdy Martin patrzył smętnie przez okno, a matka paliła i narzekała na obniżającą się jakość członkostwa w klubie Longwood. Wczesnym popołudniem ich długi samochód przejeżdżał przez kute, żelazne bramy Princeton w chwili, gdy w oddali dzwoniły kuranty uczelni, a młodzi chłopcy z rodzicami poznawali miasteczko akademickie.

W solidnym, kamiennym budynku, w którym Martin miał mieszkać, poznał kolegę z pokoju, chłopaka o kości-

stej twarzy z trądzikiem, Everetta R Hudsona juniora, z Durnham w Karolinie Północnej. Obaj rozpakowywali swoje rzeczy, a matka Martina kręciła się po pokoju, próbując w czymś pomóc. Potem odjechała, mówiąc coś o kolacji i tańcach tego wieczoru. Pocałowała syna w policzek, ledwie dotykając go ustami, a on zrozumiał, że jej miłość zawsze była taka: pełna dobrych intencji, lecz niepewna i trochę bez wyrazu.

Potem, kiedy Everett poszedł na spotkanie przy winie dla nowych studentów, po bezskutecznych próbach namówienia współlokatora, by się do niego przyłączył, Martin został sam w swoim nowym pokoju na materacu w paski, patrząc na wyszukane tłoczenia i gapiąc się na kampus z jego gotyckimi iglicami i przenikającą otoczenie atmosferą wysokiego ciężaru gatunkowego oraz nieograniczonych możliwości. W tym właśnie momencie gdzieś na tym terenie Albert Einstein siedział i wymyślał swoje wstrząsające ziemią równania, a może po prostu brał prysznic. Martin sięgnął do kieszeni marynarki, by wyłowić klucze i drobne pieniądze, i nagle dotknął kawałka papieru. Zdumiony, wyciągnął go i spojrzał.

To była koperta, czysta z zewnątrz, kiedy jednak przysunął ją bliżej twarzy, wyłonił się zapach: Klara. Zapach używanego przez nią mydła, czegoś pachnącego cytrusami, jednocześnie cytryną i pomarańczą. Szybko otworzył kopertę i zaczął czytać.

Martinie!

Gdzie jesteś teraz? Czy w samochodzie ze swoją mamą? Czy siedzisz już w swoim pokoju? W każdym razie za nic nie mogę uwierzyć, że nie ma Cię tutaj ze mną. Czy kiedykolwiek pojedziemy do Europy? Kocham Cię.

Klara

Siedział i patrzył na ten krótki list, wyobrażając ją sobie piszącą w ciasnym pokoiku w jej domu. Przez następne tygodnie i miesiące napisała do niego dużo więcej listów, na ogół dłuższych, bardziej szczegółowych, na które on natychmiast odpisywał.

Martin bardzo usilnie starał się rzucić w wir studiów; lekcje były ożywione, a on uczył się historii europejskiej, wstępu do poezji, botaniki oraz łaciny. Ale listy od Klary pociągały go dużo silniej niż jakakolwiek praca szkolna. Dokoła wszystko rozbrzmiewało młodymi, męskimi głosami: w wysokich salach szkolnych, w restauracji klubowej, gdzie talerze z jedzeniem podawali milczący czarni kelnerzy, i po godzinach nauki, gdy młodzi mężczyźni spotykali się w swych pokojach w akademiku, by w samej bieliźnie grać w pokera, palić cygara, popijać drogą szkocką whisky i wymieniać wyszukane żarty o kobietach.

Martin przyłączał się do gry w karty i był lubiany, ale uważano go za trudnego do rozgryzienia, co mu bardzo odpowiadało.

Przyjechał do domu na Boże Narodzenie i przerwę wiosenną i chociaż miał bardzo dużo nauki na okres ferii, większość czasu spędzał z Klarą. Wiedział, że ucierpią na tym oceny, lecz mało go to obchodziło. Klara podjęła pracę jako recepcjonistka u miejscowego dentysty, doktora Manteila, który okazywał jej sympatię, ale praca była po prostu koszmarna. Przychodzili pacjenci z bolącymi zębami, a wychodzili z drętwykami z powodu znieczulenia wargami i językami; to nie było życie dla Klary, ale chwilowo musiała się nim zadowolić.

W czasie ferii Martina kilka razy pojechali do Lookout. Czasem siadywali w altance albo jeździli na łyżwach po zamrożonym stawie. Klara była dokładnie taka sama, jak wtedy gdy wyjeżdżał. Princeton miało wiele do zaofero-

wania, nie mogło jednak zapewnić dwóch rzeczy, których Martin pragnął: być z Klarą i zostać szefem kuchni. Mimo to pogodził się z tym, że spędza cały rok w college u, z myślą, iż całe lato będzie z Klarą. W ten sposób przebrnął jakoś trzy lata w Princeton.

Ostatniego dnia przed końcowym egzaminem kursu wstępnego Martin i jego kolega z pokoju ubierali się, gdy Everett nagle odwrócił się do Martina i powiedział w swój zamyślony, przeciągły sposób:

- Tak naprawdę nigdy nie byłeś tu obecny, prawda? Martin popatrzył na niego:

- Co masz na myśli? - spytał.

- Jesteś gdzieś indziej, tak mi się zdaje - odparł Everett, zawiązując krawat w maleńkie pomarańczowe tygrysy Princeton.

- Gdzieś w lepszym miejscu.

Martin skinął głową. Wypadał właśnie 27 maja 1952 roku, odległy o trzy lata od dnia, kiedy poznali się z Klarą w altance. Powinni być dzisiaj razem, wiedział o tym, tak samo jak zdołali to robić w każdą rocznicę swego poznania. Powinni być razem dzisiaj i codziennie. Powinni pojechać do Europy, zwiedzić ją całą. Przez trzy długie lata mozolił się w szkole, żałując rozstania, a teraz wiedział, że pora to zmienić. Nie chciał, żeby minął im w rozłące kolejny rok.

Za dwie godziny rozpocznie serię egzaminów, wypisując długie odpowiedzi w niebieskich zeszytach, które wręczono wszystkim studentom. To nie miało żadnego sensu, bo nigdy w życiu nie zostanie naukowcem, ani nie pójdzie dalej studiować w szkole prawniczej czy szkole biznesu.

- Do zobaczenia później - odezwał się do kolegi, a potem wyszedł z pokoju i ruszył na teren miasteczka akademickiego.

Miejsce było dziwnie ciche i spokojne; wszyscy uczyli się wewnątrz. Martin szedł i szedł w kierunku boisk, gdzie przed wielu laty jego ojciec jako młody chłopak kopał piłkę, i gdzie jeszcze wcześniej to samo robił dziadek. Martin usiadł na trawie i wtedy zobaczył tego mężczyznę - rozczochranego, starszego pana w granatowym swetrze z dziko powiewającymi siwymi włosami i wąsami. Wydawał się zatopiony w myślach. To Albert Einstein, pojął Martin.

Wyobraził sobie, że podchodzi do tego genialnego, słynnego na cały świat fizyka i otwiera przed nim swoje serce. Może Einstein miałby mu coś pocieszającego do powiedzenia, coś filozoficznego i transcendentnego, co ustawiłoby problemy Martina w odpowiedniej perspektywie. Ale profesor Einstein odchodził, z rękami w kieszeniach, już zatopiony w jakiejś spirali myśli, której Martin nawet nie umiałby zacząć sobie wyobrażać. Młody człowiek patrzył za nim. Potem nagle wstał i zaczął biec, oddalając się od Einsteina, w kierunku przeciwnym do całego Princeton, przez rozległe, zielone boiska, wprost do biura Western Union, gdzie lekko drżącymi rękami pisał na stojąco telegram do Klary Swift: WRACAM DO DOMU DO CIEBIE NA DOBRE STOP SPOTKAJ SIĘ ZE MNĄ W ALTANCE O ÓSMEJ STOP MARTIN

Tego wieczoru, 27 maja 1952 roku, w spokojny, bezwietrzny wieczór Martin wysiadł z pociągu w północnej części stanu Nowy Jork na stacji Longwood Falls i przeszedł przez miejski skwer do altanki, gdzie siedziała Klara w sukience bez rękawów. Ukrył twarz na jej ramieniu.

- Na dobre? - zapytała cicho, a on potrafił tylko skinąć głową.

4

Abby wcisnęła w magnetofonie przycisk „pauza”, zatrzymując opowieść Martina Rayfiela w pół zdania. Siedziała przy biurku z uniesionymi nogami, nie ruszając się przez ponad pół godziny, a kiedy teraz przesunęła się w fotelu, poczuła, lekki szum w głowie - czy to po winie, czy też wskutek usypiającego efektu głosu Martina, nie wiedziała.

Usiadła prosto i przyciągnęła fotel bliżej biurka, by móc lepiej przyjrzeć się zdjęciom leżącym wśród stosu rzeczy w otwartym neseserze Martina Rayfiela. Najpierw zobaczyła starą, wyblakłą, czarno-białą fotografię nieśmiałej, lecz ładnej dziewczyny; na odwrocie Abby przeczytała słowa nakreślone staranną ręką: „Klara 7 12 1949”. Potem znalazła zdjęcie przystojnego chłopca, akurat na progu dorosłości. Wiedziała, że to był Martin, i rzeczywiście jako młodzieniec miał aparycję tak imponującą, jak to sobie

wyobrażała. Na zdjęciu stał na tle srebrnego boku samochodu, ze skrzyżowanymi rękami, wysoki, szczupły, czarnowłosy i wyraźnie, całym sercem nieszczęśliwy. Nic dziwnego - kiedy Abby odwróciła fotografię, wyłonił się napis: „Martin, pierwszego dnia w Princeton, 1949”.

Abby oglądała dalej i znalazła jeszcze kilka zdjęć: Martin przed domem rodziców, Klara z siostrą Margaret na ich małym podwórku, lecz na żadnym z nich, przynajmniej wśród tych leżących na wierzchu nie natrafiła na Klarę i Martina razem. Jasne, pomyślała Abby: nikt nie pochwalał ich związku, z nikim nie mogli o tym rozmawiać, nie mieli żadnego przyjaciela, którego mogliby poprosić o zrobienie im zdjęcia.

Nadal przeszukiwała górną warstwę przedmiotów i papierów. Znalazła list, który Klara napisała do Martina jego pierwszego dnia w college'u. Pismo wyglądało dokładnie tak jak sobie wyobrażała: staranne, zaokrąglone, wyraźnie kobiece. Abby podniosła kartkę do nosa i mogłaby przysiąc, że nadal, po tych wszystkich latach, wciąż czuje ostatni ślad zapachu mydła cytrusowego, którym pachniało wszystko, czego dotknęła Klara. Odłożyła papier i zdjęcia, a następnie wyjęła z aktówki kilka starych, różowych świstków: kwity opłat za pokój w motelu Lookout, podpisane w latach 1949, 1950, 1951 i 1952 przez Johna i Alice Harrisonów z Saratoga Springs w stanie Nowy Jork. Teraz motel już nie istniał. Abby pamiętała, że został zburzony kilka lat wcześniej i wybudowano na tym miejscu osiedle mieszkaniowe. Potem znalazła telegram Martina do Klary z 27 maja 1952 roku, z postrzępionymi brzegami, na papierze tak delikatnym jak stara serwetka.

I tam, zaraz pod telegramem, zobaczyła dwa wyblakłe szare bilety - właściwie połówki biletów. Odcinki. Druk na nich był bardzo blady i Abby musiała zmrużyć oczy, że

by odczytać słowa. Zobaczyła *Idlewild* i *Orły*, oraz 28 maja 1952. Więc jednak dotarli do Europy. I dopiero wtedy Abby zdała sobie sprawę z tego, jak bardzo miała nadzieję, że tak się stało. Wsiedli do samolotu i polecili do Europy, pełni entuzjazmu, wzruszeni, przestraszeni.

Abby przypomniała sobie tę samą mieszaną emocji, to uczucie rozpoczynania czegoś zupełnie nowego. Przydarzyło jej się to tylko raz i nie musiała podróżować na inny kontynent, by tego doświadczyć. Przed dziewięciu laty na tłumnie odwiedzanej wystawie sztuki w Nowym Jorku zobaczyła wysokiego mężczyznę opierającego się o ścianę, niebezpiecznie blisko brzydkiego obrazu przedstawiającego krzyczące małpy. Trzymał plastikowy kubeczek jakiegoś kiepskiego wina, podawanego na wernisażach sztuki i rozmawiał swobodnie z grupką ludzi. Zauważyła go -głęboko brązowe włosy i oczy, sposób, w jaki zabawiał innych - a potem on zauważył, że go spostrzegła i wkrótce przesuwał się przez tłum w tę stronę sali, gdzie znajdowała się Abby. Przez kilka sekund stali w milczeniu, udając, że oglądają obrazy.

- A więc - odezwał się wreszcie - lubi pani krzyczące małpy? Pracował jako pośrednik w handlu dziełami sztuki w Los Angeles, a ona jako asystentka do spraw wydawniczych. Abby, całkiem logicznie, pomyślała: To jest to. I Sam Bachman to rzeczywiście było to, w każdym razie przez jakiś czas. Nigdy nie musieli borykać się z koncepcją „miłości”. Przyszła wcześniej, łatwo i bez cienia powściągliwości. Mówili sobie o tym beztrudnie przez telefon kilka razy dziennie, a potem osobiście prawie każdego wieczoru, kiedy przebywali razem w jednym mieście, a nawet kiedy nie mogli mówić, i tak to wyrażali. Kocham Cię mówiła notatka w miseczce na słodycze, Kocham Cię mówi

ła karteczka w mydelniczce. Kocham Cię mówił liścik w jej portmonetce. A kiedy Abby wspominała ich dwa wspólne lata i usiłowała zrozumieć, co poszło nie tak -dlaczego wierzyła w to wszystko, w co wierzyła - zastanawiała się, co innego mogła zrobić przy tak wielu dowodach.

Tym właśnie na koniec okazała się cała historia: mnóstwem dowodów, papierowym szlakiem, który byłby przekonujący, gdyby miała się odwoływać tylko do rozumu. Przez jedną szaloną chwilę, siedząc z Samem na sofie w pokoju dziennym swego mieszkanka, na czternastym piętrze anonimowego budynku w zachodniej części niespokojnego miasta, rzeczywiście pomyślała o przyniesieniu karteczek, o tym, by zniknąć w drugim pokoju i zebrać - zdawałoby się - bezdenne pudełka po butach pełne wszelkich świadectw jego miłości do niej, które zachowała, i wysypać je jak lawinę śnieżną poskładanych białych kartek, jakby miała powiedzieć: Widzisz? Widzisz? Widzisz? Jak gdyby sama objętość dowodów mogła wystarczyć, by zmienić zdanie i chciał zostać z Abby i wychowywać ich dziecko, które miała urodzić osiem miesięcy później.

Tymczasem siedziała bez słowa i pozwoliła jemu mówić.
- Jeżeli się na to zdecydujesz, to koniec z nami - powiedział. - Przykro mi, ale nie będę miał z tobą nic więcej do czynienia. Sam zachowywał się jak ktoś zupełnie obcy, siedząc sztywno i bez ruchu na jej sofie. W jednej, zapierającej dech w piersiach chwili zniknął pełen swobodnego wdzięku wysoki mężczyzna opierający się o ścianę galerii sztuki i bawiący wszystkich; na jego miejscu siedział sztywny facet, zimny i nieugięty.

- Nie jestem gotowy, żeby być ojcem. Jeśli ty uważasz, że jesteś gotowa, by być matką, to świetnie. To twój wybór, ale - dodał - ja nie chcę mieć nic wspólnego z dzieckiem.

Dziecko. Sam wyniósł potencjalne niemowlę wprost z cudownego niemowlęctwa na troszkę mniej niewinne wody, zwane dzieciństwem, i w tym momencie chęć walki całkowicie opuściła Abby. Widzisz? Widzisz? Widzisz? Mogłaby mówić do woli, lecz teraz wiedziała, że jego odpowiedź się nie zmieni: Nie. Sam wstał i powiedział:

- Myślę, że to już koniec - odwrócił się i wyszedł z jej mieszkania. Abby siedziała jeszcze przez kilka minut, niezdolna, by się poruszyć, zadzwonić do przyjaciółki, zapłakać, czy zrobić cokolwiek innego. Była od niedawna niespodziewanie w ciąży, ale już czuła zmiany w głębi siebie. Przemyślił to, powiedział Sam, i ona to zrobiła. Urodzi tego dzidziusia, to dziecko, które ostatecznie okazało się Mirandą Rose Reston. Lecz Sam w jakiś sposób był dla niej na zawsze stracony i tego faktu dotąd, po ponad sześciu latach, wciąż nie potrafiła do końca pojąć. Kochała go, pozwoliła, by ją posiadał, a potem on odszedł, tak po prostu. Abby wpatrywała się teraz w fotografię młodego, smutnego Martina, tęskniącego za Klarą tego pierwszego dnia w college'u i myślała o mężczyźnie, który poprzedniego dnia zjawiał się u niej w biurze. To był ten sam człowiek. Jak to możliwe? Pomyślała też o własnym ojcu: wtedy, w przeszłości, nieco dalekim mężczyźnie w miękkiej flanelowej koszuli; a teraz i on odszedł na zawsze. Abby podniosła zdjęcie Klary z tego odległego w czasie lata i spojrzała w oczy dziewczyny, która dawno temu wyrosła na kobietę, a potem zmieniła się w osobę, która, podobnie jak

Martin Rayfiel stojący w drzwiach jej pokoju dzień wcześniej, musiała być teraz niemal stara.

Ale byli wciąż zakochani. I to właśnie różniło historię miłości, jaka rozwijała się przed nią przez cały wieczór, od wszystkiego, co Abby spotkała we własnym życiu. Wiedziała, jak ta opowieść się skończy. Wpatrywała się w młode twarze kobiety i mężczyzny na zdjęciach leżących teraz obok siebie na jej biurku i wiedziała to, czego nie mogła wiedzieć, patrząc w oczy mężczyzny na otwarciu galerii sztuki w Nowym Jorku: pięćdziesiąt lat później nadal będą się kochali.

- Pani Frayne? - mówiła Abby przez telefon chwilę później. -

Proszę posłuchać, tu w biurze coś mi wypadło.

- Nie ma sprawy - odparła gospodyni. - Mogę sobie pościelić w pokoju gościnnym i ułożyć się tam.

- Nie będzie to pani przeszkadzało?

- Chodzi o noc?

Abby popatrzyła na stosik kaset na biurku i plik zdjęć wypełniających aktówkę.

- Możliwe - powiedziała przepraszającym tonem głosu. Kiedy odłożyła słuchawkę, włączyła znów taśmę i głos

Martina podjął opowieść, a ona bawiła się zdjęciami Martina i Klary na biurku, przysuwając je coraz bliżej do siebie, aż się zetknęły.

Martin i Klara właściwie nie uciekali. Robili coś znacznie odważniejszego, przynajmniej jak na środowisko Longwood Falls w 1952 roku: jechali wspólnie do Europy, mężczyzna i kobieta, bez ślubu - już nie pan i pani Harrison, ale też jeszcze nie pan i pani Rayfiel.

Plan, kiedy się wykuł, okazał się prosty i zdawałoby się bezbłędny. Następnego dnia Martin miał zabrać z sejfu ro-

dzinnego pewien przedmiot - coś, co do niego należało, i co mógł łatwo sprzedać w Europie i dobrze się za to utrzymywać przez kilka miesięcy. Klara miała przynieść swój akt urodzenia i formularze paszportowe, żeby je poświadczyć w kancelarii i wyrobić paszport w Nowym Jorku, a potem, wieczorem, mieli polecieć do Europy. Pieniądze, jakie Martin już posiadał na swoim koncie bankowym, powinny wystarczyć na opłacenie przelotu. Kiedy jesienią Martin skończy dwadzieścia jeden lat, przejmie cały należny mu spadek, a za to będą mogli żyć z Klarą, jak długo zechcą. W Europie mógłby się nauczyć, jak zostać szefem kuchni, próbując wszystkiego, zaglądając do kuchni restauracji w jednym mieście po drugim, a Klara mogłaby studiować rzeźbę. Ich życie, jak sobie wyobrażali, nie miałyby wyraźnie określonych granic.

- Jest jedna sprawa - powiedziała do niego Klara, gdy siedzieli w altance i robili plany. - Co z małżeństwem? Właściwie niewiele o tym mówiliśmy.

Martin popatrzył na nią, naprawdę zaskoczony. Cichym głosem powiedział, iż wie, że w końcu kiedyś się pobiorą, lecz nie widzi z tym teraz pośpiechu. Podobała mu się koncepcja, by nie brać natychmiast ślubu i żyć życiem, które wydawało się, jak na normy tamtych dni, niekonwencjonalne.

- Weźmiemy ślub, kiedy postanowimy zamieszkać na stałe w jakimś miejscu - powiedział Klarze. - Co o tym sądzisz? Stwierdziła, że to brzmi świetnie, lecz nadal była bardzo przestraszona. Rysy osobowości jej matki teraz jakby się w niej ujawniały. Chciała wyjechać z nim do Europy -zawsze o tym marzyła - ale tak się bała. Nie wiedziała, jak pożegnać się z rodzicami i siostrą. Czy miała posadzić ich wszystkich razem w maleńkiej kuchni i przekazać wiado-

mość? Nie. Zrozumiała, że znacznie lepiej będzie po prostu wyjechać, zostawiając na stole w kuchni list wyjaśniający, z prośbą, by się o nią nie martwili, choć, oczywiście, i tak będą zatroskani. Nie była małą dziewczynką, miała dwadzieścia jeden lat; więc dlaczego czuła się taka winna?

Klara i Martin rozstali się do następnego dnia, kiedy mieli wyruszyć pociągiem do Nowego Jorku, aby wieczorem odlecieć z lotniska Idlewild. Po rozstaniu z Klarą Martin poszedł do domu na Crest, gdzie jego widok zszokował rodziców. Żeby więc nie robić sceny, skłamał, mówiąc, że dzień wcześniej przystąpił do wszystkich egzaminów.

Matka zdawała się mu wierzyć, przez zasłonę alkoholu, a ojciec tylko uniósł brwi i nie odezwał się słowem. Jednak późnym wieczorem, kiedy Martin siedział w swoim pokoju, usłyszał ciężkie kroki na wyściełanych dywanem schodach. Podniósł wzrok. Ojciec opierał się o framugę drzwi chłopięcego pokoju swego syna i zaglądał do środka, patrząc na stare oprawione ryciny dzikich zwierząt, które wisiały na ścianach oraz trofea pływackie i baseballowe, stojące na półkach. Wszystkie one wydawały się Martinowi relikdami z dzieciństwa kogoś innego, nie jego własnego.

- Zatem - odezwał się Ash Rayfiel - jak poszły ci egzaminy końcowe?

- Nie najgorzej - odparł Martin sztywno.

- Miło mi to słyszeć - powiedział ojciec. - Pamiętam, jakie bywają trudne. Siedzi się tam godzinami, zgarbionym nad ławką, w otoczeniu innych mężczyzn, wszystkich skrajnie zdenerwowanych, i słyszy się tylko skrzypienie piór po papierze.

- No właśnie - odrzekł Martin, patrząc na podłogę.

- Spójrz na mnie - rzekł Ash Rayfiel i oczy Martina podniosły się do miejsca, gdzie stał jego ojciec.

- Jesteś patologicznym kłamcą - ciągnął pan domu spokojnie. - Ale, jak sądzę, to nie przeszkadza tej twojej dziewczynie. To dobrze pasuje do jej własnych wad charakteru. Co ją obchodzi, że rzuciłeś college na dzień przed końcowymi egzaminami, że skłamałeś, by pasowało to do twoich małych potrzeb? Ona dba, jak myślę, tylko o pieniądze. Kapelusze - jak to się mówi - z głów.

- Mylisz się - odezwał się Martin.

- Czyżby? - zapytał ojciec. - Słuchaj, musisz się z tym zmierzyć. To dziewczyna bez żadnych zalet. Zero. Wyobraź sobie, że została przeznaczona do lepszego życia, wyłączając ten niedogodny fakt, że trafiło jej się być córką faceta od remontów i porządków. Więc wbiła sobie do głowy, że ty będziesz tym, który zmieni wszystko, że ty możesz jej życie uczynić o niebo lepszym. I rozpaczliwie goni za tobą. A ponieważ ty jesteś niedoświadczony, łatwowierny i wyraźnie umierasz z pragnienia, by dostać się pod jej spódnicę, łapiesz się na przynętę. Martin siedział w fotelu zupełnie nieruchomo i prosto. Wreszcie, gdy ojciec skończył mówić, zapytał: - Jak doszło do tego, że jesteś tak podejrzliwy wobec wszystkich? Czy taki się urodziłeś, czy może jest coś w wodzie w tym mieście?

Jego ojciec wyglądał na rozbawionego.

- To trudno powiedzieć - odparł, a potem przerwał na chwilę, zmieniając temat. - Dziekan Princeton dzwonił do mnie - powiedział. - To stąd dowiedziałem się, co zrobiłeś. Ale twoja matka jeszcze nie wie. Była w klubie, kiedy zadzwonił telefon, więc nie jest jeszcze świadoma twego wyczynu.

- Kiedy zamierzasz jej powiedzieć? - zapytał Martin.

- Jeszcze nie zdecydowałem - powiedział Ash. - Wkrótce.

Oczywiście, będzie zrozpaczona.

- No, cóż - odezwał się Martin - chyba umie wyleczyć się wódką.
- Natychmiast pożałował tej w niezamierzony sposób okrutnej uwagi.

Ash wpatrywał się nieruchomo w syna.

- Masz wybór - ciągnął. - Możesz iść dalej tą niszczącą ciebie drogą, albo też możesz wrócić rano do Princeton. Uzyskałeś pozwolenie na przystąpienie do wszystkich egzaminów jutro po południu w gabinecie dziekana, bez żadnej kary, pod warunkiem że stawisz się tam punktualnie o godzinie trzeciej, odpowiednio skruszony.

- Co zrobiłeś, żeby zmusić dziekana do wyrażenia zgody na coś takiego? - zapytał Martin. - Czy zaproponowałeś kapelusze dla całego wydziału do końca twego życia?

- To nie ma znaczenia - szybko powiedział Ash. - Uratowało to rodzinę od kłopotu. A tylko to się liczy. - Potem odwrócił się i zszedł po schodach.

Martin podszedł do łóżka, wiedząc, że będzie to jego ostatnia noc spędzona tutaj. Kiedy leżał, patrząc w sufit, a jego palce dotykały rzeźbionego podnóżka, myśl o opuszczeniu tego zbyt dużego domu i tego zbyt małego łóżka wywołała w nim ogromny, zaskakujący smutek. Nigdy nie lubił tego miejsca, a teraz je opuszcza; to sentymentalne uczucie zdawało się pochodzić znikąd, ale mimo to przez pół nocy nie dawało mu zasnąć.

Tam, u stóp wzgórza, przy ulicy Badger - wyobrażał sobie - Klara przeżywa ostatnie godziny swego dziewczęcego okresu, potajemnie pakuje ubranie i akt urodzenia, zabrany z pokoju, w którym sypiała od dnia swych narodzin. Na łóżku stało kilka wypchanych zwierzątek, które należały do niej, kiedy była małą dziewczynką. Wszystkie przez długie lata raz po raz zszywano i łatano, i niezależnie od ich pierwotnego koloru, teraz

wszystkie miały barwę szarego błota, pokrywającego ziemię w Longwood Falls, gdy wiosną topniał śnieg. Klara miała opuścić ten pokój, który dzieliła ze swą siostrą: toaletkę z zestawem buteleczek wody toaletowej i szczotek poprzetykanych cienkimi, jasnymi włosami oraz różnych tubek po szminkach, od dawna pustych. Lucas i Maureen Swiftowie będą zatroskani i pełni żalu po stracie młodszej córki. Ale nie będzie tak, jakby umarła. Będzie bardziej żywa niż dotychczas. Właściwie, stanie się inna. O dziewiątej rano, po tym jak ojciec wyszedł do pracy i zanim matka się zbudziła, Martin spotkał się z Klarą przy żywopłocie przed jego domem na Crest. Poprosił ją, żeby przyszła tu o tej godzinie, nie mówiąc dlaczego, a ona, choć przestraszona, zgodziła się.

- Muszę ci coś powiedzieć - zaczęła, zanim zdążył się odezwać. Przyglądała się swoim dłoniom. Za kilkoma paznokciami została czerwona glina. - Nie mogłam wziąć swojego aktu urodzenia. Byłam przekonana, że będzie z dokumentami rodziców w szafie w korytarzu, ale nie było go tam, a nie mogłam wprost zapytać, gdzie on jest, bo wiedzieliby, że coś się szykuje, i ... - przerwała, niepewna, jak złagodzić tę katastrofę.

Martin przytrzymał ją za ramiona, a potem przytulił.

- W porządku - powiedział i zrozumiał, że ona płacze. Czuł, jak jej ramiona wnoszą się i opadają na jego klatce piersiowej. - W porządku. Coś wymyślimy.

- Podoba mi się, jak tak mówisz - powiedziała. - To my.

Jednak, mimo że teraz byli „my”, dostanie się do Europy okazało się nie tak łatwe, jak sądzili. Martin i Klara weszli do jego domu przez wejście dla służby, gdzie gruba kucharka szwajcarska ucierała kawał sera wielkości słownika. Kiedy przechodzili, popatrzyła za nimi przy-

mrużonymi oczami, ale tarła dalej, jej ręka mocno naciskała ogromny kawał sera, a wiórki szybko wpadały do miski. Martin wyprowadził Klarę z terenu dla służby i powiódł do marmurowego hallu, który lśnił jak ciemne jezioro, a potem do jadalni z drzewa wiśniowego.

Co my tu robimy? - wyszeptała, lecz on tylko położył palec na ustach. Na ścianie tego pokoju, z jego długim, oficjalnym, lakierowanym stołem pośrodku, wisiał obraz Frederica Remingtona przedstawiający jakiegoś dawno nieżyjącego mężczyznę na dawno nieżyjącym koniu. Martin ostrożnie zdjął obraz. - Na Boga, kradniesz go? - wyszeptała Klara, zszokowana, lecz on potrząsnął głową i uśmiechnął się, pokazując sejf ukryty za obrazem. Zręcznie wystukał odpowiedni szyfr, potem przekręcił rączkę metalicznie szarego sejfu i drzwiczki się otworzyły. W środku, w ciemności małej wnęki znajdowały się różne papiery wartościowe, obligacje i pospinane pliki banknotów. Wreszcie jego palce trafiły na to, czego szukał: złoty herb rodowy rodziny Rayfie-lów, który dosłownie obsypywały diamenty i lazuryty. Był to napuszony, brzydki przedmiot, o wymiarach około piętnaście na dwadzieścia trzy centymetry, który przed wielu laty powierzył Martinowi jego dziadek, Simon Rayfiel. Miał wisieć na ścianie albo zostać wypożyczony do muzeum. Należał do Martina od chwili jego narodzin, chociaż chłopiec nigdy nie poświęcił mu ani jednej myśli.

Teraz jednak wziął przedmiot, kładąc go na dłoni. Jeśli jego ojciec zamierzał rzucać na szalę swoje pieniądze, Martin zrobi w odpowiedzi to samo. To będzie cicha gra między ojcem a synem, dialog bez słów.

Klara wpatrywała się w przedmiot.

- Nigdy czegoś takiego nie widziałam, przez całe moje życie - wyszeptała.

- Tak, czyż to nie jest niewiarogodnie brzydkie? - odparł i wsunął herb do kieszeni marynarki, zamknął sejf i z powrotem powiesił obraz na ścianie. Wtedy, w chwili gdy Martin i Klara wychodzili z pokoju, usłyszeli jakiś dźwięk w korytarzu.

Odwróciwszy się, Martin zobaczył matkę. Miała na sobie długą brokatową suknię, luźno związaną paskiem; jej jasne włosy były nieuczesane, a oczy zaczerwienione. Wyglądała zarazem na kruchą i zniszczoną; picie zmieniło ją do tego stopnia, że Martin prawie nie miał o niej wspomnień, w których nie występowałaby z kieliszkiem w ręce.

- Martin? - odezwała się.

Nagle do pamięci Martina wdarło się jakieś wspomnienie, tylko fragment, prawdziwy, z jego wczesnego dzieciństwa: matki obejmującej go przed wieczornym wyjściem z ojcem do klubu. Przypomniawszy sobie błysk jej pereł i poczuł ciepło dłoni spoczywającej na jego głowie. Uważał wtedy, że jest najpiękniejszą kobietą na świecie.

- Co robisz, kochanie? - zapytała teraz.

- To moja przyjaciółka, Klara - powiedział cicho, nie odpowiadając właściwie na jej pytanie. - Mamy parę spraw do załatwienia.

- Ach, rozumiem - powiedziała matka, choć oczywiście nic nie rozumiała, a jej głos brzmiał jak zawieszony, zagubiony. Przez chwilę wpatrywała się w Klarę. - Ona jest śliczna, Martinie - powiedziała szeptem, jakby Klary w ogóle tam nie było.

- Prawda? - odpowiedział i wyszli z domu.

Musieli zająć się jednym trudnym zadaniem: poświadczeniem notarialnym wniosku paszportowego Klary bez ak-

tu urodzenia. Weszli razem do kancelarii Hudson Valley Trust and Loan i Martin poprosił o spotkanie z kierownikiem, panem Clendonem. Wyjaśnił sytuację, pokazując mu dokumenty, tłumacząc, że brakuje aktu urodzenia Klary. Ale kierownik po dłuższym wpatrywaniu się w nich przez swe okulary bez oprawek potrząsnął głową. Lekko pokaszując, powiedział, że bez aktu urodzenia papiery nie mogą zostać potwierdzone notarialnie. Martin spojrział na urzędnika i błagał go o zrobienie wyjątku ten jeden raz.

- Niech pan posłucha, znam ją dobrze - mówił. Potem dodał - Przecież zna mnie pan, zna pan moją rodzinę. Czy nie może pan ten jeden raz poświadczyć dokumentów bez aktu urodzenia?

Mężczyzna jednak potrząsnął głową.

- To byłoby nielegalne - stwierdził i wydał usta. - Właściwie powinienem chyba zadzwonić do pańskiego ojca i z nim to załatwić.

Martin mimo wszystko podziękował mu i szybko wyprowadził Klarę z kancelarii. Nie mając dokąd iść, poszli na łąkę i leżeli jak ogłuszeni na trawie, prawie się nie ruszając.

- Chcę, żebyś wiedziała, że jest mi bardzo, bardzo przykro - odezwał się wreszcie do niej. - Obiecałem ci, że pojedziemy do Europy. Ty chciałaś, a ja cię rozczarowałem. Nie dopełniłem wcześniej mojej części zadania; nie sądziłem, że będzie z tym taki problem.

- W porządku, Martin, naprawdę - odparła. - To także moja wina. Myliłam się co do miejsca, gdzie rodzice trzymają mój akt urodzenia.

- To nie twoja wina.

- Próbowaliśmy - powiedziała Klara - i się nie udało. - Potem dodała jeszcze: - Może to znak. Znak, że nie powinniśmy jechać.

- Znak? - powtórzył. - Nie ma czegoś takiego jak znaki. -
Podszedł do niej bliżej. - Nie wycofuj się teraz - wyszeptał. -
Proszę. - Nie odpowiedziała. - Posłuchaj - mówił dalej, - pozwól
mi wypróbować coś jeszcze. Czy poczekasz tu na mnie?
Po chwili skinęła głową. - Dokąd idziesz? - zapytała.
- Zobaczyć się z przyjacielem - tyle tylko powiedział.
Kiedy po pewnym czasie Martin wrócił, przyprowadził ze sobą
wysokiego młodego mężczyznę, mniej więcej w ich wieku, o
niespokojnych palcach i spiętym wyrazie twarzy.
- Klaro - powiedział Martin - to osoba, o której ci mówiłem.
Zawsze nazywaliśmy go Hush, bo jest najbardziej wyciszonym
człowiekiem, jakiego znam.
Mężczyzna uśmiechnął się do Klary i podał jej rękę. Od razu go
polubiła, wyczuła powagę jego charakteru.
- Słuchaj, Klaro - odezwał się Hush - Martin powiedział mi, że
masz mały kłopot z paszportem, a ja obiecałem, że spróbuję
pomóc. - Hush zdał niedawno publiczne egzaminy notarialne.
Był najmłodszym notariuszem w całej okolicy, jak Martin
poinformował Klarę, i gdyby kiedykolwiek wyszło na jaw, że
poświadczył wniosek paszportowy bez aktu urodzenia, straciłby
licencję i znalazł się w poważnych tarapatkach prawnych. Jednak
Hush wziął głęboki oddech, a potem stemplował, pieczętował i
podpisywał kartki podania Klary we wszystkich potrzebnych
miejscach.
- No, to jesteście w drodze - powiedział, kiedy skończył, podając
im dokumenty.
- Nie umiem wyrazić, jak bardzo doceniamy to, co zrobiłeś -
odezwał się Martin. - Teraz Klara i ja możemy się stąd wydostać
raz na zawsze.

Klara przez długą chwilę patrzyła na przyjaciela Martina.

- Ciekawi mnie - powiedziała do niego - co sprawiło, że to dla nas zrobiłeś. Wiem, że to nielegalne. Wiem, że to duże ryzyko.

Hush wzruszył ramionami. Najpierw nic nie powiedział, w końcu jednak popatrzył na swoje ręce i zaczął mówić.

- Sam ostatniego lata poznałem pewną dziewczynę - powiedział cicho - i zamierzamy się pobrać jesienią. Wszyscy, których znam, uważają, że to wspaniale. Jej rodzice kochają mnie; moi rodzice kochają ją. I ja ją kocham, oczywiście; cudownie się śmieje, potrafi gwizdać przez zęby i jest piękna. - Przerwał na chwilę, podniósł wzrok i dodał: - Nie wiem, co bym zrobił, gdybym nie mógł być z nią.

Klara i Martin próbowali mu raz jeszcze podziękować, chcieli powiedzieć, że przyślą mu upominek z Europy - może szkło, czy szal dla narzeczonej - ale Hush powstrzymał ich ruchem ręki.

- Proszę - powiedział zakłopotany - po prostu jedźcie. Musicie złapać samolot.

Zbliżała się północ, kiedy znaleźli się w samolocie, który miał lecieć przez Atlantyk. Usiedli na swoich siedzeniach z wysokimi oparciami w pierwszej klasie, sztywni ze strachu, do którego się nie przyznawali, niemal nie odważając się odezwać czy dotknąć stojących przed nimi tac z jedzeniem. Klara nigdy przedtem nie leciała samolotem, więc jej przerażenie wiązało się trochę z faktem, że znajdowała się tysiące metrów ponad wodą. Ale dla Martina ten lęk był czysty: chciał czegoś, a teraz to dostał.

A to, czego chciał, porywało go z życia, jakie znał. W college[^], podczas lekcji poezji dowiedział się, że wielcy poeci porównywali miłość do siły, która „przenosi”. Właśnie teraz, pomyślał, miłość przenosiła Klarę i jego przez cały huczący ocean, z dala od rytmu piosenek i wygładzonych brzegów dzieciństwa, od wszystkiego, co znajome, co poznane.

Kiedy w świetle dnia samolot dotknął pasa lotniska Orły we Francji, Martin odwrócił się i mocno pocałował Klarę w usta. - Więc to jest to - powiedział.

- To jest to - powtórzyła, choć żadne z nich nie wiedziało naprawdę, czym było „to”.

Nieco później wprowadzili się do pokoju w hotelu George V. Lokaj pokazał im, gdzie się wszystko znajduje - nawet, ku ich rozbawieniu, zsymp na bieliznę pościelową i krany z zimną i ciepłą wodą przy umywalce. Dali mu wysoki napiwek, a on wycofał się, pomrukując. Z zewnątrz dobiegały przytłumione dźwięki klaksonów francuskich samochodów, sporadyczny gwizd czy nagły krzyk, widać było rzędy drzew i wszędobylską wieżę Eif-fela, górującą nad wszystkim jak opiekuńcza matka, pomyślała Klara.

Jej własna opiekuńcza matka została bardzo daleko, poza zasięgiem, a tutaj, w tym pokoju hotelowym o kremowych ścianach, z poduszkami w kształcie wałka, bidetem w łazience i firankami z gazy powiewającymi w otwartym oknie, było tylko ich dwoje: wyczerpany mężczyzna i wyczerpana kobieta, zapadający się w miękkie łóżko, czekający, co się teraz wydarzy.

5

Wieczorem zabytki Paryża podświetlano pojedynczymi białymi wiązkami światła reflektorów, świecących aż do północy, kiedy bezceremonialnie je wyłączano i pokaz kończył się aż do następnego wieczoru. Klara zastanawiała się, czy paryżanie mieli to samo poczucie cudowności, co ona, kiedy patrzyli na rozjaśniony mlecznym światłem Obelisk i katedrę Notre Dame, czy po prostu przyjmowali to wszystko za oczywiste, tak samo jak dawno temu ona zaczęła przyjmować za oczywiste mniej ważne, nieoświetlone atrakcje Longwood Falls.

Oboje z Martinem przebywali poza hotelem każdego wieczoru, przynajmniej do czasu wygaszenia świateł. - Dobranoc, Notre Dame - mówił Martin, stojąc na moście i obserwując, jak katedra zapada w ciemność. - Śpij dobrze.

Sen nie należał do spraw, których aktywnie pragnęli. Paryż w 1952 roku sprzyjał ludziom młodym, Amerykanom

i w pełni rozbudzonym. Miasto odzyskało już swoją świetność po zniszczeniach wojennych, w większości powracając do tego, czym było dawniej i teraz przybywali tu wszyscy, dysponujący jakimś zasobem energii, romantyzmu i kieszonkowego.

Napływali ze Stanów Zjednoczonych i w każdej kawiarence słyszało się czysty akcent amerykański, wznoszący się ponad stukającym szkłem czy akcentowanymi sylabami ludzi mówiących pospiesznym językiem francuskim.

Początkowo Martin i Klara stronili od innych Amerykanów, chcąc pozostawać tylko we dwoje w tym nowym mieście, zapomniać, że kiedykolwiek mieszkali gdzie indziej. Mieli pieniądze ze sprzedaży herbu rodzinnego Martina starszemu, renomowanemu pośrednikowi, który siedział na stołku i długo wpatrywał się przez okular w zdobiące go klejnoty. Stanowiło to ogromną sumę, pozwalającą im żyć na wysokim poziomie do późnej jesieni, kiedy Martin miał skończyć dwadzieścia jeden lat i upomnieć się o swoje pełne dziedzictwo.

Pewnego popołudnia zabrał ją do butik Chanel. Duże sale były chłodne i pachnące, i choć początkowo Klara się opierała, wprowadził ją do środka i zobaczył błysk zainteresowania w jej oczach, kiedy patrzyła na czyste linie tkanin, wysokie modelki przechadzające się jak gazy i inne kobiety, które pojawiały się od czasu do czasu. Mężczyźni stali z boku i Martin przyłączył się do nich, krzyżując ręce. Pomyślał, że przypominało to dziwny, prowokujący rytuał seksualny: kobiety wchodziły do przebieralni i nakładały wytworne stroje, po czym wychodziły zza białych zasłon, by pokazać mężczyznom swoje nowe, lepsze ja. Kobiety wdzięczyły się; mężczyźni aprobowali to. Ktoś przyniósł tacę z napojami alkoholowymi dla panów i Martin wziął szklanekę, jakby znajdował się na przyjęciu koktajlowym,

a nie w sklepie. Klara przymierzała kostium w kolorze zielonych jabłek. Przyszło mu na myśl, że większość kolorów porównywał z jedzeniem - nie, większość rzeczy porównywał z jedzeniem; nic nie mógł na to poradzić. Kostium leżał na niej doskonale, mimo że odmówiła założenia kapelusza, Móry podała sprzedawczyni.

- Nie, nie - powiedziała Klara, podnosząc rękę. Nadal nienawidziła uczucia nakrytej głowy, choć upierała się, że to nie ma nic wspólnego z faktem, iż jego niesympatyczny ojciec sprzedaje kapelusze. Nie lubiła po prostu, by coś przygniatało jej włosy; chciała przez cały czas czuć się swobodnie.

I rzeczywiście czuła się tu, w Europie, swobodnie; powiedziała mu o tym, gdy wyszli ze sklepu Chanel z błyszczącą torbą na zakupy, wypchaną bibułą i kostiumem w kolorze zielonego jabłka, który kosztował tyle, że aż się przeraziła. Szli wzdłuż Sekwany - Klara wymachując torbą, Martin karmiąc ptaki małymi kawałkami bułki, którą tego ranka włożył do kieszeni na koniec podanego do pokoju śniadania. Wydaje się taka szczęśliwa, pomyślał, obserwując ją. Nigdy nie widział, by tak wyglądała w Longwood Falls. Nawet tego pierwszego dnia w altanie kryło się w niej coś strzeżonego, powstrzymanego, w niewidzialny sposób przytłumionego. Teraz się otwierała, rozkwitała; zastanawiał się, w co się rozwinie.

Tego wieczoru założyła swój kostium od Chanel, a on nową ciemnoszarą, lnianą marynarkę i zjedli kolację w maleńkiej restauracji w okolicy Pola Marsowego, zwanej Solange. Salę, która wychodziła na ogród, oświetlały małe pachnące świece, a kelnerzy poruszali się cicho po deskach podłogi. W trakcie posiłku Martin stwierdził, że jedzenie jest doskonałe. Nie było w nim nic rewolucyjnego; po raz pierwszy na talerzu wraz z potrawą nie pojawi-

ły się żadne szokujące podwójne smaki i zapachy. Jedzenie zasługiwało po prostu na miano doskonałego: wszystko, począwszy od ukrytego w kopercie ze złożonej serwetki, pieczywa w koszyku poprzez solę szpikowaną kaparami, sałatkę lśniącą od dobrej oliwy i octu winnego oraz kuszący półmisek serów o silnym zapachu, aż po delikatną tartę, która niestety kończyła kolację.

Martin niewiele mówił podczas posiłku; po prostu dogłębnie badał to doświadczenie, rozglądając się dokoła, obserwując sposób, w jaki stał kelner ze szczypczykami do pieczywa, przyglądając się, jak inny kelner jednym pewnym, i zamaszystym ruchem wyciągał ości z ryby, a trzeci otwierał butelkę wina i czekał cierpliwie, aż starszy pan skosztuje pierwszy, powolny łyk. Tak się to robi, myślał sobie, i wiedział, że chciałby pewnego dnia mieć własną restaurację. Nie byłoby to jednak w Paryżu, bo nigdy nie osiągnie wystarczającego kunsztu w kuchni francuskiej, by odważyć się pojąć wszelkie jej złożoności.

Gdziekolwiek to jednak nastąpi, będzie przypominać tę maleńką perełkę wśród restauracji, w której się właśnie znajdowali.

Klara patrzyła, jak obserwuje salę.

- Pracujesz, prawda? - zapytała, a on potwierdził.

Ale jej słowa wyrwały go z tych myśli. Teraz znowu był z nią, patrząc przez stół ze świecą na tę ładną amerykańską dziewczynę w kostiumie od Chanel. Podniósł jej rękę do ust i ucałował ją.

- Dziękuję, że mnie znosisz - powiedział.

- Nie ma nic do znoszenia.

- Wiem, że czasem zatracam się w sobie - rzekł.

- Ja też - zawtórowała mu Klara.

Wcześniej tego dnia, kiedy wracali do hotelu po zakupach, był tego świadkiem. Przechodzili koło kina, gdzie grano między innymi *Amerykanina w Paryżu*. Film zdo

był przed rokiem nagrodę Amerykańskiej Akademii Filmowej, a teraz wyświetlano go w kinie paryskim.

- Chcesz obejrzeć? - zapytał, ona poruszyła ramionami niezdecydowanie i weszli. Widzieli film rok wcześniej w kinie Longwood, zjadając wspólnie mleczne cukierki, i ogromnie im się podobał.

Ale tego popołudnia w Paryżu Klara płakała w czasie seansu. W ciemności Martin zwrócił się do niej zaskoczony.

- Czy wszystko w porządku? - wyszeptał.

Kiwnęła głową, ale po chwili widział, że nadal popłakuje, a kiedy zapytał, czy chce wyjść, powiedziała, że tak. Na zewnątrz, w świetle słonecznym, nie umiała wytłumaczyć swojej reakcji. Film był przecież musicaliem, z mnóstwem śpiewu, tańca i optymizmu.

- Właściwie nie tęsknię za domem - mówiła, kiedy wracali do hotelu George V - Niczego konkretnie mi nie brakuje. Naprawdę byłam gotowa, by wyjechać. Nie mogłam już tam wytrzymać. - Przerwała, zastanawiając się głęboko. - Ale to jedyne miejsce, które naprawdę, naprawdę znam. I czuję, że może zawsze tak będzie. Nie próbował sprzeczać się z nią, tłumaczyć, że wkrótce będzie znać wszystkie dzielnice Paryża tak samo, jak znała okolice, drogi i stawy Longwood Falls. Była Amerykanką w Paryżu i choć z pewnością należało to zakwalifikować jako wielkie szczęście, to niosło ze sobą też chwile nagłego smutku i poczucia zaburzenia porządku. Któregoś dnia zaprzyjaźniła się z nimi inna amerykańska para, która zobaczyła pod pachą Klary amerykańskie wydanie *Skarbów rzeźby europejskiej* i wywnioskowała, że dziewczyna mówi po angielsku.

- Przepraszam - odezwał się szczupły blondyn przed katedrą Notre Dame pod koniec porannego zwiedzania. - Czy nie jesteście przypadkiem Amerykanami?

- Czy to jest aż tak widoczne? - zapytała Klara.

- Ależ nie - tłumaczyła towarzysząca mężczyźnie ładna kobieta. - Właściwie powiedziałam Wally'emu, że macie zbyt dobry gust jak na Amerykanów. Myślałam, że jesteście Europejczykami, może ze Skandynawii, czy coś takiego. Ale potem zobaczyłam tę książkę i usłyszałam, jak rozmawiacie.

- Zdemaskowaliście nas - podsumował Martin. Wkrótce obie pary - jedna z Longwood Falls, a druga z Nowego Jorku - jadły wspólnie lunch w pobliskiej kawiarni. Choć Klara i Martin starannie unikali innych Amerykanów, teraz dziewczyna zdawała się wyraźnie rozradowana ich obecnością. Wally i Kate również nie byli małżeństwem; mieszkali w Greenwich Village w mieszkaniu na piątym piętrze, gdzie on spędzał dni na pisaniu sztuki teatralnej, a ona komponowała dziwne kawałki muzyki współczesnej na harfę. W Nowym Jorku obydwójce wykonywali nocną pracę, by opłacić czynsz i zaoszczędzić na podróż do Paryża; ona pracowała jako telefonistka, a on obsługiwał stoliki w kawiarni. W Paryżu mieli zostać, aż skończą im się pieniądze, i należeli do luźno związanej grupy innych przyszłych pisarzy, kompozytorów i artystów, którzy mieszkali tu w tanich pensjonatach czy czynszowych kamienicach. Gdy Wally zapytał Klarę, gdzie oni się zatrzymali, Martin odpowiedział wymijająco, nagle zakłopotany prawdą. Późnym wieczorem Klara i Martin poszli z nimi na przyjęcie w jednym ze wspomnianych mieszkań na lewym brzegu Sekwany. Korytarze i klatkę schodową zapełniali rozgadani Amerykanie; miejsce było zadymione jak klub nocny i nasiąknięte zapachem whisky. Gruby, pijany, młody facet z Kansas stoczył się ze schodów i trzeba mu było pomóc wstać na nogi. Klara słyszała, jak jakaś kobieta i mężczyzna namiętnie spierają się o sztukę; kłótnia, jak wywnioskowała Klara, toczyła się na temat tego, kto

jest lepszym rysownikiem: Picasso czy Braque. Klara dopiero niedawno zapoznała się z pracami tych artystów i czuła zażenowanie. Chciała być artystką, a miała takie luki w wykształceniu. Cały czas, kiedy chodziła po szerokich galeriach Luwru, przytłaczało ją to, co widziała. A było przecież tego znacznie więcej; nigdy wszystkiego nie zobaczy, za późno zaczęła. Zawsze było za późno, pomyślała. W chwili, gdy rzeczywistość pojmuje się coś ważnego, moment, by coś z tym zrobić, już mija. Poznała Martina w wieku siedemnastu lat. To nie powinno być za późno, lecz wiedziała, że w pewien sposób było. Jej rodzina i przeszłość już pochwyciły ją mocno w swój mający trwać całe życie uścisk. Płakała na filmie *Amerykanin w Paryżu*, bo przypominał jej, z czego zrezygnowała. Różniła się od Martina. On łatwiej potrafił się wyłamać, jego rodzina była okropna, tak samo jak wyznawane przez nią wartości. Przyglądała mu się teraz przez wąską klatkę schodową tego hałaśliwego przyjęcia. W ożywiony sposób rozmawiał z dwoma innymi mężczyznami -coś o różnicach między polityką amerykańską a europejską - i palił papierosa gauloise, którym poczęstował go jeden z mężczyzn z płaskiego niebieskiego pudełka. Martin nie znosił papierosów. A oto, proszę, swobodnie korzystał z tego, że jest młody i niecierpliwy, stojąc na czyjejsz zatłoczonej klatce schodowej w lewobrzeżnym Paryżu, z zapalonym papierosem w dłoni, zaciągając się dymem. Nie miał nic do stracenia. Zerwał z rodziną i był niezależny; wkrótce sam miał się stać bardzo bogaty. Klara jednak bała się bardziej niż on, bardziej tęskniła za domem. Czuła, jakby wciąż miała wiele do stracenia. To ich właśnie różniło.

Jakiś przyszły powieściopisarz właśnie zbliżał się po schodach do Klary. Słyszała, jak wcześniej rozmawiał

z kimś o rękopisie. Zapamiętała, że nosił tytuł *Smak gorzkich granatów*.

- Podoba ci się? - zapytał, podając jej tacę z serem, który się tak rozpląwał, że praktycznie można by go pić.

- O, tak - odparła, przekrzykując muzykę, na którą składało się brzdąkanie akordów na gitarze z jakimiś rzewnymi, smutnymi wierszami francuskimi, których nie potrafiła zrozumieć. Nastąpiła nieprzyjemna przerwa. - Więc - podjęła Klara - twoja powieść... *Smak gorzkich granatów*. Taki *ma* tytuł, prawda? - Przytaknął. - O czym jest? - zapytała uprzejmie. - Granaty. Czy w powieści, ktoś rzeczywiście zjada granat?

Mężczyzna patrzył na nią przez długą chwilę.

- Nie - odpowiedział wreszcie. - W powieści nie ma granatu. To tylko metafora. Oczywiście. - A potem odwrócił się, żeby znaleźć bardziej interesującego rozmówcę. Klara poczuła, że robi jej się gorąco; była zażenowana i zakłopotana.

Tej nocy w hotelowym łóżku Klara i Martin kręcili się i przewracali z boku na bok, nie mogąc zasnąć. On dobrze się bawił na przyjęciu; ona nie. Obydwoje przesiąkli zapachem dymu.

- Pojedźmy gdzieś jutro - powiedziała nagle Klara. Wyraźnie widziała Martina w świetle księżyca, które wpadało przez wysokie okno.

- Jasne - odrzekł. - Czemu nie?

Taki właśnie był: łatwo było z nim żyć. Klara była trochę smutna i niespokojna, a Martin zawsze chętnie dokonywał zmian, gdy zaistniała potrzeba. Rano więc, po zajrzeniu do mapy, przewodnika i po konsultacjach z kon-sjerżką wsiedli do pociągu jadącego do Aix-en-Provence. Miasto powoli ustępowało wsi, a kiedy wysiedli z pociągu, wynajęli jasnożółtego citroena i pojechali wśród nie-

wielkich wzgórz do miasta Lourmarin, gdzie, jak Martin powiedział mimochodem, znał kogoś.

- Kogo? - dopytywała się Klara w samochodzie. - Kogo tam znasz?

- Po prostu dawną przyjaciółkę - odparł.

Zatrzymali się po drodze na przekąskę w jednej z kawiarenek na wolnym powietrzu. Martin zamówił wysoką szklanę lemoniady, a Klara mrożony deser o nazwie *Tajemnica*, który kelner wydobył z lodówki pełnej różnego rodzaju lodów. *Tajemnica* składała się z wydrążonej pomarańczy, wypełnionej sorbetem o smaku pomarańczowym. W czasie jedzenia długa łyżeczka Klary trafiła nagle na coś twardego, ukrytego głęboko w sorbecie. - Tam coś jest - powiedziała.

- *Oui, mademoiselle* - odparł kelner, który usłyszał jej słowa. - To nagroda.

Więc taka jest tajemnica *Tajemnicy*. Klara wysssała sorbet z łyżeczki, aż zobaczyła swoją nagrodę. - Och, spójrz - powiedziała cicho do Martina. W rękę trzymała pierścienek. Był tani, zrobiony z cyny, z zielonym „klejnotem”, chwytającym odrobinę popołudniowego światła. Wpatrywali się w pierścienek i Klara wiedziała, że obydwójmy myślą o tym, kiedy wezmą ślub.

Ustalili, że się pobiorą, kiedy postanowią się gdzieś osiedlić.

Wezmą wtedy ślub i będą mieć dom pełen dzieci. Ale kiedy znajdą jakieś miejsce do zamieszkania na stałe? Klara była pod wieloma względami bardziej konwencjonalna niż Martin.

Potrzebowała pewności, że niedługo gdzieś osiądą, potrzebowała zapewnienia. - Oczywiście, że tak będzie - stale jej powtarzał.

- Kiedy?

- Niebawem - odpowiadał. Teraz wziął pierścienek z jej ręki i uroczyście wsunął go na jej palec. Pierścienek

wciąż był bardzo zimny z powodu dni czy nawet tygodni przebywania w zamrażarce. Martin pochylił się przez okrągły stolik i wyszeptał odpowiedź na pytanie, którego w tej chwili nawet nie zadała.

- Niedługo.

Dawną przyjaciółką w Lourmarin, jak w końcu przyznał Martin, okazała się Nicole Clément, dawna kucharka Ray-fielów i przez jedno popołudnie kochanka Martina. Teraz nazywała się Nicole Vachon. Wyszła za mąż za miejscowego mechanika samochodowego, Thierry'ego Vachona. Tyle dowiedział się Martin z jej sporadycznych, gawędziarskich listów. Niewiele więcej o niej wiedział, a odkąd widzieli się po raz ostatni, minęło pięć lat. Ku jego uldze Klara nie zdenerwowała się.

- Ciekawe będzie ją poznać - tylko tyle powiedziała. Po przybyciu do Lourmarin miał nadzieję, że jest to miasteczko, w którym zatrzymawszy trzy czy cztery osoby na ulicy, trafi się na kogoś znajomego adres szukanej osoby albo przynajmniej jej rodziny. Tak było rzeczywiście. Właściwie już pierwsza osoba, mężczyzna w długim, białym fartuchu, zamiatający ulicę przed piekarnią, powiedział tak, tak, i wskazał w kierunku wieży, mówiąc, żeby tam skrócić w lewo, a potem zapytać kogokolwiek. Tak też Martin zrobił, tyle że nie musiał pytać, bo kiedy skręcili w ulicę za kościołem, zobaczyli Nicole.

- To ona - odezwał się Martin - tak mi się wydaje. Jakaś kobieta szła pod górę w kierunku wylotu uliczki.

U każdej z jej rąk wieszało się dziecko, ciągnąc ją w tył i śpiewając piosenkę. Dwie małe dziewczynki śpiewały: *Lundi matin* wysokimi, czystymi głosikami, *l'empereur, sa femme et le petit prince ...*

Martin wyłączył silnik i wysiedli z Klarą z samochodu. Skinęła na niego: - Idź.

- Nicole? - zawołał. Kobieta nie usłyszała. - Nicole? Teraz odwróciła się. Była starsza, już po trzydziestce i w ciąży, ale ta sama Nicole.

Martin? - zapytała z niedowierzaniem, jak zwykle wymawiając jego imię z francuska, z zanikającym końcowym „n”. Potem krzyknęła, zaczęli się ścisnąć i zaraz ona przedstawiała mu swoje córki Joëlle i Marie, a Martin przedstawiał Klarę.

Następną rzeczą, w jakiej wzięli udział Klara i Martin, był obiad wydany na ich cześć: mnóstwo chleba i jasnych pomidorów, serów i oliwek, skorupiaków w czosnkowym wywarze i butelek miejscowego wina, wszystko poustawiane wzdłuż długiego stołu dębowego na podwórzu pełnym drzew i dzieci. *Vendredi matin* śpiewały teraz córki Nicole, *l'empereur, sa femme et le petit prince*

...

Początkowo Martin nalegał, żeby Nicole nie robiła sobie kłopotu, ale powiedziała mu, że łatwiej będzie po prostu się poddać.

Łatwiej dla niego, bo ona i tak narobi szumu, czy on tego chce, czy nie, i łatwiej dla niej, bo kiedy rozeszła się wieść o odwiedzinach pary Amerykanów, rodzina i sąsiedzi i tak będą wstępować, żeby popatrzeć.

Tak więc ustąpili. Martin i Klara siedzieli zatem przy stole, jakby to był dzień ich ślubu, przyjmując najlepsze życzenia od staruszek i oklaskując popisy akrobatyczne dzieci. Tylko raz Nicole i Martin, dotknęli tego, co wydarzyło się między nimi kilka lat wcześniej i co może przyspieszyło jej powrót do Lourmarin, późnym popołudniem, kiedy na podwórzu pojawił się mężczyzna, wycierając ręce w szary kombinezon, patrząc zdumiony na niespodziewaną uroczystość, którą przygotowano między

jego wyjściem rano do pracy w warsztacie a powrotem do domu. Nicole wstała od stołu i podeszła do niego, ale najpierw zatrzymała się przy uchu Martina.

- Thierry - wyszeptała. - On nic o tobie nie wie.

Martin nie wiedział, czego się tutaj spodziewać. Właściwie w ogóle nie miał pojęcia, czego oczekiwał po tych odwiedzinach. W pewnym stopniu, przypuszczał, chodziło mu o to, by pokazać Nicole, że jej szczególną praktykę dobrze wykorzystał - no, w każdym razie, dość dobrze. Że rozkwitło jego zainteresowanie gotowaniem i tak samo jego zainteresowanie kobietą o imieniu Klara. A jeśli faktycznie potrzebował błogosławieństwa Nicole, to otrzymał coś więcej. Pod koniec wieczoru mała grupka siostrzenic i bratanków oraz dwoje Amerykanów schodziło ulicą do domu rodziców Nicole, gdzie Klara i Martin zgodzili się spędzić noc (oponowanie byłoby bezcelowe) przed wyjazdem wczesnym rano następnego dnia. Nicole ścisnęła wtedy rękę Martina i powiedziała:

- Ona jest naprawdę urocza.

Kilka kroków przed nimi Klara trzymała za rękę Joelle i próbowała nauczyć młodszą dziewczynkę skakać.

- Tak - odpowiedział Martin.

- A twój ojciec? Martin zrobił ręką gest.

- On nie jest tak uroczy. Nicole roześmiała się.

- Co on o tym sądzi?

- To, czego się możesz spodziewać.

- A ty się tym nie przejmujesz? - zapytała. Martin potrząsnął głową. - Nie? - zapytała.

Martin spojrzał na nią.

- Nie wierzysz mi? - Nicole wzruszyła ramionami, co mogło oznaczać wszystko. - Powiedz mi - nalegał.

- Myślę - rzekła Nicole - że nie ma znaczenia to, co ja myślę.
- Mylisz się. Wiele dla mnie znaczy to, co ty sądzisz - powiedział Martin i w chwili, gdy to wyrzekł, wiedział, że to prawda. -
Właśnie po to tu jestem - ciągnął - żeby się przekonać, co myślisz.

Nicole patrzyła przed siebie. Jej mąż Thierry niósł starszą córkę na ramionach.

- Hop, hop, hop - słyszał Martin jego śpiew.

- Czy jesteś z nim szczęśliwa? - zapytał Martin. Po chwili przytaknęła.

- Jest dobrym ojcem.

Podobnie jak wcześniejsze wzruszenie ramion, to mogło oznaczać wszystko. Martin zastanawiał się, czy drążyć dalej ten temat, gdy zdał sobie sprawę, że w pewnym sensie zna już odpowiedź: Thierry wydawał się dobrym człowiekiem, lecz nie był mężczyzną, któremu żona mogłaby się zwierzyć z nierozważnego czynu z pewnym Amerykaninem o ponad dziesięć lat młodszym od niej.

Martin i Nicole przeszli kilka kroków w milczeniu, a potem znaleźli się przed drzwiami domu jej rodziców i tu grupa wędrowników zwolniła. Nastąpiły uściski, pocałunki, podania rąk, słowa podziękowania, obietnice, że kiedyś się zobaczą. Joëlle nadal płasała przed nimi w dół małej uliczki, wskakując i zeskakując z krawężnika. Klara zawróciła dół' Martina, a on otoczył ją ramieniem. - Zdaje mi się, że nauczyłam twoją córkę nowej sztuczki - powiedziała Klara do Nicole.

- Jak uciekać - dodał Martin.

- To i tak się, zdarzy wcześniej czy później - podsumowała Nicole i wszyscy się roześmieli. Potem zwróciła się do Martina i powiedziała:

- Pozwól, że cię o coś zapytam.

Poczuł, że jego uśmiech szybko znika, gdy uświadomił sobie, z jak bliska go obserwuje. W domu to ona była osobą, która go rozumiała, zachęcała, wołała do kuchni, gdy jego rodzice spali, która widziała w nim możliwości, by stał się kimś więcej niż panem największego imperium kapeluszonego w północnej części stanu Nowy Jork.

- O co chodzi? - zapytał.

- Wracacie do Paryża?

- Wcześniej czy później - odparł Martin. - Najpierw jedziemy do Włoch, tak myślę. Klara potrzebuje kilku wskazówek od Michała Anioła. - Przy tych słowach Klara lekko go szturchnęła.

- Kiedy skończycie z Włochami, pojedźcie do Irlandii - poradziła Nicole - spotkać się z pewnym moim znajomym. Jest szefem kuchni w restauracji zamkowej. Jeśli myślisz poważnie...

- W zamku? - zdziwiła się Klara.

- ... o tym, żeby zostać szefem kuchni, żeby któregoś dnia samemu poprowadzić restaurację, to posłuchasz mojej rady.

Prawda?

Pożyczyła od Martina pióro i napisała coś na kawałku papieru, który mu potem podała. Jeszcze przez chwilę przyglądała mu się bacznie, trzymała go spojrzeniem, a potem uwolniła. Odwróciła się do swoich rodziców, żeby im powiedzieć dobranoc, zawołała córkę, żeby wracała, i poprowadziła swoją rodzinę krętą uliczką do domu, z dwojgiem dzieci wieszających się u jej rąk. Posuwała się mozolnie z powrotem pod górę, dokładnie tak samo, jak tego popołudnia zobaczył ją Martin i jak bez wątpienia robiła codziennie, a mogłaby robić to i teraz, nawet gdyby on jej nie odwiedził i gdyby jego nigdy tu nie było. Martin obserwował, jak odchodziła w noc, aż zniknęła im z oczu.

6

We Włoszech bez przerwy chodzili. Chodzili pod arkadami Piazza del Campo w Sienie, udając, że nie zauważają natrętnych spojrzeń mężczyzn, którzy nagle pojawiali się o zmroku w drzwiach sklepów, paląc papierosy. Chodzili po bocznych uliczkach Wenecji, ignorując krzyki gondolierów, którzy chcieli wozić ich do słonecznych miejsc opanowanych w całości przez turystów. Woleli ginąć wśród ciemnych zaułków, znaczonych nieustannie płaczącymi dziećmi i wiszącym praniem. Chodzili po chłodnych marmurowych korytarzach Ufflzi we Florencji, a ich przejście z jednej do drugiej galerii wybijało tylko powtarzające się stukanie obcasów i sporadyczne, zdumione „Och”. Może z powodu tego chodzenia szybko nabrali zwyczaju zjadania dużego posiłku w środku dnia przed odpoczynkiem przez dłuższą część popołudnia, po powrocie do pokoju hotelowego z dowolnie odległej

dzielnicy, w jakiej zdarzyło się im być. Zasypiali jak dwoje noworodków, a potem, po przebudzeniu, znowu chodzili.

- Masz dość? - Martin spytał Klarę pewnego popołudnia we Florencji, kiedy wracali ukosem wzgórza z pałacu Pitti.

- Nie - odpowiedziała szybko. A potem: - Tak. Nigdy. - Objęła się skrzyżowanymi rękami i uniosła głowę ku rdzawym dachom miasta po przeciwnej stronie rzeki. - Nigdy nie będę miała dość czasu, żeby to wszystko zobaczyć. Musiałabym być nieśmiertelna.

- To prawda - odpowiedział, a ich kroki mimowolnie przyspieszyły, gdy zbiegali z ostatniego odcinka wzgórza. - Cała sztuka polega na tym, żeby wiedzieć, kiedy przestać.

Klarze jednak trudno było wyobrazić sobie, że chciałyby przestać, dobrowolnie powstrzymać niekończącą się procesję bogatego jedzenia i bogatej sztuki, które rozpościerały się przed nimi. Przez długie lata to właśnie chciała robić. Nie, to niezupełnie odpowiadało prawdzie. Życie, jakie teraz prowadziła, nie stało się nawet pragnieniem. Było raczej leniwą myślą, marzeniem na jawie, które ledwie do siebie dopuszczała: Europa, nierealna odpowiedź na pytanie, gdzie pojechałaby, gdyby mogła pojechać gdziekolwiek zechce. Ale teraz to działa się naprawdę, a jaskrawość tego wszystkiego zatrzymywała ją na każdym zakręcie: freski w kaplicach, gobeliny w kościołach, obrazy w galeriach, rzeźby w ogrodach. Kiedy stawało przed nią kolejne wzgórze, wchodziła na nie; jeszcze jeden most, przechodziła przezeń. Jak mogłaby tego nie zrobić? Jej nowe, włoskie buty do chodzenia uszyto przecież z mocnej, elastycznej skóry, a kto wie, jakie skarby mogły na nią czekać po drugiej stronie?

A jednak będzie musiała kiedyś przestać. Mimo trudności wyobrażenia sobie, że kiedyś ich podróże dobiegną

końca, równie nie do pomyślenia było, by mogli tak ciągnąć przez dłuższy czas. Nie wynikało to tylko z utrudzenia chodzeniem, choć zmęczenie i nogi jak z waty stanowiły dla Klary zupełnie nowe i nieprzyjemne doznanie. Kryło się w tym coś więcej niż tęsknota za domem czy osobiste zażenowanie niezdolnością do rozpoznania stylu konkretnego artysty lub zapamiętania, w którym żył wieku. Zmęczenie, jakie ich teraz ogarniało, było czymś absolutnie nowym. Wynikało z pędu ich podróży, jej przyspieszenia i spiętrzenia doznań, i to właśnie Klara miała powiedzieć „dość”.

Martin nie zrobi tego, wiedziała o tym. Paryż, być może należał do niego. Lourmarin, zdecydowanie. Ale Włochy były Klary. Martin mógł odejść od niej sprzed jakiegoś tryptyku albo rzeźby, pójść na kawę, kupić międzynarodowe wydanie „Herald Tribune” i wrócić, znajdując ją w tej samej pozycji, w jakiej ją zostawił. Zabawiał się zwyczajnym jedzeniem w miejscowych jadłodajniach; posługując się łyżką i widelcem pochłaniał całe miski spaghetti z masłem, od którego jego twarz aż świeciła; uczył się rozróżniać gatunki oliwy z oliwek z różnych regionów - zielone, złote i te z osadem; nalegał, by każdego wieczoru w czasie długiego spaceru powrotnego do małego eleganckiego hotelu Paolo e Francesca w pobliżu Duomo zatrzymywać się przy różnych stoiskach z lodami.

Czasem Martin delikatnie pytał ją, trącał, dociekał czy nie ma dość - nie popędział jej, jak podkreślał, tylko pytał - i czasem Klara musiała przyznać, że tak. Ale potem pytała, czy nie przeszkadzałoby mu za bardzo, gdyby zostali jeszcze troszkę dłużej, jeszcze jeden dzień, najwyżej dwa. Uśmiech Martina w takich chwilach nie był właściwie pobłażliwy; raz Klara popełniła błąd, nazywając go w ten sposób.

- Ja ci nie pobłażam- poprawił ją Martin. Przechodzili przez kolejną serię wczesnorenesansowych scen Ukrzyżowania, próbując sobie przypomnieć, gdzie skręcić do ekspozycji z *Dawidem* Michała Anioła. - Nie pobłażam ci. Nie potrafię wyobrazić sobie, żebym chciał spędzać czas z kimkolwiek, komu musiałbym pobłażać.

- Czasem czuję, jakby to naprawdę bolało widzieć tyle sztuki - mówiła. - Bola mnie oczy. Boli mnie głowa. Bola mnie nawet zęby.

- I wtedy... - powiedział Martin.

- No właśnie. Dokładnie. I wtedy widzę coś, czego nigdy wcześniej nie widziałam, i ból odchodzi, i zapominam o wszystkim innym na świecie. - Nawet o mnie.

- Nawet o tobie - przyznała. - Czy to jest w porządku?

- Jeśli mam cię dla kogoś stracić - zażartował Martin -równie dobrze może to być Michał Anioł.

A potem skręcili, znaleźli posąg *Dawida* i po chwili Martin niepostrzeżenie wycofał się, wiedząc, że tak należało zrobić. Tu powinna być sama; nigdy tego wprost nie powiedziała, lecz wiedział, że tak było. Klara odwiedzała *Dawida* kilka razy. Jej wierność temu posagowi, pośród wszystkich dzieł sztuki Florencji, przypominała utarty szlak. Nie przyszła tutaj i nie powracała tylko dlatego, że chciała się uczyć od mistrza. Nie chodziło o lepsze, dokładniejsze przyjrzenie się. To prawda, że im więcej patrzyła, tym więcej się uczyła; lecz tak działo się w przypadku prawie każdego dzieła sztuki. Tutaj natomiast Klara miała nadzieję zyskać coś więcej niż edukację, stojąc w tej przewiewnej galerii, dużo poniżej delikatnej krzywizny sklepienia, kilka metrów od strażników muzeum, którzy teraz kiwali do niej każdego dnia, gdyż jej twarz stała się dla nich znajoma.

Kiedy Klara patrzyła na *Dawida*, myślała o sobie. Początkowo próbowała oddalić to skojarzenie: jakie to nieskromne porównywać siebie z *Dawidem*, symbolem doskonałości fizycznej. A jednak był w tym jakiś sens. Klara widziała nie tylko samą jego nagość. W nieruchomym spojrzeniu *Dawida* i niedbałym zgięciu ręki w łokciu Klara dostrzegła akceptację nagości: wzruszające prawo, niejasną świadomość naturalnych darów młodości. Czasem, schodząc z dziwacznej wysokości łóżka hotelowego z czterema słupkami i baldachimem, Klara dostrzegła własne nagie ciało w wielkim lustrze hotelowym, a samo to, co widziała, mimo niedoskonałości, poruszało ją w taki sam sposób, jak *Dawid*.

Ale przede wszystkim *Dawid* najbardziej przypominał jej Martina. Kiedy tego popołudnia Martin wrócił do galerii, zastał Klarę dokładnie tam, gdzie ją zostawił pół godziny wcześniej. Zjadł gdzieś lunch; nadal w kąciku ust miał ślad oliwy. Spojrzała na niego, potem wzięła go pod rękę i wsunęła dłoń do rękawa jego letniej, bawełnianej koszuli, dotykając włosów, a potem mięśni.

Tego wieczoru pominęli lody. Kiedy dotarli z powrotem do hotelu Paolo e Francesca, Klara „przyszpiliła” Martina do łóżka, wspinając się na niego z nową potrzebą i pragnieniem, które, gdyby się nad nimi zastanowiła, przeraziłyby ją. Nie myślała więc o tym. Natomiast przeżyła je do końca, a kiedy minęły, zsunęła się z Martina, który Wciąż jeszcze był zszokowany, ale szczęśliwy, i leżąc obok niego na łóżku, stwierdziła:

- Dosyć.

W Irlandii na dworcu kolejowym w Galway czekał na nich czterodrzwiowy samochód z hotelu, a pół godziny

później wjeżdżali długim podjazdem do głównej bramy zamku Thetford, rozległego choć nieskomplikowanego królestwa. Po wąskich, wybrukowanych kamieniami uliczkach Włoch Klara i Martin rozkoszowali się długimi spacerami bez celu po, zdawałoby się niekończących się, irlandzkich polach. W restauracji hotelowej w Thetford Martin pozostał konsekwentny w wyborze potraw. Każdego dnia próbował innego przygotowania tej samej ryby, wszędobylskiego irlandzkiego łososa, który znajdowano tu w takiej samej obfitości, jak cukinia w okresie letnim w Longwood Falls. Łosoś był tego dnia odławiany z rzeki przepływającej przez posiadłość. Martin jadł go wędzonego, na grzance, z kaparami i cytryną, pieczonego z masłem i szczypiorkiem; duszonego na parze w pergaminie z pomidorem i cebulą. I choć korytarze zamku Thetford mieściły sporadyczne zestawy zbroi czy herbów rodowych, dziwnie kojące okazało się dla Klary to, że nie musi się zastanawiać, które drzwi mogą skrywać kolekcję dzieł sztuki upchanych z bezceremonialną obojętnością jak chleb w piekarni. Drugiego dnia pobytu w Thetford Martin zdobył się na odwagę, by przedstawić się szefowi kuchni, wysokiemu Anglikowi o piaskowych włosach, Duncanowi Learowi. Lear początkowo z dużą obawą zareagował na pojawienie się klienta w kuchni. Kiedy jednak Martin wspomniał o ich wspólnej znajomej, Nicole, nastrój Duncana poprawił się. A gdy przybysz wyjawiał, że ma nadzieję pewnego dnia otworzyć własną restaurację, Duncan zaprosił go, by się rozejrzał po kuchni. Martin krążył powoli pośród pomocników, którzy obierali mięso z kości, ryby z ości, kroili, mieszały, wykrzykiwali zamówienia i cofali się przed buchającą parą.

- Obchód kucharza - ocenił Duncan, lecz Martin nie odpowiedział nawet uprzejmym uśmiechem. Zatracił się

pośród garnków wielkości wanny, wiszących na poziomie wzroku, przesuwając dłonią po zaczernionym dnie kotła, używanego do gotowania Bóg wie czego.

- Posłuchaj - powiedział Duncan, zrozumiawszy, jak zachwycony i poważny jest Martin - jeśli chcesz, możesz tu przyjść któregoś dnia i popробować coś przygotować. Zawsze wolno nam wykorzystywać pomoc w kuchni; to trochę dom wariatów. Jak długo zostajesz w hotelu?

Martin wzruszył ramionami.

- A jak długo powinienem?

Duncan lekko się roześmiał, a potem spowaźniał.

- To prawdziwa praca, mam nadzieję, że to rozumiesz. Nie należy do łatwych. To nie tylko zabawa i jedzenie.

- Wiem. Nie oczekuję, że to będzie zabawa. Duncan spojrzał na niego.

- W takim razie, zgoda. Przyjdź jutro po lunchu. Wspólnie zaplanujemy coś do wieczornego menu.

Następnego popołudnia Martin siedział z Klarą przy stoliku w rogu restauracji, sącząc kawę, czekając, by ostatni z jedzących wyszli.

- No, dalej, pospieszcie się - szeptał, śledząc wzrokiem szykowną parę holenderską po przeciwnej stronie sali, delectującą się jednym kawałkiem tortu czekoladowego. Ich widelce zbliżały się z przeciwnych stron talerzyka i albo z grzeczności, albo powodowani pragnieniem przedłużenia tego niebiańskiego deseru, brali jednakowo małe kęsy ciasta.

- Robią to celowo - powiedział Martin, a Klara go uciszyła.

Kiedy ostatnia, elegancka para od tortu czekoladowego skończyła, podpisała rachunek i podniosła się, by wyjść, Klara powiedziała:

- Więc już.

- Życz mi szczęścia - poprosił.

- Nie będziesz go potrzebował - odparła. - Czego się życzy szefowi kuchni na szczęście? Potłuczenia jajek?

- Dobrze. Bardzo dobrze - skrzywił się Martin. - O tym właśnie będę myśleć przez całe popołudnie. Twój okropny kalambur będzie mnie prześladować, wsączać zły smak do jedzenia, a jeśli zawiodę pierwszego dnia jako zawodowy choć niepłatny pracownik, to wszystko będzie twoja wina.

- Martin? - powiedziała, kiedy wstawał. Zatrzymał się, odwrócił do Klary. - Powodzenia.

Nie zdawał sobie sprawy z tego, jak gorąco jest w kuchni restauracji, choć sądząc po wszystkich pozostałych pracownikach, nikomu to gorąco zdawało się nie przeszkadzać. Przez całe popołudnie Martin nieustannie ocierał czoło i szyję z potu, a kiedy włączono piece w oczekiwaniu na zbliżającą się porę wieczornego posiłku, upał stał się duszący.

- Czy wszystko w porządku? - zapytał Duncan, a Martin przytaknął.

- W takim razie dobrze - odrzekł szef kuchni, oderwany przez kelnera pytającego o coś po drugiej stronie ogromnej, świecącej sali. - W takim razie idź pomóc w siekaniu.

Siekanie okazało się niekończącą się sesją poświęconą ziemniakom, pierśiom kurczaka, a zwłaszcza szalotce - góry cebulek, długich i smukłych, bulwiastych na końcu, leżących na ladzie jak pęki drugich, zielonych włosów. Noże błyskały; gdy któryś odrobinę się stepił, pojawiał się mokry kamień, przeciągano po nim nóż z dźwiękiem, który zęby Martina przyprawiał o cierpienie. Oczywiście, wystarczyła godzina czy dwie, by zaciał się dopiero co naostrzonym nożem, co reszcie załogi wydawało się zjawi-

skiem zwyczajnym, choć ilość krwi na chwilę przestraszyła Martina. Gdzie była Klara, żeby zająć się raną, tak jak kiedyś podbitym okiem w altance? Ktoś podał mu opatrunek samoprzylepny, a po chwili ktoś inny podrzucił kolejną furę ziemniaków i kazał zaczynać na nowo.

Ale po skończeniu całego krojenia Duncan zawołał go do chłodniejszej części kuchni, w pobliżu lodówek, i usiadł z nim na chwilę, by omówić jadłospis na tydzień. Duncan elokwentnie mówił o różnych potrawach, o tym, jak je wybiera, a Martin przekonał się, że słucha tak uważnie, jak rzadko mu się zdarzało na lekcjach w Princeton.

- Może spróbowałbyś zaproponować coś do wieczornego posiłku? - zapytał Duncan. - Pamiętaj, myśl o łososiu. - I przy odrobinie zachęty Martin wymruczał kilka nowych pomysłów, z których część Duncan leciutko wykpił, a pozostałe pochwalił. Następnego wieczoru dwie z propozycji Martina zostały uwzględnione w wieczornym menu.

Martin czuł się podekscytowany, nadmiernie podniecony, kiedy późną nocą wrócił do ich pokoju, Klara spała w ogromnym łóżku, z którego widok rozciągał się na trawnik, a dalej na jezioro. Obudziła się, lekko wciągając powietrze.

- Cebulki? - powiedziała i z powrotem zasnęła.

Przez trzy dni i noce Martin Rayfiel pracował w kuchni w Thetford. Dyrektor hotelu niepokoił się, że gość hotelowy dobrowolnie tak się przepracowuje, lecz Duncan Lear zapewnił go, że takie właśnie jest pragnienie Martina i że to tylko dodatek do jego pobytu w zamku.

- Może powinienem kazać wszystkim gościom pracować - powiedział dyrektor. - Kobiety mogłyby być pokojówkami.

Nie powstrzymał jednak Martina od pracy w kuchni. Nawet swoje dwudzieste pierwsze urodziny Martin obchodził właśnie tam. Personel kuchni zaskoczył go, kiedy piekł kurczaka. Zebrali się wokół niego, zgodnie śpiewając. Teraz osiągnął według prawa wiek dorosły i mógł podjąć swoje dziedzictwo, co było ze wszech miar pożądane, bo kwota ze sprzedaży herbu rodowego szybko topniała.

Każdego dnia, kiedy Martin pracował, Klara brała blok rysunkowy i chodziła po okolicy, aż znalazła coś, co postanowiła narysować w nadziei, że kiedyś zamieni szkic w rzeźbę - był to stary koń pijący wodę ze strumienia. Codziennie po południu powracała w to miejsce i szkicowała, dopóki pudełko węgla drzewnego przywiezione z Włoch nie zamieniło się w zbiór skrawków maleńkich jak drobne kamyczki, a palce Klary zrobiły się czarne.

Będzie musiała znaleźć gdzieś węgiel drzewny; może recepcjonista będzie wiedział, gdzie go kupić. Klara wstała i zaczęła iść w kierunku zamku. Dzień był cichy i spokojny, a kiedy ścieżka, którą szła, przeszła w otwarte główne pole, podniosła wzrok i zobaczyła idącą w oddali osobę. To był Martin. W pierwszej chwili Klara zdziwiła się, że nie jest w kuchni, gdy jednak spojrzała na niego, zdumienie ustąpiło innemu uczuciu. Zmartwiła się i przestraszyła. W sposobie, w jaki szedł - ramiona spuszczone, głowa zwieszona w dół - było coś zupełnie do niego niepodobnego. Wyglądało, jakby mierzył krokami pole. Klara podniosła rękę, żeby do niego pomachać, lecz zdawał się jej nie widzieć. Kiedy wróciła do zamku, siedział na brzegu łóżka. Gdy wreszcie podniósł ku niej twarz, w jego spojrzeniu dojrzała coś, czego nigdy przedtem u niego nie widziała.

- Czy coś się stało? - zapytała, choć pytanie było bezcelowe, bo znała już odpowiedź.

Milczał długą chwilę, zanim się odezwał.

- Mam złe wiadomości - powiedział wreszcie. - Powiem to wprost. Nie ma pieniędzy.

- Och - szepnęła Klara. Przycupnęła przy nim na skraju łóżka, zanim miała szansę spróbować zrozumieć, co on mówi. - Co masz na myśli? - zapytała. - Nie rozumiem.

- Tylko to. Nie ma pieniędzy. Mojego spadku. Całego. Tym razem go usłyszała, ale potrzebowała chwili, by słowa do niej dotarły, jakby napływały z daleka. Tłumaczył jej, że teraz, gdy skończył dwadzieścia jeden lat, chciał zrobić jej niespodziankę i udał się do Cong, miasta po drugiej stronie majątku, zatrzymał się w banku i poprosił, żeby mu tam przesłano telegraficznie pieniądze z jego spadku. Kiedy skończył mówić, wpadł w żalosne milczenie. Klara sięgnęła po jego rękę i wzięła ją w swoje dłonie.

- Ale to niemożliwe - powiedziała. - Przecież to twoje pieniądze.

- Z moim ojcem nic nie jest niemożliwe - przypomniał jej Martin.

- Ale ja nie rozumiem. To są twoje pieniądze, prawda?

- Tak, są. Były.

- Więc nie może tego zrobić - mówiła.

- Klaro, on to zrobił. Wycofał je.

- Ale to niemożliwe... - raz jeszcze zaczęła Klara, lecz Martin jej przerwał. - Przestań, proszę, mówić „to niemożliwe, to niemożliwe”, bo tak nie jest. Najwyraźniej to nie jest niemożliwe, skoro właśnie się wydarzyło.

Po raz pierwszy Martin podniósł głos na Klarę. I obydwójce natychmiast zrozumieli, że nie było zbiegiem okoliczności, iż nastąpiło to w ciągu pierwszych chwil od odkrycia, że cała ich przyszłość wygląda teraz inaczej. Dotyk rąk nagle wydał się czymś nadmiernym, i bez słów pozwolili, by zsunęły się oddzielnie.

- W porządku - powiedziała cicho Klara. - W takim razie nie niemożliwe. Ale bezprawne.

- I również niemoralne - dodał Martin równie cicho -tyle że nie sądzę, by mój ojciec przejmował się którymkolwiek z tych względów.

- Ale czy nic nie możesz zrobić? - zapytała. Wyrosła w przekonaniu, że zawsze coś można było zrobić. Jeśli kolega ci dokucza, możesz spędzać z nim mniej czasu. Jeżeli nie masz zdolności do arytmetyki, musisz więcej się pouczyć przed następnym testem. Teraz widziała naiwność takiej postawy i czuła się zakłopotana. Świat Asna Rayfiela, jego finanse i antagonizm między ojcem a synem nie mieścił się w ramach jej odniesień. - Chyba - mówił Martin - mógłbym go podać do sądu. Donieść na policję. Same rzeczy, których nigdy bym nie zrobił.

- Więc co zrobisz?

- Nic.

Klara skrzyżowała nogi, złożyła ręce na kolanach.

- Czy to jest najlepsze? - zapytała głosem brzmiącym sztucznie, jak u jej matki.

- To najmądrzejsze, jak sądzę.

- Już to przemyślałeś - powiedziała Klara.

- W drodze powrotnej z Cong. To był wolny spacer.

- Widziałam cię. Machałam do ciebie.

- Machałaś? Przepraszam. Nie zauważyłem. To musiało być wtedy, gdy patrzyłem na jezioro. Zastanawiałem się, jak to będzie nigdy więcej go nie zobaczyć.

Zatem każde z nich miało coś do zrobienia. Martin podniósł na nią głos i to on powinien wziąć Klarę z powrotem za rękę albo przynajmniej zrobić wysiłek w tym kierunku. Klara ze swojej strony, wiedziała, że Martin nigdy nie powie, co naprawdę myśli o pieniądzach -

O utracie pieniędzy - póki ona nie wyartykułuje tego pierwsza. Martin sięgnął po rękę Klary, która odwzajemniła gest i odezwała się cichym głosem:

- Wiesz, tak naprawdę pieniądze nie mają znaczenia.

Odczekała chwilę, a potem wstała i przeszła przez piękny pokój do okna. Widać było przez nie Lough Corrib, jezioro rozciągające się przy irlandzkim zamku, jezioro, nad którego brzegiem sypiali oboje, które ona naszkicowała, którego - Martin miał rację - żadne z nich może już więcej nie zobaczyć. Czy naprawdę to mogło zaczynać się tak wcześnie, gdy mieli wciąż ledwie po dwadzieścia jeden lat: taka seria pożegnań z ulubionymi miejscami?

- Koniec z drogimi butikami - usłyszała mówiącego za nią Martina. - Koniec z wyjeżdżaniem gdzieś na czyjeś życzenie. Koniec z garsonkami od Chanel.

- Nigdy nic z tego nie potrzebowałam - odparła Klara. - A tak przy okazji, ten dziwaczny kostium to był twój pomysł. To ty nalegałeś.

- Wiem - zgodził się. - Ale jak możesz wrócić do życia, jakie prowadziłaś wcześniej, nie mając do mnie choćby odrobiny żalu o to? Nie o utratę pieniędzy. O pokazanie ci, co mogą zdziałać.

- Moja mama miała pewne określenie na to, kiedy zaczynałam uzalać się nad sobą - mówiła Klara. - Powiadała wtedy: „O, Biedaczka Ja znów się tutaj pojawiła. Kto ją zaprosił, Klaro? Czy to ty? Wracaj do domu, Biedaczko, idź sobie do domu”.

- No cóż, i tak nie będziemy biedni - powiedział Martin. - Po prostu będziemy ... normalni. Jak ludzie, którzy pracują i mają czynsz do zapłacenia.

- Myślę, że w pewien sposób to może być lepsze - orzekła Klara. - W przeciwnym razie, czy nie sądzisz, że

stalibyśmy się zepsuci - i okropni? A jakaś część nas zawsze by się zastanawiała: Czy zrobiliśmy to? Czy to byliśmy my? Czy to ja otworzyłem tę restaurację? Czy to ja zrobiłam tę rzeźbę i sprzedałam ją tamtej galerii? Czy też przez cały czas zasługę trzeba by przypisać pieniądzom?

- Więc teraz się dowiemy - zakończył Martin.

- Teraz - powtórzyła jak echo Klara - się dowiemy.

W pewien sposób otoczenie zamku Thetford i pobliska społeczność Cong były równie małą miejscowością co Longwood Falls, a może nawet mniejszą. Wieści rozchodziły się szybko, nie było tajemnic. Do czasu gdy Martin pojawił się wieczorem w recepcji i poprosił o rozmowę z dyrektorem, widział po niemej reakcji i uważnych oczach zazwyczaj rozmownego personelu, że wiadomość już się rozeszła: amerykańska para będzie lada moment spłukana i zmuszona do wcześniejszego wyjazdu. Martin spokojnie rozliczył się, a gdy następnego ranka wnosił walizki przez główne drzwi do samochodu, który miał ich odwieźć z powrotem do Galway, podszedł do niego Duncan Lear, już ubrany w strój szefa na kolejny dzień pracy w swojej dużej, przegrzanej kuchni.

- Tak mi przykro - odezwał się do Martina. - Słyszałem, że nas opuszczacie. Pozwól, że ci pomogę z tymi bagażami. - Wziął od Martina torbę i przeniósł ją przez drzwi.

Kiedy obaj mężczyźni ulokowali walizki w bagażniku samochodu, Duncan odciągnął Martina na bok, na trawnik za fontanną, gdzie stała kamienna syrena. Nikt nie mógł ich tam chyba podsłuchać, ale Duncan i tak nerwowo się rozglądał.

- Nie rozgłaszałem tego - powiedział Duncan - więc to oczywiście pozostanie tylko między nami. Ale w przyszłym tygodniu składam wypowiedzenie. Otrzymałem propozycję pracy w pewnej restauracji w Londynie. Znajomy otworzył ją w tym roku i jeszcze nie weszła na pełne obroty. W bardzo pożądanej okolicy. Kensington. Czy znasz ten rejon?

Martin skinął głową. Przed wielu laty zatrzymał się z rodzicami i nianią w hotelu w Kensington. Była też taka książka, druga część *Piotrusia Pana*, pod tytułem *Piotruś Pan w Kensington*, którą Martin czytał po powrocie z tej podróży. Okolica była piękna, ogrody bujne i kwitnące.

- Czy chciałbyś przyjechać i pracować tam dla mnie? Muszę dość szybko zebrać personel. Mam nadzieję, że nie czujesz się obrażony tą propozycją - ciągnął Duncan szybko. - Po prostu usłyszeliśmy wieści i chciałem jakoś pomóc. - Przerwał. - Masz prawdziwy talent. Myślę, że możesz znaleźć przyszłość w gastronomii. Jeśli tego właśnie chcesz. Choć - dodał - może warto byłoby poprawić trochę umiejętności posługiwania się nożami. Tak więc chociaż myśleli, że będą opuszczać zamek z poczuciem straty i bezcelowości, skończyło się na tym, iż Klara i Martin wyjeżdżali z czymś zupełnie innym: z propozycją pracy. Duncan ostrzegął, że pieniądze nie będą duże, ale mógł im zapewnić możliwość korzystania z małego mieszkania nad restauracją za bardzo rozsądny czynsz w tej skądinąd nierozsądnie drogiej okolicy.

W Londynie Martin i Klara spędzili kilka nocy w tanim schronisku studenckim, a potem Martin zaczął pracę - w następnym tygodniu, zaraz po przyjeździe Duncana do miasta. Restauracja, znana tylko z adresu, 17 Dobson Mews, była mała i ładna, a kuchnia oferowała stalowe kontuary, rzędy palników na piecach i choć nadal obowiązy-

wało w Anglii racjonowanie żywności, dostawę bardzo interesujących składników.

Tego pierwszego dnia w restauracji Martin pracował i pracował, pomagając Duncanowi w zorganizowaniu wszystkiego, a wieczorem położyli się z Klarą spać w swoim nowym mieszkaniu na górze. Pokoje były umeblowane, choć niezbyt ładnie - pokój dzienny z brązową guzowatą kanapą i krzesłami oraz mała łazienka bez żadnych zbytków. Jedynym meblem, który im się podobał, było rzeźbione czarne łóżko w kształcie sań z drzewa tekowego. Prawdziwy jednak luksus mieszkania stanowił duży pokój, zalany światłem. Klara mogła go wykorzystywać jako pracownię, tak zaproponował Martin, kiedy leżeli w łóżku.

- Przynajmniej na razie - dodał. - Kiedy urodzą się dzieci, to obawiam się, że będziesz musiała oddać im ten pokój.

- Dzieci - powiedziała w zamyśleniu Klara. - Nawet nie jesteśmy małżeństwem.

Zwrócił się do niej, a łóżko lekko pod nimi zaskrzypiało.

Zdawało się, że to łóżko może unieść się z ziemi i zabrać ich gdzieś, gdziekolwiek; jakby miało jakieś magiczne właściwości.

Nie, poprawił się Martin w myślach, to ich życie miało te właściwości. Przecież to ogromne szczęście - mieć Klarę, pracę, którą kochał, w mieście, w którym się wreszcie osiedlali.

Zaczynało się: ta część, kiedy nie musieli ciągle sprawdzać rozkładów jazdy pociągów, podpisywać hotelowych książek meldunkowych czy budzić się w nocy i zastanawiać, gdzie są. Ta część, w której zatrzymali się w jednym miejscu i które zamienili w swoje własne, tak że po krótkim czasie przywiązali się do niego, czuli potrzebę, aby być tutaj.

- Myślę - powiedział ostrożnie - że powinniśmy pomyśleć o tym, by wziąć ślub, jak sądzisz?

Oczywiście obydwójce cały czas myśleli o małżeństwie, ale ciągle znajdowali się w drodze, mieszkając w różnych nieznanym miejscach, i ślub nie wydawał się sprawą naturalną. Teraz jednak Martin wdrażał się w swoją wymarzoną pracę, Klara zaczynała lekcje rzeźby w galerii Tate z cudownym, wrażliwym nauczycielem i oboje zaczynali od samego początku w miłym mieszkaniu. Postanowili, że pobiorą się w ciągu kilku najbliższych tygodni.

Kiedy poruszyli ten temat z Duncanem, nalegał, żeby zorganizować uroczystość w restauracji.

- Zaproście, kogo tylko chcecie - zaproponował wspólnymyślnie.

- Ale my nikogo nie znamy w Londynie - odezwała się Klara.

- W takim razie - odparł - zaproście mnie.

Tego wieczoru, po zakończeniu kolejnego długiego dnia Klara zwróciła się do Martina i westchnęła:

- O, mój Boże.

- Co się stało? - zapytał.

- Właśnie zdałam sobie sprawę - powiedziała - że nasze dzieci będą mieć brytyjski akcent.

Klara nie przywykła do dźwięku dzwonka przy frontowych drzwiach mieszkania. Nadal nie mieli tu zbyt wielu przyjaciół, więc prawie nikt nie przyciskał zielonego, metalowego dzwonka na framudze drzwi. Raz człowiek, który przyjechał z dostawą jaj do restauracji, pomylił przycisk, i to wszystko. Kiedy więc pewnego ranka zadzwonił dzwonek, po jakichś dwóch tygodniach od chwili ich zamieszkania w Kensington, Klara aż podskoczyła. Właśnie siedziała, rysując szkic do rzeźby, którą chciała wykonać

podczas lekcji w Tate tego popomdnia. Dzwonek był ostry, nieprzyjazny - długi i natrętny.

Otworzyła drzwi. Posłaniec firmy Western Union stał na najwyższym stopniu, wymawiając jej nazwisko i podając kopertę. Telegram zawiadamiał:

MATKA BARDZO CHORA STOP PRZYJEŹDŹAJ DO DOMU STOP UCAŁOWANIA MARGARET .

Poczuła, jak coś skręca się jej w żołądku, a nagła panika ogarnia serce. Rzadko myślała o matce czy ojcu, a oto, co się teraz stało. Odkąd znalazła się w Europie, obowiązkowo pisała do domu, podając adresy, gdzie można ją zastać w nagłym wypadku, ale nigdy nie zastanawiała się nad tym. Teraz jednak zrozumiała, że dotarła do dnia, który wcześniej czy później musi nadejść dla każdego, kto postanawia mieszkać przez dłuższy czas za granicą. Jutro będzie musiała polecieć do Stanów. Mieli bardzo mało pieniędzy, lecz trzeba będzie wskrobać dość na opłacenie kosztów przelotu. Klara powoli zeszła do restauracji. Martin siedział z trójką innych mężczyzn przy stoliku na zapleczu, obierając fasolkę szparagową.

- Nasz ślub. Będziemy musieli trochę poczekać - odezwała się, pokazując mu telegram.

- To nieważne - powiedział szybko.

- Oczywiście, że tak.

- Tak mi przykro z powodu tych wiadomości, Klaro.

- Powinienem pojechać z tobą. To znaczy, powinienem być z tobą.

- Nie, powinieneś być tutaj - odparła. - Oni cię tutaj potrzebują. A jeśli ja będę cię potrzebować, przyślę po ciebie. Przysięgam.

- Klara ...

- To bardzo miło z twojej strony, że chcesz ze mną jechać, Martinie - powiedziała - i naprawdę to doceniam. Ale wrócę naprawdę szybko. Mój Boże, całe moje życie jest tutaj. Ty jesteś tutaj. Nasze przyszłe dzieci i ich akcent jest tutaj. Ja jestem tutaj. - Dotknęła wykrochmalonego przodu fartucha Martina. - Jestem tutaj - powtórzyła.

Klara opuściła Londyn w mokry, jesienny poranek. Chwilę po starcie chmury zasłoniły jej cały widok na miasto, które właśnie zaczynała poznawać. Zauważyła, że studiuje krople deszczu zbierające się po zewnętrznej stronie okna, sunące w niewłaściwym kierunku, jakby obalając prawo grawitacji. Deszcz padał do góry: to było coś, czego nigdy przedtem nie widziała, czego nie mogła przewidzieć, dokładnie coś takiego, co podejrzewała, będzie na nią czekać w domu przy ulicy Badger. Kilka razy starała się wyobrazić sobie, co może tam zastać, lecz nic nie przychodziło jej do głowy. Kompletna pustka. Telegram w niczym nie pomógł. To słowo siostry bardzo, co ono konkretnie oznaczało: jaki stopień choroby określa się jako bardzo? Możliwości były niezliczone, więc fantazjowanie nie miało sensu, a kiedy Klara próbowała wyobrazić sobie życie w Longwood Falls, nie widziała nic. Wszystko, co mogła teraz z jakąkolwiek pewnością nakreślić, dotyczyło tego, co zostawiła w Londynie. Przycisnęła czoło do owalnego okienka samolotu, wpatrywała się w mgłę i myślała: Idź sobie, Biedaczko, idź do domu.

7

1 grudnia 1952

M.

Wczoraj zauważyłam, że z daszku altanki zwisają sople. Teraz nikt w niej nie siada; jest na to zdecydowanie za zimno. Wszyscy natomiast siedzimy w domach, i sądzę, że innym mieszkańcom miasteczka to odpowiada, ale ja czuję jedno: jak niewiarygodnie **ŹLE** jest nie być z tobą.

W ubiegłym tygodniu mama miała operację, żeby usunąć chorą tkankę z jej piersi (rakową, jak stwierdził lekarz, lecz operację uważa się za udaną), a teraz jest słaba i odczuwa bóle. To naprawdę zatrważające widzieć ją w takim stanie. Lekarz powiedział mi, że jeśli ma „szybko” powrócić do zdrowia, ha, ha, ha (uważał się za bardzo bystrego, nawiązując do naszego nazwiska, jakby był pierwszą osobą, która na to wpadła;¹ to będzie potrzebowała bardzo dobrej opieki, a ja obiecałam, że zostanę, żeby się nią zająć.

¹ ang. *swift omacis* zręczny, szybki,

Większość czasu spędzam przy jej łóżku i czytam na głos (lubi wiersze Edny St. Vincent Millay - zwłaszcza: „Moja świeca płonie z obu stron...”) albo gotuję jej trochę bulionu wołowego czy jajko na miękko - robię to źle, przykro mi to przyznać. Wszystko byłoby o wiele smaczniejsze, gdybyś ty to przyrządził - albo też przynoszę jej tabletki przeciwbólowe przepisane przez doktora.

Próbuję też opiekować się ojcem. Bywa teraz udręczony i roztargniony; dziś rano chciał wyjść do pracy w pasiastej górze od pizamy i musiałam go zawrócić. Żałuję, że nie było mnie tutaj, gdy mama się rozchorowała; muszę przyznać, że czasem czuję się naprawdę winna. My byliśmy sobie tam, beztrosko szczęśliwi i zajęci sami sobą w naszym małym, londyńskim życiu, a ona tu cierpiała. Margaret przychodzi pomóc, kiedy tylko może, ale jej bliźnięta mają dopiero cztery miesiące i autentycznie nie może wyrwać się na dłużej. Kiedy jedno z bliźniąt śpi, drugie jest rozbudzone i płacze, z buzią w kolorze pomidora. (Przypomnij mi, Martin, kiedy będziemy mieć własne dzieci, żeby prosić Boga, by dawał nam je po kolei, a nie wszystkie razem, dobrze?) Cały czas tęsknię za tobą. Proszę, napisz i daj znać, co się dzieje przy 17 Dobson Mews. Czy jesteś już dobry w robieniu trójkątnych paluszków z mąki jęczmiennej? Słyszałam, że to obowiązek każdego obywatela Wielkiej Brytanii.

Z całą moją miłością, *Klara*

14 grudnia 1952

Kochana Klaro,

Przykro mi, że twoja mama jest taka słaba i chora. Wysłałbym jej kilka butelek śmietanki z Devonshire, ale obawiam się, że nie przetrwałaby podróży. Wiem, jaki to dla Ciebie straszny okres i chcę, żebyś wiedziała, iż uważam Cię za CUDOWNĄ

córkę!!! (Zwróć uwagę na wykrzykniki). Proszę, nie obwiniaj siebie; nie mogłaś wiedzieć, że mama się rozchoruje. A jej choroba nie ma nic wspólnego z naszym europejskim wypadem.

..

Zgadzam się, że własne dzieci powinniśmy mieć po kolei, ale gdyby miały się urodzić wszystkie razem, jak małe prosiaczki, też nie czułbym się zbytnio wytracony z równowagi. 17 DM miewa się jeszcze lepiej niż dotychczas, jeśli możesz w to uwierzyć. Czuję, że ta restauracja jest zaczarowana. Zdaje się, że krążą tu po okolicy opowieści o tym „Amerykaninie” w kuchni (o mnie), który gotuje nie tylko „klasyczne amerykańskie” dania, takie jak szarlotka, i makaron z serem, lecz także skomplikowane i zawile potrawy kontynentalne. Przedwczoraj wieczorem musieliśmy zawracać ludzi od drzwi, bo sala jadalna była tak przepełniona. Sprzątaliśmy do trzeciej nad ranem, ale to zdawało się nikomu nie przeszkadzać; chyba wszyscy lubią mieć swój udział w sukcesie. Duncan i cały personel kuchenny przesyłają Ci ucałowania. (No, *dobrze, pozdrowienia*). Ja przesyłam Ci swoją miłość...

Martin

Abby odłożyła listy, oparła się o fotel i zamknęła oczy. Przesłuchiwała już dwie taśmy nagrania i zaczęła się przekopywać przez fotografie Martina i Klary w różnych miejscach Europy: całujących się u podnóża wieży Eiffela, pozujących przed Uffizi, stojących po dwóch stronach halabardnika o kamiennej twarzy przed pałacem Buckingham, obejmujących się przed ogromnym zamkiem z omszałego kamienia w Irlandii. Potem nastąpiła korespondencja między Klarą i Martinem - jeden za drugim pilne listy, informujące na bieżąco o ich oddzielnym życiu. Abby wolałaby, żeby Klara wcale nie dostała tego telegramu, żeby ślub odbył się przy 17 Dobson Mews zgodnie z planem, żeby

oboje mogli zostać razem w Londynie, śpiąc w łóżku w kształcie sań w swoim małym mieszkanku i zaczynając dalszy ciąg wspólnego życia. Ale życie, oczywiście, rzadko przebiega według jakiegoś planu czy diagramu. Klara wsiadła do samolotu lecącego do Paryża w 1952 roku; Abby urodziła swoje dziecko w roku 1992. Każda z nich, na swój sposób, odjechała.

A potem, nagle powróciła. Kiedy Abby wsiadała do pociągu powrotnego do Longwood Falls, jadąc na pogrzeb ojca, nie wiedziała, że wraca do domu na stałe. Gdyby ojciec ją nastawiał, oczekiwał od niej, że przejmie po nim gazetę, może łatwiej byłoby od tego odejść. Ale ojciec nigdy czegoś takiego od niej nie oczekiwał. Zdawał się doceniać fakt, że ona jest inną osobą niż on, kimś o własnych Zainteresowaniach i skomplikowanym życiu wewnętrznym. Kiedy przyprawdzał do domu przyjaciół czy współpracowników, a oni podawali jej rękę, pytając, czy mają przyjemność poznać przyszłego redaktora i wydawcę „Kroniki”, ojciec Abby zawsze odpowiadał: „Myślę, że może Abby zostanie wielkowiejską dziewczyną”. Wybór, jeśli i kiedy przyjdzie pora, miał należeć do Abby, i w końcu taki właśnie okazał się ten wybór: wrócić do Longwood Falls albo pozwolić, by dzieło życia jej ojca zginęło wraz z nim.

Matka nie powiedziała Abby dokładnie, co ma robić. Właściwie Helen Reston odmówiła wyrażenia swego zdania. Gdy jednak dzień po pogrzebie córka powiedziała jej, że przejmie gazetę, matka zdawała się oddychać lżej niż w ciągu poprzednich dni, jakby z ulgą, że jednak przetrwa jakaś część jej męża Toma. Tymczasem Abby zastanawiała się, ile jej rodzice znaczyli dla siebie nawzajem. Wtedy, kiedy wyobrażała sobie, że ona i Sam Bachman pewnego dnia zamieszkają razem

na stałe w jednym miejscu i wspólnie się zestarzeją, sądziła, że znalazła coś, czego jej matka nie miała: mężczyznę, który nie bał się okazywać miłości. Ale gdy Abby zaszła w ciążę i Sam zniknął, zdała sobie sprawę, że całkowicie się myliła.

A teraz, nawet jeśli pojawiał się mężczyzna, który, jak się wydawało, chciał się przekonać, jak może wyglądać życie z trzydziestopięcioletnią samotną matką, Abby nie potrafiła znieść myśli o tym, by zaczynać od nowa, albo dokładniej, by kończyć - po tym jak otworzyła się w sposób dotąd uznawany przez nią za niemożliwy - znowu samotnie.

W pewien weekend, jeszcze w Nowym Jorku, Miranda dostała niezwykle wysokiej gorączki i bardzo osłabła, a Abby zapakowała ją do taksówki i powiozła do rejonowego pediatry, młodego, zarośniętego lekarza, o którym nigdy nie słyszała.

Jednak Nick Kelleher okazał się delikatny, przepisał antybiotyki i uspokoił zarówno dziecko, jak i matkę. Zaraz w poniedziałek zadzwonił, żeby się dowiedzieć, jak się czuje Miranda, a potem zatelefonował we wtorek, by się przekonać, jak się miewa Abby, i ciągle dzwonił - w Nowym Jorku, a potem tutaj, najpierw, by tylko porozmawiać, ale później zaproponował, że przyjedzie w odwiedziny. Mówił, że ma czasem wolny weekend i naprawdę podobają mu się krajobrazy północnej części stanu Nowy Jork, pytał więc, gdzie mógłby się zatrzymać w okolicy. Abby oczywiście zawsze miała jakieś super wymówki nie do zbiccia, żeby się z nim nie zobaczyć i to dziwne, że dotąd go nie zniechęciła. To nie było sprawiedliwe ani słuszne. Ale co innego mogła zrobić?

Oparła teraz łokcie o biurko i przetarła oczy. Potem naląła sobie jeszcze jeden kieliszek wina i sięgnęła do magnetofonu, ciekawa, jak Klara radziła sobie z własnym powrotem do Longwood Falls.

Klara sprowadziła się z powrotem do domu rodziców przy ulicy Badger, ale nie sypiała już w dawnym pokoju dziecięcym. Teraz pokój ten należał do Maureen Swift, która potrzebowała własnego łóżka na noc, bo często przez długie godziny wierciła się i przewracała z boku na bok. Klara spała na rozkładanym łóżku w pokoju dziennym, a kiedy słyszała, że matka pojękuje albo płacze w nocy, przynosiła jej kolejny środek przeciwbólowy albo kompres zamoczony w zimnej wodzie.

Początkowo matka była wstrząśnięta, zobaczywszy ją po przyjeździe z Europy.

- A czego się spodziewałaś? - powiedziała Klara. - Kiedy dostałam telegram od Margaret, nie mogłam tak po prostu zostać w Anglii. Musiałam przyjechać do domu.

- Ale wyraźnie mówiłam Margaret, żeby ciebie nie kłopotać - tłumaczyła matka przytłumionym głosem, z odrobiną chłodu. - Mówiłam jej, że masz teraz własne życie, ty i Martin, i że tego właśnie chciałaś.

Słowa ranią, nawet jeśli nie wypowiedziano ich z takim zamiarem; to była parafraza tego, co sama Klara napisała w liście do rodziców, zostawionym na stole kuchennym, zanim wyjechała. Miała dwadzieścia jeden lat i prawo do własnego życia, jednak teraz, w obliczu nagłej choroby matki, sytuacja znacznie się skomplikowała i wszystkie okoliczności wyglądały inaczej. Życie Klary czekało na nią w Londynie, tyle że nie mogła tak po prostu pojechać i włączyć się w nie. Chciała być z Martinem - nie potrafiła myśleć o niczym innym, kiedy nie martwiła się o matkę - lecz nie miała właściwie wyboru. Mimo pewnej trudności w kontakcie z matką Klara postanowiła zostać w Longwood Falls i zaopiekować się nią, tak samo jak matka zajmowała się Klarą, gdy ta była niemowlęciem.

Czasem w ciągu tych tygodni Maureen Swift przez godzinę czy dwie czuła się wprost świetnie i w tym czasie grywały w karty. Siadały we dwie przy stole kuchennym i rzucały kartami w zadziwiająco ożywionej grze kierów czy trefli. Klara nastawiała radio stojące na kuchennym parapecie na stację z muzyką popularną i pozwalała, by dźwięki *Mood Indigo* czy *I've Got You Under My Skin* płynęły po kuchni jak lekki wiaterek. Matka i córka rozmawiały ze sobą, jak nigdy dotąd. Klara zauważyła, że bardzo dużo opowiada o Martinie.

- Nie mogę powiedzieć, żebym to pochwalała - powiedziała Maureen Swift po chwili. - To, że żyjecie razem, nie będąc małżeństwem. Więc nie oczekuj tego ode mnie.

- Nie będę - odrzekła cicho Klara. - Ale jeśli to coś zmienia, mamy zamiar się pobrać, uwierz mi. Jak tylko wrócę do Londynu.

Wydawało się, że słowa te jeszcze przygnębiły Maureen i Klara dostrzegła swój brak wrażliwości. Matka wcale nie chciała, żeby ona wracała do Londynu, to jasne; wołała, żeby Klara została blisko, chociaż tego nie wyraziła wprost.

- Zrozum, mamo - ciągnęła Klara - ja nie uciekam. Po prostu wracam tam, żeby być z nim. To miejsce stało się naszym domem. On znalazł tam cudowną pracę, taką, jakiej zawsze pragnął, ku swemu absolutnemu zdumieniu, i dostaliśmy małe mieszkanie na piętrze ze słonecznym pokojem z tyłu, gdzie mogę rzeźbić. Brałam lekcje w galerii Tate u bardzo dobrego nauczyciela, pana Paleya. Któregoś dnia podszedł do mnie po lekcji i powiedział, że jego zdaniem mam prawdziwy talent. Matka odwróciła się i Klara mogła dostrzec fizyczny ból, który znów odczuwała, ale też coś więcej.

- Wiesz, Klaro - odezwała się - ja nie wybrałabym dla ciebie takiego życia, Bóg jeden o tym wie, ale skoro ono

jest i nie zamierza odejść, to muszę powiedzieć, że cieszę się, iż on cię uszczęśliwia. Czy jesteś jednak pewna, że chcesz być tak daleko od wszystkiego?

- Nie - odpowiedziała Klara po chwili.

Siedziały później w ciszy, rzucając karty i popijając gorący cydr, który Klara przyprawiła korzeniami według przepisu Martina.

Mała kuchnia pachniała goździkami i smażoną skórką pomarańczową, a zapach ten sprawiał, że wszystko stawało się bardziej do zniesienia. W końcu matka odłożyła karty i powiedziała:

- Wiem, dlaczego z nim wyjechałaś. Wcześniej tego nie rozumiałam, ale teraz tak.

- Tak? - zareagowała Klara.

- Dawniej myślałam, że wy po prostu uciekacie od nas - mówiła Maureen Swift. - Od naszej rodziny, od faktu, że nie mieliśmy dużo pieniędzy ani wiele do zaoferowania. To, że postawiłaś jego ponad nas, zraniło chyba moje uczucia. - Wzięła głęboki wdech, coś w środku spowodowało nowy przypływ bólu. - Ale patrzę na ciebie teraz - kontynuowała - i widzę, że jesteś inna. Wyjechałaś z nim, żeby móc się zmienić. Tutaj to byłoby niemożliwe. Jeśli chodzi o twoją siostrę, wystarczyło jej do szczęścia wyjść za mąż za Larry'ego Bentona, przenieść się do domu o trzy ulice od nas i pracować jako recepcjonistka u doktora, a potem urodzić te kochane bliźniaki. Ale ty - nie taką drogę wybrałaś, prawda?

- Nie - cicho odparła Klara.

- Nigdy nie będę z tego zadowolona - ciągnęła dalej matka - ale zrobiłaś to, i teraz jesteś inna, więc co mam powiedzieć?

Jej matka miała rację; była inna. Dokonało się to powoli, bez słów, wkradając się w nocy, kiedy spała albo kochała się z Martinem. Oczywiście, że kochanie się odegrało w tej zmianie niemałą rolę, bo w ciągu miesięcy spędzo-

nych wspólnie w Europie mogła po raz pierwszy zaznać prawdziwego poczucia intymności. W łóżku w mieszkaniu w Kensington, kiedy dotykali się nawzajem rękami, ustami - to poczucie tylko się spotęgowało.

Ale wszystko pozostałe też miało swoje znaczenie. Świat ich dwojga, jaki stwarzali w nocy w łóżku, przenikał nieuchronnie wszystko, co robili. W końcu potrzebowali niewiele. Bywali w luksusowych hotelach i restauracjach Europy, a potem żyli skromniej w londyńskim mieszkaniu, lecz drastyczne obniżenie sumy pieniędzy niczego naprawdę nie zmieniło. Klarze nie brakowało przepychu ich początkowych dni w Europie, puszystych ręczników i przejrzystej porcelany, pokojówek wsuwających się i wychodzących bezszelestnie z pokoju; zaczynała mieć tego przesyt. Nawet w ogóle bez pieniędzy mogła być z Martinem całkowicie otwarta, czuć się wolna. Jako dorastająca dziewczyna w Longwood Falls Klara miała wiele rzeczy, ale z pewnością nie była wolna.

5 stycznia 1953

Kochany Martinie,

Nowy Rok przyszedł i odszedł, i ledwie to zauważyłam. Miałam nadzieję, że do tej pory mama będzie się czuła lepiej, ale prawda okazała się inna. Lekarz jest zatroskany, a wczoraj pojechaliśmy do szpitala w Albany na dalsze badania. Powiadomię Cię, kiedy przyjdą wyniki. Chciałabym móc odliczać dni do czasu naszego ponownego spotkania, tylko że nie mam konkretnej liczby, od której mogłabym zacząć odliczanie. Wciąż jeszcze czuję Twój zapach i słyszę Twój głos. Czasem budzę się na tym wąskim łóżku w pokoju dziennym, przez chwilę zagubiona, wyobrażając sobie, że jesteś obok mnie. Ale oczywiście nigdy Cię nie ma.

Klara

15 stycznia 1953

Kochanie,

Tak mi przykro, że nie widać poprawy. Będę trzymać kciuki za wyniki badań Twojej mamy.

Dzisiaj zrobiłem tort waniliowy dla Duncana, tak bogaty i pełen treści, że przypominał mi Ciebie. (Czy to Cię zakłopotało? Mam nadzieję, że nie.) Nie zostawię dla Ciebie kawałka tego tortu, bo nie sądzę, byś przyjechała do domu w tym tygodniu. Duncan zapytał, czy mógłbym zastanowić się nad pozostaniem tutaj na stałe - naprawdę zamieniając restaurację w moje własne miejsce, kiedy on odejdzie, co może, jak zasugerował, nastąpić szybciej niż się nam wydaje. Ma pomysł otwarcia nowego lokalu - czegoś większego i bardziej codziennego - na południowym zachodzie Anglii, może w Exeter. Oczywiście powiedziałem mu, że muszę o tym porozmawiać z Tobą. Czy myślisz, że Londyn byłby miejscem, gdzie mogłabyś żyć „długo i szczęśliwie”? Tylne pokój w mieszkaniu jest na zawsze Twój do pracy i moglibyśmy często wyjeżdżać w podróże do Francji, Hiszpanii i Włoch, kiedy tylko potrzebowałabyś kolejnej dużej dawki tego nagiego posągu Dawida, który Cię tak podnieca... Kochanie, zastanów się nad tym przez chwilę, kiedy będziesz mogła, choć wiem, że tak się martwisz. Modlę się, żeby wyniki badań były pomyślne.

Kocham Cię *Martin*

17 stycznia 1953

Kochany Martinie,

Postanowiłam nie czekać na nadejście listu od Ciebie, żeby Ci odpisać. Muszę już dziś powiadomić Cię o tym, co się dzieje. Przyszły wyniki badań mamy i nie są dobre. Zdaje się, że rak powrócił, i teraz nic już nie da się dla niej zrobić. Doktor mówi, że postara się jej ulżyć, co oznacza, iż będzie wpychać

w nią tony morfiny. Ona nie jest już sobą, odeszła w jakiś dziwny, nowy stan, jakby była we śnie. Tak mi smutno, kiedy pomyślę, że już nigdy nie odzyskam mojej mamy i że nie ma sposobu, by poprawić stan jej zdrowia. Mój biedny ojciec nie wie, co ze sobą zrobić. Po prostu siedzi przy niej i cicho mówi jej o rzeczach, które się wydarzyły przed wielu laty, gdy byli młodzi. Kiedy ma pewność, że ona śpi, pozwala sobie na płacz. PROSZĘ, nie rób niczego tak nierozsądnego, jak przylot tutaj. Wiem, jak jesteś niewiarygodnie zajęty w restauracji, by już nie wspomnieć o fakcie, że nie stać nas na opłatę za przelot, i że naprawdę radzę sobie świetnie.

Ucałowania *Klara*

KLARA STOP PRZYLATUJĘ NATYCHMIAST MIMO TEGO
CO PISZESZ STOP SPOTKAJ SIĘ ZE MNĄ W ALTANCE
JUTRO RANO STOP MARTIN

Martin przybył do altanki rozczochrany i nie ogolony, prosto po długim locie z Londynu i długiej jeździe pociągiem z Nowego Jorku. Nie dbał jednak o to, jak wygląda. I tak wszyscy w Longwood Falls uważali go za szaleńca, więc teraz pasował do tej roli. Wsiadł na dworcu i szedł przez miasto, doznając przypływu dziwnego uczucia powrotu po tylu miesiącach. Czy to możliwe, by to miejsce zmałało, czy też rozległe połączenie Europy spowodowały, że miasto wydawało się miniaturką? Czuł, jak ogarnia go nostalgia, choć większość emocji wiązała się z Klarą; Longwood Falls miało dla niego największe znaczenie w kategoriach jego związku z nią. Pomyślał: to ścieżka, którą chodziliśmy, a kilka kilometrów dalej tą drogą będzie nasz motel, a dalej w tym kierunku stoi drzewo, pod którym siadaliśmy. I oczywiście pomyślał: a to nasza altanka.

Stała tam, a Klara czekała w środku. Tym razem nie uśmiechała się. Wyraz twarzy miała napięty, opanowany. Wstała, kiedy wchodził po niskich schodkach.

- Mówiłam ci, żebyś nie przyjeżdżał - zaczęła.

- Chyba zapomniałem. A poza tym, jak mogłem zostawić cię tu samą?

- Ale restauracja ...

- Och, do diabła z restauracją - powiedział Martin. - To nie o to chodzi.

Klara patrzyła na niego zmęczonymi oczami. Wiedział, że prawie nie sypia, że wszystko, czym się zajmuje, to opieka nad matką i ojcem, i prowadzenie gospodarstwa.

- Nie trzeba się mną opiekować, Martin - oponowała. - Nie ma potrzeby mnie niańczyć.

- Ależ oczywiście, że jest - odparł. - Każdy czasami tego potrzebuje.

- Nie - upierała się. - Przystawiłam się na ten drugi tryb, tryb opiekuna. Mama mnie potrzebowała, więc oddałam się do dyspozycji. I ojciec też mnie potrzebuje.

- Nie będę ci się narzucać - odezwał się głucho. - Po prostu chcę pomóc w ułatwieniu sytuacji, jeśli to możliwe. Proszę - mówił - pozwól mi trochę sobie pomóc. - Podeszedł i wyciągnął do niej rękę. Nastąpiła chwila przerwy, jakby ona decydowała się, co począć, a potem zrobiła parę kroków, prosto w jego ramiona, jakby mieli zacząć taniec.

- Tak przy okazji, okropnie pachniesz - szepnęła Klara. - A twoja broda przypomina papier ścierny.

- Wykąpię się i ogolę, jak tylko będę mógł - odparł. - Zatrzymam się w Lookout, pokój osiemnaście, oczywiście. Ale najpierw - dodał - czy mogę pójść z tobą do domu twoich rodziców?

Odsunęła się trochę i popatrzyła na niego.

- Wątpię, czy chcą cię widzieć, Martinie. - Przerwała. - To znaczy, nie uważają cię za wroga - dodała - ale też nie są zachwyceni. Chyba myślą, że jeśli chcę być dziwaczką, prowadzi na innym kontynencie życie w grzechu z niewłaściwym mężczyzną - mówiła - to oni nic nie mogą z tym zrobić. Więc przyjęli to. Albo przynajmniej się starali.

- No więc pozwól mi przyjść do domu - nalegał Martin.

Klara znów na niego spojrzała.

- W porządku - zgodziła się. - Możesz przyjść.

Wieczorem wrócił na ulicę Badger i stał w kuchni Swiftów, przygotowując garnek zupy jarzynowej dla mamy Klary. Użył najlepszych składników, jakie udało mu się znaleźć w tak krótkim czasie, dodając zioła, o których leczniczych właściwościach słyszał, a potem przetał wszystko, aż stało się gładkie jak papka dla niemowlęcia. Maureen, która od tygodni nie potrafiła zatrzymać żadnego pożywienia, jakoś zdołała zjeść niewielką miseczkę tej zupy. Początkowo, kiedy Martin przestąpił próg ich mieszkania, oboje rodzice Klary zrobili się podejrzliwi i sztywni, ale po chwili, gdy Martin cicho przejął ster w kuchni i wziął się do pracy, trochę zmiękli.

Przychodził codziennie rano i spokojnie gotował dla matki Klary, przygotowując potrawy, które były jednakowo gładkie w konsystencji, ale całkowicie różniły się smakiem: zupy, wyroby mączne, przecier z buraków, rzepy, słodkich ziemniaków, porów. Zrobił też sam lody dla rodziny. Martin spędzał całe godziny w tej małej, nieodpowiednio wyposażonej kuchni, gotując dla matki Klary - kobiety, która nigdy go nie lubiła, ani nie pochwałała tego, co zrobił z jej córką - a pod koniec dnia odchodził do motelu Lookout, gdzie natychmiast zasypiał w zapadającym się łóżku.

Pewnego popołudnia pod koniec marca Maureen Swift zawołała córkę, która właśnie niosła miseczkę bulionu z kurczaka, przygotowanego przez Martina. Klara odstawiła miseczkę i pospieszyła do niej.

- Tak, mam - powiedziała, siadając na twardym krześle obok łóżka. - Och, co się stało?

Matka odwróciła głowę i popatrzyła na nią, a jej oczy błyszczały.

- Klaro - odezwała się grubym, zmienionym głosem - czy zamierzasz znowu z nim odjechać?

Klara nie wiedziała, co odpowiedzieć; ona i Martin nie rozmawiali ostatnio o przyszłości. Po prostu odłożyli to na jakiś czas, skupiając się na tym, co było tuż przed nimi.

- Nie wiem - odparła.

- Czy mogłabyś się upewnić, że z ojcem jest wszystko w porządku, zanim odjedziesz? - pytała matka. - Czy zaopiekujesz się nim? Tak się martwię, że sam się zupełnie załamie.

Klara przytaknęła. Potem mowa Maureen Swift stała się przytłumiona i dziwaczna, mówiła na inne tematy, jeden po drugim: o sukience w kratkę, którą nosiła jako dziecko; o pierwszej randce z ojcem Klary; o burzy, która przewróciła płot wokół domu w trzydziestym drugim roku, roku narodzin Klary.

- Tamtej nocy woda była wszędzie - opowiadała matka cicho i powoli - po prostu lała się całymi godzinami. Myślałam, że nigdy nie przestanie, a twój tata wyszedł w tę ulewę bez płaszcza przeciwdeszczowego, kaloszy czy kapelusza i zaczął podnosić sztachety płotu, które leżały na drodze. Miał na sobie czerwoną koszulę w kratę, pamiętam.

A potem głos Maureen Swift odplynał, stając się coraz słabszy i słabszy, jakby szła długim korytarzem. Och, ma-

mo, pomyślała Klara i zaczęła cicho szlochać, gdy matka odwróciła się twarzą do ściany i zamknęła oczy, to ty mnie opuszczasz, nie ja ciebie.

Po śmierci Maureen Swift było oczywiste, że Klara jest nadal potrzebna w domu ojca. Śmierć żony poważnie zmieniła Lucasa Swifta i rano miewał ogromne problemy z wstaniem i udaniem się do pracy w swojej firmie remon-towo-porządkowej. Klara musiała go rozruszać każdego dnia, przygotować mu kawę, podać skarpety od pary, upewnić się, że wie, jakie ma zabrać ze sobą narzędzia, dopilnować, by po powrocie wieczorem rzeczywiście zjadł kolację. Lucas Swift znajdował się w stanie ogłuszenia żalem i nie podejmował większego wysiłku, by z niego wyjść. Przesiadywał natomiast długo na maleńkim ganku, skręcał papierosy i wpatrywał się w skrawek ziemi za domem. Ledwie zdawał się zwracać uwagę na cokolwiek, co dzieje się wokół niego. Martin nadal kręcił się po domu w ciągu dnia, pomagając Klarze w każdy możliwy sposób, a Lucasowi jego obecność zdawała się nie przeszkadzać. Czasem Martin zastanawiał się, czy naprawdę wie, że on tam jest.

Pewnego wieczoru, gdy Klara zmywała naczynia, a Martin zbierał się, by wrócić na noc do motelu, Lucas podniósł na niego wzrok ze swego miejsca na ganku i przemówił.

- Jakie masz plany - zapytał - wobec mojej córki? Martina zupełnie zaskoczyła ta uwaga, zwłaszcza fakt, że Lucas w tak logiczny sposób przejawiał zainteresowanie życiem i przyszłością Klary.

- Zamierzam - odpowiedział Martin uprzejmie - ożenić się z nią, kiedy wrócimy do Londynu. - Potem do-

dał: - Oczywiście, bylibyśmy zachwyceni, gdyby przyjechał pan na nasz ślub. Znaleźlibyśmy sposób, by pana sprowadzić.

Lucas Swift niecierpliwie potrząsnął głową.

- Nie opuszczę tego domu i myślę, że wiesz o tym. Tak, Martin to wiedział. Ojciec Klary nie należał do osób, które nagle przerywają ustalony tok zajęć, szczególnie teraz, po śmierci żony.

- Więc którego dnia zabierasz moją córkę? - ciągnął Lucas.

- Zabieram ją? - zdziwił się Martin. - Panie Swift, nie zabieram jej; to znaczy, ona chce jechać. Ma dwadzieścia jeden lat. A co do tego kiedy, no cóż, naprawdę nie umiem powiedzieć.

Kiedykolwiek Klara uzna, że jest gotowa. Kiedy o wszystko tutaj zadba.

- Tak, tak - powiedział Lucas Swift - ale kiedy to nastąpi? Czy tym razem powiadomi mnie, czy po prostu zostawi mi liścik i znów się ulotni?

Martin spuścił wzrok. Ojciec Klary był nadal na niego zły, ponieważ wyrwał Klarę z domu rodzinnego, ze sposobu życia, którego nigdy nie powinno się kwestionować. Jediną przyczyną, dla której znalazła się znów w domu, było coś strasznego. Gdyby nie choroba i śmierć matki, nadal znajdowałyby się daleko stąd z Martinem, w słonecznym mieszkaniu w Londynie nad małą, znakomitą restauracją, rzeźbiąc, kochając się i prowadząc życie, jakiego jej ojciec nawet nie mógł sobie wyobrazić.

- Bardzo mi przykro, że przyczyniłem się do cierpienia pana i pańskiej rodziny - odezwał się w końcu Martin. - To naprawdę nie leżało w moich zamiarach.

Po chwili Lucas skinął głową; zdawał się niechętnie przyjmować przeprosiny. Martina jednak wciąż nurtowało to pytanie - kiedy Klara będzie gotowa, by wrócić z nim do

Londynu? Kiedy poczuje, że tu się o wszystko zatroszczyła, że może swobodnie jechać? Zawsze znalazło się coś jeszcze do zrobienia: koszula ojca z dziurą na łokciu czy spodnie przetarte na kolanie, które trzeba było naprawić; rachunek, by pomóc mu zakończyć pracę wykonaną w mieście; wieczór, żeby posiedzieć z nim w pokoju po kolacji, by uczynić zbliżającą się noc bardziej znośną, by upewnić się, że nie jest zbyt samotny i przerażony jako stary mężczyzna opuszczony przez kobietę, którą poślubił przed wielu laty.

Ani Martin, ani Klara nie zadali tego pytania wprost. Ich dom mieścił się w Kensington, w pobliżu ogrodów, które kiedyś Piotruś Pan odwiedził w starej książce, w małym mieszkaniu na pierwszym piętrze, przy 17 Dobson Mews. Obydwoje czuli się tam dobrze, podobał im się pomysł, że tam właśnie zostaną, że tam osiedlą. Teraz jednak mieszkanie stało zamknięte i puste; pościel na łóżku w kształcie sań była zimna. Żadne z nich nie wiedziało, kiedy znów będą mogli tam zamieszkać.

Martin powiedział ojcu Klary dobranoc i udał się do Lookout.

Rano, po wyjściu Lucasa, wrócił do domu i załomotał w drzwi, pytając Klarę, czy może wejść. Rozmowa poprzedniego wieczoru poruszyła go i pragnął od razu omówić z nią sprawy.

Klara prasowała jedną po drugiej koszule ojca, stojąc w pokoju dziennym przy desce do prasowania, a powietrze nasycił zapach miękkiego, czystego ubrania wraz z sykiem pary, kiedy metalowa stopa żelazka przyciskała materiał.

- Boję się tego, co się dzieje - powiedział do niej.

- Co masz na myśli? - zapytała, ale oczywiście, wiedziała. Jej ręka nadal przesuwiała się tam i z powrotem, niestrudzenie prasując koszule ojca.

- To, co się dzieje z tobą i mną - ciągnął. - Czuję się głupio, choćby o tym wspominając, ale nie mogę przestać

się martwić. Nasze życie w Europie - wszystko, co robiliśmy, miejsca, gdzie jeździliśmy, potrawy, jakich próbowaliśmy, podróże pociągiem i to, jak się czuliśmy, będąc razem - to wszystko zaczyna przypominać zmyśloną historię. Jakie jest na to wyrażenie, kiedy dwoje ludzi ma takie same szalone myśli? Szaleństwo we dwoje? Ale my przecież tego nie wymyśliliśmy i to wcale nie jest szalone - przerwał, bacznie ją obserwując. - To, co mówię, oznacza chyba, że chcę wiedzieć, czy będziemy razem. Chcę to wiedzieć na pewno.

Klara ostrożnie odstawiała żelazko i podniosła wzrok. Stali przed sobą twarzą w twarz po dwóch stronach wąskiej, chybotałej deski do prasowania.

- Ojciec mnie teraz potrzebuje - powtórzyła Klara. - Widziałeś go, Martin; przypomina rozbitka. Umarłby beze mnie.

- W takim razie zostanę tu z tobą - odparł Martin.

- Tutaj? O czym ty mówisz?

- Wezmę dłuższy urlop w restauracji. Powiem Dunca-nowi, że powinienem przez jakiś czas zostać w Stanach - wyjaśnił Martin.

- Ale nadal nie będziemy mogli mieszkać tu razem; nie jesteśmy małżeństwem, jak zapewne pamiętasz.

Martin przerwał. Mógł w odpowiedzi zareagować: W takim razie w tej chwili pojedziemy do Nowego Jorku i natychmiast weźmiemy ślub, więc zakładaj płaszcz - lecz nie zrobił tego. To był czas smutku i powagi, a nie wesela i uroczystości. Nie osiedlili się, jak powinni. To nie była chwila odpowiednia na ślub i oboje o tym wiedzieli.

- W takim razie ja zostanę w mieście i zrobimy, co się da - podsumował. - Damy sobie radę.

- Ale gdzie będziesz pracował? - zapytała Klara. Sama zamierzała zaangażować się w firmie ojca, wykonując ja-

kies lżejsze prace, odbierając telefony i wysyłając rachunki, te kilka zadań, które ojciec zawsze wykonywał bez wysiłku, a które zdawały się go znacznie przerastać.

- No, cóż - powiedział Martin, zastanawiając się szybko - obejdę różne restauracje w okolicy i będę błagać o pracę. Powiem, że jestem zdesperowany.

- Ale nie jesteś. Uśmiechnął się.

- Wiem - dodał. - Podoba mi się tylko brzmienie tego słowa. - Przerwał. - Ktoś mnie zatrudni, Klaro - mówił. - Jestem przecież czysty, uczciwy, mam trzy lata edukacji w Princeton. Potrafię recytować ody z lekcji poezji.

- O tak, zwłaszcza ody - skomentowała. - To będzie bardzo pomocne.

Jednak już nie słuchała. Obeszła deskę do prasowania i przyciągnęła go do siebie, zamykając w objęciach swych delikatnych ramion.

8

W następnym tygodniu Martin wypożyczył ciężarówkę z firmy w Swiftów i odwiedził kolejno cztery dobre restauracje w okolicy, rozmawiając z ich kierownikami: Glissando - punkt północno-włoski w Bright Valley, około trzydziestu kilometrów od Longwood Falls; Publick House - około czterdziestu ośmiu kilometrów na północ od miasta; Columbine - małą, zbyt drogą restaurację o nieokreślonej kuchni, sześćdziesiąt siedem kilometrów drogą numer dziewięć; a nawet w desperacji zwrócił się do szefa przeszklonej restauracji wychodzącej na ósmy dołek pola golfowego w klubie Longwood Falls, gdzie kiedyś wraz z rodzicami jadali kleisty placek z kurczakiem na niedzielny obiad. Okazało się jednak, że nikt go nie chce zatrudnić. Wszyscy bowiem jak się zdawało, odbyli wcześniej rozmowę telefoniczną z Ashem Rayfiem, który z miejscowych plotek dowiedział się, że jego syn wrócił

do miasta i szuka pracy jako szef kuchni. Ash postanowił utrudnić synowi życie, przekupując kierowników restauracji albo grożąc im. Jego zdaniem nie wolno było człowiekowi tak po prostu wypaść z Princeton, wynieść w kieszeni herb rodzinny i sprzedać go (nawet jeśli prawnie do niego należał), potem uciec do Europy, by żyć bez ślubu z kobietą z niższej klasy społecznej, i spodziewać się, że uzyska się wybaczenie po powrocie do domu.

Faktycznie, nic nie zostało wybaczone. Choć po powrocie Martin nie pokazał się ojcu na oczy, cicha wojna między nimi trwała. W końcu zrozumiał, że z powodu ojca nie znajdzie nigdzie w okolicy Longwood Falls dobrej pracy kucharza, Martin w rozpaczy udał się do małej jadłodajni Longwood, ze strzelającym neonem, kabinami z zużytej, czerwonej imitacji skóry poklejonej taśmą izolacyjną i kartami dań w okładkach z poplamionego plastiku. Klientami byli tu ludzie miejscowi, kierowcy ciężarówek i młodzież na przejażdżkach, wpadający na piwo słodowe. Na ogół jedzenie było słabej jakości; w wąskiej, zaparowanej kuchni obojętny kucharz wrzucał zamrożone hamburgery na beznadziejnie zarośnięty ruszt. Martin wszedł do środka i poprosił o rozmowę z kierownikiem, przedstawiając jednym ciągiem swoje doświadczenie gastronomiczne i chęć natychmiastowego podjęcia pracy. Jakimś cudem kierownik, ciężki mężczyzna o tłustych włosach, który pracował przy kasie, słuchając jednocześnie relacji radiowej z wyścigów konnych, zatrudnił go od razu. Ash Rayfiel nie pomyślał, by uprzedzić kierownika tej jadłodajni, że może tam zająć jego syn i że nie wolno go zatrudniać. Widocznie nawet nie przyszło mu do głowy, że Martin mógłby zejść tak nisko w poszukiwaniu pracy. Podali sobie z kierownikiem ręce na znak umowy, a potem Martin zawiązał fartuch, nasiąknięty Bóg wie czym.

Powietrze w kuchni wypełniał zapach mięsa i smażonych ziemniaków, gdy syn Asha Rayfiela z wdzięcznością zabierał się do pracy.

Odtąd dzień po dniu stał w swym brudnym fartuchu przy ruszcie w prymitywnej kuchni, podczas gdy kelnerki wykrzykiwały litanię zamówień. Po pracy odjeżdżał do motelu zniszczonym samochodem, który kupił za niewielkie pieniądze, szybko brał prysznic, by zmyć z siebie zapachy, a potem spotykał się z Klarą. Chodzili razem na długie spacery albo siadali w kasztanowatych fotelach kina w Longwood i całowali się, albo po prostu jechali do jego motelu i razem leżeli. Martin był teraz ustawicznie przemęczony; nie chodziło tylko o to, że pracował ciężiej niż kiedykolwiek, ale też o to, że praca nie przynosiła mu radości. To prawda, że personel przygotowywał cudowne desery słodowe - najlepsze, jakich Martin próbował, bogate i puszyste, posypane wanilią - lecz podejście do gotowania było sztywne i bez odrobiny polotu. Jednego dnia, gdy Martin próbował poprawić smak pieczeni rzymskiej, dodając marmolady pomarańczowej i musztardy Dijon do zmielonego mięsa, jedna z kelnerek, skwaszona kobieta o blond włosach tak suchych i sztywnych jak u lalki, widząc to, zaczęła wybrzydzać.

- Nasi klienci lubią mięso niewyszukane i proste - zakończyła - więc drugi raz tego nie próbuj.

Nie był tu doceniany i nie doskonalił swoich umiejętności kucharskich. Rozwój jego zdolności został powstrzymany, wiedział o tym, i to samo działo się z talentem Klary. Zamiast rzeźbić i uczyć się, prowadziła Firmę Remontowo-Porządkową Swiftów, a potem wracała do domu, by dotrzymać towarzystwa swemu samotnemu ojcu i posprzątać mały, smutny domek.

Podczas wieczornego spotkania Martin i Klara czuli się jednakowo zmęczeni

i wyczerpani, i od czasu do czasu warczeli na siebie. Raz ona gorzko skrytykowała koszulę, którą miał na sobie, mówiąc, że wzór jest groteskowo brzydki i samo patrzenie nań przyprawia ją o zawrót głowy; innym razem on jej oświadczył, że zanudza go śmiertelnie, opowiadając ze wszystkimi szczegółami, co się wydarzyło w firmie. Obydwoje natychmiast serdecznie przepraszała za te niemiłe chwile. Owładnęło nimi jakieś niezadowolenie i odległe poczucie, że to, co się dzieje z ich związkiem, nie powinno mieć miejsca. Powinni być razem, już po ślubie, w mieście położonym daleko od Longwood Falls, myśląc o długim wspólnym życiu: miłości, dzieciach, starzeniu się, niespiesznych rozmowach przed udaniem się na spoczynek. Mąka i przyprawy, czerwona glina i woda - to miały być podstawowe składniki ich życia. Co się stało? - zastanawiali się obydwójce w smutku i oszołomieniu, którego nie potrafili wyrazić. - To bardzo dziwny czas - szepnął Martin pewnego wieczoru, kiedy leżeli na motelowym łóżku pod niebieską narzutą. Właśnie się kochali, lecz Klara wydawała się odległa i roztargniona, a jej oczy zamglone jak dym.

- Tak - potwierdziła - rzeczywiście.

- Pragnę - mówił - żebyś po prostu mogła wrócić ze mną do Londynu. Czy twoja siostra nie mogłaby więcej pomagać? To znaczy, czy nie sądzisz, że zrobiłaś już dość? Nie musisz być świętą Klarą.

Gdy tylko wypowiedział te słowa, od razu ich pożałował. Popatrzyła na niego zimno, jeszcze bardziej odległa niż przedtem.

- Nie jestem świętą Klarą - odparła. - To tylko ty nie masz żadnego pojęcia o tym, co to znaczy mieć zobowiązania wobec rodziny - ciągnęła. - Kochać ją i chcieć pomóc. Nie masz pojęcia, jak to jest. A odpowiadając na two-

je pytanie, nie, nie zrobiłam dość. Nigdy nie jest dość. Nie rozumiesz tego? - nastąpiła przerwa. On nie wiedział, co powiedzieć. - Nie - podjęła Klara - chyba nie rozumiesz. Pod tym względem zawsze mieli się różnić. Ona okazywała ogromne poczucie odpowiedzialności wobec rodziny, a on wobec swojej - bardzo niewielkie, albo jeśli je miał, to dawno zostało przesłonięte przez gniew. Dopiero kiedy będą mieć własne dzieci, pomyślał, własną rodzinę, dopiero wtedy znajdą wspólny grunt.

Właściwie Martin podziwiał jej niezachwianą wierność, cechę, która zabarwiała też jego związek z nią. Była jego; wiedział o tym. Należała do ładnych dziewczyn; mężczyźni na ulicach Włoch patrzyli na nią bezwstydnie, jakby ją oceniając: Hm, bardzo ładna. Smukłe, długie nogi, piersi tylko odrobinę za małe, ale twarz piękna, a te oczy... Nie przejmowali się, że zawsze szła pod rękę z Martinem; gapili się na nią z otwartym i żebrzącym wyrazem twarzy, patrząc poza niego. Ale ona nigdy nie zwracała na nich uwagi, nawet na tych przystojnych, wąskich w biodrach, przesiadujących na placach przez cały dzień, jakby nie mieli nic lepszego do robienia, gdy lody topniały w ich pucharkach. Należała do niego, ale nie mógł jej mieć całej, ani ona nie mogła mieć jego. Teraz przeprosił ją w łóżku motelu Lookout, mówiąc, że był nieczuły.

- Oczywiście, wiem, że nie możesz jeszcze wrócić ze mną do Londynu - powiedział. - Czuję się zawiedziony, to wszystko. Proszę, zapomnij o tym.

Potem obiecał jej, że będzie bardziej cierpliwy i że wszystko wreszcie powróci do stanu, w jakim powinno być. Na koniec leżeli w ciszy w pokoju numer osiemnaście, a on przypomniał sobie pierwszy raz, kiedy tu przyjechali, i jak po akcie miłosnym zrobił dla niej omlet. Zjedli

go wtedy z apetytem. Przyszło mu do głowy, że teraz żadne z nich nie miałyby apetytu.

W miarę upływu tygodni w chwilach jasności umysłu Lucas Swift nie mógł nie zauważyć, jak nieszczęśliwi stali się jego córka i Martin. Jadłodajnia Longwood Diner nie była miejscem dla kogoś takiego jak Martin. Gdyby tylko mógł znaleźć pracę w lepszej restauracji albo może sam otworzyć własną... Ale Martin nie miał pieniędzy, o czym Klara wspomniała ojcu, choć sam Martin nigdy nie poruszył tego tematu. Wyglądało tak, że chłopak pasywnie to zaakceptował i nie zamierzał walczyć.

Pewnego sobotniego popołudnia w kwietniu, gdy Klara przebywała na pobliskiej farmie, doglądając naprawy stodoły przez firmę Swift, a Martin w restauracji zanurzał kawałki kurczaka w gorącym oleju, Lucas Swift wsiadł do swojej ciężarówki i pojechał ulicą, kierując się wprost ku miejscu, którego zawsze unikał jak ognia, dzielnicy wielkich domów, szerokich trawników i ciasnych, ograniczonych umysłów - na Crest.

Pokojówka, która otworzyła drzwi frontowe domu Ray-fielów, spojrzała na Lucasa Swifta i powiedziała:

- Wejście dla służby jest z tyłu. - Zamierzała zamknąć drzwi, lecz Lucas wsunął stopę, by ją powstrzymać.

- Nie wykonuję tu pracy - odezwał się. - Przyszedłem zobaczyć się z panem Rayfiel. Powiedz mu, że przyszedł Lucas Swift. - Przerwał na chwilę. - Ojciec Klary -dodał jednoznacznie.

Pokojówka zdawała się powątpiewać, nie wierzyć, by Ash Rayfiel mógł mieć cokolwiek wspólnego z tym kościstym robotnikiem, który miał czelność stać w drzwiach wejściowych, jakby tu było jego miejsce, ale Lucas nie

ustępował, więc bez słowa wycofała się wzdłuż marmurowego hallu.

Kilka chwil później obaj mężczyźni siedzieli spięci w gabinecie Asha Rayfiela. Przed wielu laty, na długo zanim Klara poznała Martina, Lucasa zatrudniono do budowy muru ogrodowego u Rayfielów, a kiedy przyszła pora zapłaty, ich księgowy upierał się, że praca nie została wykonana należycie i zapłata wyniesie połowę umówionej wcześniej kwoty. Lucas był zaskoczony i wściekły, bo mur był doskonały, cegły symetrycznie ułożone i gładko połączone zaprawą wzdłuż granicy rozległego ogrodu. Nigdy nie miał pewności, czy sam ojciec Martina krył się za tym incydentem, lecz był przekonany, że tak. Wszyscy pracownicy w mieście zgodnie przeklinali Asha Rayfiela. Po latach, gdy Klara ogłosiła, że zakochała się w synu Asha, Lucas poczuł nieracjonalny gniew i płonące wspomnienie rachunku za ogrodzenie, który tylko w połowie został zapłacony. Teraz jednak siedział naprzeciw ojca Martina przy biurku i nie myślał wcale o murze ani o tamtym rachunku. Myślał wyłącznie o Klarze.

- Co mogę podać do picia? - zapytał go Ash. Lucas potrząsnął głową.

- Nic, dziękuję - powiedział sztywno. Ash wzruszył ramionami i sięgnął po karafkę w kształcie gruszki, nalewając sobie whisky bez wody ani lodu i pociągając duży łyk.

- Martin twierdzi, że ukradł pan jego pieniądze - z trudem zaczął Lucas.

Ash spojrzał znad szklanki, a jego brwi się wygięły.

- Och, tak twierdzi? - powtórzył. - No cóż, to były moje pieniądze, gdy je dawałem, i moje, kiedy je odbierałem.

- Przeżywa teraz z tego powodu trudny okres - ciągnął Lucas. - Normalnie nie przejmowałbym się tym. Nor-

malnie powiedziałbym, dobrze, zasługuje na to. Żył z moją córką w Europie - bez ślubu - przez pół roku. Ale uważam, że on jest uczciwy, panie Rayfiel. Obydwoje są. Są młodzi; chcą tylko odrobiny szczęścia.

- Czyż nie tego chcemy wszyscy? - rzekł Ash.

- Nikt nie chciał go zatrudnić w okolicznych restauracjach - mówił dalej Lucas. - On czuje, że w jakiś sposób pan się za tym kryje. - Ash nie skomentował, więc Lucas ciągnął. - Gdyby mógł znaleźć pracę, która rzuciłaby mu jakieś wyzwanie, albo gdyby odzyskał pieniądze, żeby móc sfinansować własną restaurację...

- Mam z Martinem umowę bez słów - przerwał Lucasowi Ash. - Zapewniłem, że określone pieniądze będą na niego czekały, kiedy skończy dwadzieścia jeden lat, nie dlatego że jest moim synem, ale dlatego że miał prowadzić moją firmę.

Kapelusznictwo. Nie przeznaczyłem tych pieniędzy dla niego na dobry początek w życiu, lecz żeby włączył się do pracy z odpowiednią motywacją. - Przerwał. - Jednak Martin postanowił nie zajmować się kapeluszami. Uważa, że to śmieszne poświęcić życie kapeluszom. Chyba uważa mnie za śmiesznego, mściwego człowieka. - Ash Rayfiel zrobił ciężki wdech. - Nie, nie ukradłem jego pieniędzy. Po prostu je wycofałem.

- A gdyby pieniądze przesądzały o niedoli albo szczęściu? - zapytał Lucas.

Ash Rayfiel bawił się szklanką. Przesunął ją w prawo, potem w lewo. W końcu postawił ją dokładnie na poprzednim miejscu, na krawężku wilgoci, i odezwał się:

- Niech pan zrozumie, to on okradł mnie. Lucas Swift nie odpowiedział.

- Zabrał herb rodzinny - mówił Ash. - Przedmiot, który był w naszej rodzinie od stu lat. Na szczęście właśnie

w tym miesiącu otrzymałem relację od czujnego jubilera w Amsterdamie, mającego pewne doświadczenie z przedmiotami, które wywędrowały od swych prawowitych właścicieli. Zaczął dochodzić, kto może być właścicielem tego konkretnego przedmiotu i doszliśmy do obustronnie dających się przyjąć warunków. Pieniądze i dla mnie nic nie znaczą. Ale nieuczciwość tak.

- On mówi, że to należało do niego - wtrącił Lucas.

- Ach tak, wspaniałomyślna chwila, kiedy jego dziadek dal mu ten herb w dniu narodzin - powiedział Ash - ale to także z założeniem, iż on go zachowa. Że będzie go eksponował. I że w ogóle będzie postępował jak dumny członek rodziny Rayfielów. - Ash skończył swego drinka i uśmiechnął się mdło. - Nie podoba mi się to, wie pan - dodał. - Chciałbym, żeby mój syn był inny. Brakuje mi tego cudownego małego chłopczyka w szarych flanelowych spodenkach i czapeczce, który chodził za mną po fabryce i pytał o „onda” - podniósł wzrok na Lucasa. - Ronda. - Uśmiechnął się do samego siebie, a potem ten uśmiech zamienił się w coś twardego i niewzruszonego. - Chciałbym, żeby mój syn był inny - powiedział raz jeszcze. - Chciałbym, żeby moja żona nie piła przed lunchem. Chciałbym, żeby kapelusznictwo było bardziej interesujące. Ale gra się tymi kartami, które zostały rozdane, a jeśli się komuś nie podobają reguły, to odchodzi z gry i nie patrzy wstecz. Martin nie zrobił tego i ja nic nie mogę na to poradzić, ani na to, kim on jest, czy kim jestem ja - ani też, jeśli o to chodzi, jak ciekawe czy jak nudne są kapelusze.

Szklanka whisky Asha Rayfiela była swego rodzaju klepsydrą odmierzającą czas. Kiedy wypił drinka, spotkanie się zakończyło. Ash wstał. To samo zrobił Lucas. Mężczyźni nie podali sobie rąk. Ash zwyczajnie otworzył drzwi, a Lu-

cas wyszedł, kiedy zaś szedł długim korytarzem, zrobiło mu się żal Martina, który dorastał tutaj pośród takiego przepychu i takiej obojętności.

Kiedy tego wieczoru Klara składała ubranie w sypialni domu ojca i szykowała się do snu, wszedł Lucas Swift i stanął w drzwiach. - Klaro - odezwał się - muszę z tobą porozmawiać.

- Oczywiście - odparła. - Czy coś się stało?

- Ty i Martin - powiedział. - Chcę, żebyście wrócili do Londynu. Jak tylko uda wam się to załatwić.

Klara była poruszona; wpatrywała się w niego.

- Co masz na myśli? - zapytała. - Dlaczego chcesz, żebyśmy wyjechali?

- Tutaj nic wam się nie uda - odpowiedział.

- Skąd to wiesz?

- Mówiłem z jego ojcem - zaczął. Klara aż otworzyła usta ze zdziwienia.

- Mówiłeś z nim? - krzyknęła. - Martin się wścieknie.

- Chciałem się przekonać, czy ten facet kiedykolwiek ustąpi - powiedział Lucas. - Ale nie zrobi tego. Jest wściekły na syna i to będzie w nim buzować bez końca, Klaro. Więc chcę, żebyście wyjechali.

- Ale co będzie z tobą?

- Och, wszystko będzie w porządku - powiedział ojciec.

- Martwię się o ciebie - tłumaczyła. - Jak sobie poradzisz?

- Nie ma się o co martwić - odrzekł, choć jego głos był bezbarwny.

Tej nocy, we śnie, Lucasowi zdawało się, że słyszy, jak woła go żona, Maureen. Przez krótką chwilę zapomnienia myślał, że ona żyje i śpi w pokoju Klary. W ciemności wy-

skoczył z łóżka i w korytarzu, gdzie potknął się o stolik, upadł na podłogę jak kłoda i poważnie zwichnął nogę w kostce. Klara, słysząc łomot, pospieszyła mu na pomoc.

- Och, tato - jęknęła, biorąc lampę i kucając obok niego. W świetle dochodzącym z jej pokoju widziała, jaki był kruchy, z wąskimi ramionami w cienkiej niebieskiej bluzie od piżamy i z pochylonymi plecami. Kostka już zaczynała puchnąć. Jego zdrowie szwankowało, co znacznie się przyspieszy, jeśli ona wyjedzie. Ojciec wiedział o tym, obydwójce wiedzieli. Pomogła mu wstać, a kiedy przeniósł na nią ciężar ciała, ból spowodował, że głęboko wciągnął powietrze, zaskoczony. Przed pójściem do łóżka powiedział jej, że powinna wyjechać i żyć własnym życiem z Martinem, bo to był ich czas. Powinna natychmiast wyjechać i rozkwitać, ale miała pełną świadomość, że gdy opuści ojca, on szybko zatonie. To, co się właśnie zdarzyło, było tylko drobnym przykładem tego, co go czekało.

Czy zaopiekujesz się nim? - zapytała jej matka, a ona skinęła głową. To było słuszne. Nie opuści swego ojca, nie w taki sposób. Nie mogła też opuścić Martina, lecz w pewien sposób będzie musiała, przynajmniej na jakiś czas. Mówiąc dokładniej, to on będzie musiał ją zostawić. Będzie musiał wrócić na 17 Dobson Mews, gdzie zaczął wyrabiać sobie markę. Wiedziała, że wiele osiągnie w takiej gastronomii, jaką zawsze kochał, w kuchni wyposażonej w garnki i łyżki wazowe w setkach rozmiarów i wielkie blaty, gdzie będzie mógł rozłożyć się z pracą i różnymi małymi, dziwnymi narzędziami - takimi jak „mandolina”, którą jej kiedyś pokazał, nie kryjąc swego zachwyty nad narzędziem mogącym w jednej chwili pokroić ziemniak na kilkanaście doskonałych, przejrzystych krążków. W restauracji w Londynie czuł się jak u siebie, mieszkając w małym mieszkanku i prze-

szukując warzywniki oraz sklepy z egzotycznymi przyprawami i targując się o ceny ze sprzedawcami ryb. Będzie na poważnie wykonywać swoją pracę i odniesie sukces w Londynie; nie miała co do tego żadnych wątpliwości.

Klara na razie zostanie tu i będzie z ojcem, jak tego chciała matka. Ona i Martin połączą się ponownie, gdy tylko będą mogli, choć żadne z nich nie miało pojęcia, kiedy to nastąpi. Gdy pomagała ojcu wrócić do łóżka i przyniosła mu trochę lodu na spuchniętą kostkę, zerknął na nią. Potem lekko westchnął, bo z wyrazu jej twarzy poznał, że podjęła decyzję i że nigdzie nie wyjedzie.

Przez całą wiosnę Klara z Martinem debatowali nad tym, czy Martin powinien wracać do Londynu bez niej. Początkowo absolutnie odmawiał wyjazdu, twierdząc, że jego miejsce jest tutaj z nią, po pewnym czasie jednak zaczął ustępować, widząc, że życie, jakie tu prowadzą, żadnemu z nich tak naprawdę nie przynosi pożytku. Z ogromną niechęcią kupił bilet w jedną stronę na lot z Nowego Jorku do Londynu wczesnym rankiem 28 maja. Wieczór przed jego podróżą przypadał w czwartą rocznicę ich pierwszego spotkania w altance i dla obojga ważne było, by spędzić go wspólnie, jak robili to co roku tego dnia. O zmierzchu zatem usiedli pod białym daszkiem, pełni lęku na myśl o jego wyjeździe następnego ranka. Zaczynał padać drobny deszcz, a miejski skwer przypominał rysunek wykonany pastelami, który się rozmazał. Nieliczni ludzie spieszyli w różnych kierunkach, usiłując rozłożyć parasole.

- Kupiłam coś dla ciebie - odezwała się Klara do Martina. -
Podarunek na wyjazd. - I podała mu duże, białe pudło.

- Nie musiałaś mi niczego dawać - zareagował Martin, ale był wyraźnie zadowolony, a kiedy otworzył pakunek, zobaczył w środku teczkę w kolorze karmelu, z jego inicjałami dyskretnie wybitymi w złotym kolorze z boku. - Klaro - powiedział zaskoczony - jak ją zdobyłaś? Widziałem dokładnie taką samą, kiedy byliśmy we Florencji, pamiętasz? Spędziliśmy długie godziny w Uffizi, ty nie chciałaś wyjść, a w drodze do hotelu ...

- Pamiętam - rzekła. - Napisałam do sklepu - Cuoio di Lipari, pamiętam, że tak się nazywał - i poprosiłam, żeby mi przysłali taką aktówkę.

- Ale w jaki sposób stać cię było na to?

- Oszczędzałam - wyznała cicho. - Chciałam, żebyś miał coś ładnego, w czym mógłbyś nosić swoje przepisy i dokumenty, i wszystko.

- Dzięki temu będę wyglądać jak przedsiębiorca - powiedział, podnosząc piękną teczkę za grubą rączkę. - Jak syn, którego zawsze pragnął mój ojciec - dodał trochę ironicznie, a potem odstawił aktówkę. - Jest fantastyczna - powiedział. - Będę ją nosił przez bardzo długi czas. Aż się zestarzeję.

Uśmiechnęła się, lekko zmieszana, lecz zadowolona.

- Nie mogę sobie wyobrazić ciebie starego - zauważyła.

- Kiedyś to zrobisz - odparł.

Deszcz się wzmógł, nagle nadciągnęły chmury, a niebo zrobiło się nienaturalnie ciemne. Gdzieś ze wzgórz dał się słyszeć grzmot, sygnał ostrzegawczy. Klara przysunęła się bliżej do Martina na drewnianym siedzeniu altanki.

- Obiecuj mi - poprosiła nagle - że co roku, dwudziestego siódmego maja o zmierzchu przyjedziesz do altanki spotkać się tu ze mną. Bez względu na wszystko - Nic nie odpowiedział. - Przyrzeknij mi - powtórzyła, tym razem bardziej nagląco.

- Przyrzekam - powiedział. - A ty obiecaj, że tu będziesz.
- Obiecuję - odrzekła.

Podniósł jej włosy z karku i wyszeptał do ucha coś, czego nie dosłyszała. Powoli zaczął odpinać jej bluzkę, przesuwając kolejno przez dziurki maleńkie guziczki, nie większe niż krople deszczu. Nikt nie patrzył; ulewa przegoniła wszystkich i byli teraz sami.

- Jesteś taka piękna - wyznał, pochylając się do przodu i chowając twarz w cieniu pomiędzy jej piersiami.

A potem obydwójce znaleźli się na chłodnej podłodze altanki.

Przyciągnęła go do siebie, myśląc: Jak on może wyjeżdżać? Jak to się mogło nam przydarzyć?

Błyskawice nieustannie przecinały niebo, oświetlając fragmenty ich ciał: usta, rękę, pierś, ramię. Żadne z nich nie mogło mówić.

Oboje cicho płakali, a ich twarze były mokre w białym świetle błyskawicy rozdzierającej niebo nad altanką.

9

Dotrzymali obietnicy. Każdego roku dwudziestego siódmego maja spotykali się w altance o zmierzchu. Rok po przeprowadzce do Londynu przybył do altanki przed nią i siedział nieruchomo, aż pojawiła się, biegnąc ukośną alejką, w żółtej sukience, nakrapianej kwiecistym wzorem, z zarumienioną twarzą. Drugiego roku, kiedy się spotkali, w altance siedzieli dwaj chłopcy, machając nogami, i pieczołowicie badając talie kart baseballowych, pozwalając sobie nadal tam siedzieć, choć było to miejsce Klary i Martina. A trzy lata po złożeniu obietnicy dwudziestego siódmego maja Klara była tą, która czekała. Samolot Martina się spóźnił i kiedy, zmęczony podróżą, dotarł do Longwood Falls, niebo stawało się kamiennoszare. W pewnym sensie zmęczył go ten cały okrągły rok spędzony bez niej. Często do siebie pisali i rozmawiali przez telefon, kiedy tylko mogli, lecz różnice czasu utrudniały

zaplanowanie rozmów telefonicznych, a godzin pracy Martina nie dawało się przewidzieć. Wielokrotnie w restauracji coś się wydarzało - jakiś mały triumf czy porażka - i on pragnął tylko, by była przy nim i by mógł z nią porozmawiać wieczorem w łóżku. To wydawało się takim prostym życzeniem: być z kobietą, którą kochał, obydwój spokojni i senni, szykujący się do nocy. Rozmawiać i rozmawiać, jak długo mieli ochotę. Budzić się rano i widzieć, że ona jest obok, na pół uśmiechnięta przez sen. Ale nie mógł mieć tego, czego pragnął, i ten brak niszczył go drobnymi, niemal niedostrzegalnymi kroczkami. Kiedy przyszedł do altanki, obydwój zatonęli w sobie z ulgą i minęły całe minuty, nim któreś z nich się odsunęło.

Gdy Martin zgodził się przenieść z powrotem do Londynu i zostawić Klarę na jakiś czas w Longwood Falls, nigdy nie planował wyjazdu na stałe. Zakładali, że któregoś dnia będą razem na dobre, ale mimo to jeden chaotyczny rok zamieniał się w drugi. Teraz każde z nich prowadziło oddzielne życie, choć nadal byli złączeni ze sobą w jakiś podstawowy, nieodwracalny sposób, pisząc do siebie, dzwoniąc i spotykając się w każdą rocznicę. Nie tylko Martina wyczerpywał ten brak obecności, jeżdżenie tam i z powrotem, poczucie niezadowolenia. Ostatnio także Klara wydawała się nieco smutna i trochę odległa, jakby dręczył ją jakiś ukryty smutek, o którym jeszcze nie umiała mówić. Nie ponaglał jej.

W miarę upływu lat zaczął sobie zdawać sprawę, że Klara nie jest już tą dziewczyną, którą poznał osiem lat wcześniej. Jej jasne włosy miały teraz cień ciemniejszego rdzawego koloru, a w oczach kryło się zmęczenie. Pracowała tak ciężko, pomagając ojcu i ledwo mając czas, by myśleć czy pójść na spacer, czy zrobić cokolwiek dla siebie.

- Czy masz jakieś szanse, żeby rzeźbić? - zapytał tego dnia w altance.

Kiwnęła głową i powiedziała:

- Czasem.

Stała się teraz wymijająca, zauważył, i to go niepokoiło. To była zupełnie nowa cecha u Klary, zawsze tak otwartej i ekspresyjnej. Lecz on sam także nabył nowych cech, i wiedział o tym; cech które wynikały z życia w innej, obcej kulturze i nasiąkania nią przez tak długi czas.

A teraz restauracja przy 17 Dobson Mews należała do niego. Duncan Lear przeniósł się do Exeter w południowo-zachodniej części Anglii, gdzie rozkwitała jego nowa duma, Duncan's Grill. Pod jego nieobecność, a może wobec braku poczucia kontrolowania go przez Duncana, Martin osiągnął ogromny sukces jako szef kuchni, a gazety londyńskie pisały o nim jako nowej sile zawiadującej cudowną restauracją w Kensington. W końcu zespół inwestorów poprosił Martina o przyłączenie się do nich i wykupienie restauracji. Finansowy wkład Martina mógł być tylko symboliczny, miał się jednak zobowiązać do pozostania w restauracji i prowadzenia kuchni.

- Może pan dowolnie zmienić nazwę punktu - zaproponował jeden z inwestorów. - Może być „U Martina” albo „U Rayfiela”. Martin potrząsnął głową; nie chciał swojego nazwiska ani imienia w szyldzie. Może nazwałby restaurację „U Klary”, a kiedy będzie mogła znowu tu z nim mieszkać, wszyscy poznają ją jako cudowną, smukłą Amerykankę, na której cześć została nazwana wspaniała restauracja. Ale Klara jest osobą skromną i byłaby zażenowana, mając restaurację o swoim imieniu. I nagle wpadła mu do głowy odpowiednia nazwa: *Altanka*.

Kiedy restaurację przejęli nowi właściciele, architekci zaprojektowali ośmiościenny dach nad główną salą jadalną. Pod kierunkiem Martina powiększono też i tak już duże okna z płyt szklanych, nadając restauracji złudzenie przewiewności, kojarzące się z jej nazwą. W ciągu kilku dni od otwarcia na temat nowo nazwanej restauracji wypowiedział się londyński „Times”, nazywając jedzenie w niej „błogą rozkoszą”. Czasem, gdy Martin wychodził z lśniącej, wyłożonej białymi kafelkami kuchni, starzy bywalcy machali do niego, a on podchodził i witał się z nimi. Kobiety próbowały kokietować Martina. Szczególnie jedna wyjątkowo często zachodziła tu na obiady: piękna acz poważna Angielka, Frances Banks, o brązowym, ciężkim warkoczu na plecach i w zmieniającej się kolekcji doskonale skrojonych lnianych strojów. Była wdową po znacznie starszym od niej wykładowcy uniwersyteckim w Cambridge, i wychowywała ich córkę Louise. Od czasu do czasu przyprowadzała ją do restauracji. Frances Banks miała pociągającą aparycję, będąc jednocześnie dobrze wychowaną i po trosze lekceważącą. Podchodząc do tego z dystansu, Martin zrozumiał, że podoba mu się ironiczny humor Frances i jej wygląd, i zauważył też sposób, w jaki się w niego wpatrywała.

Któregoś dnia powiedziała:

- Właśnie myślałam, jaką szczęściarą jest pańska żona, że ma przez cały czas tylko dla siebie takiego kucharza jak pan.
- Nie mam żony - odpowiedział mimochodem i natychmiast tego pożałował, bo zrozumiał, że celem tego pytania było poznanie jego stanu cywilnego. W sercu czuł się poślubiony Klarze, choć nie widział jej od ostatniego dwudziestego siódmego maja, kiedy spędzili ze sobą godzinę w altance. Poprosił Klarę, żeby pojechała z nim tego

dnia do motelu Lookout, gdzie się zatrzymał, ale wymówiła się, mówiąc, że musi wracać do domu. Sam zresztą wiedział, że niemal zbyt niebezpieczne było posuwać się w tym kierunku, leżeć razem w tym łóżku. Gdyby to zrobili, uznaliby rozstanie za nie do zniesienia. Jego odwiedziny zawsze trwały krótko; a i tak było to jakby zbyt wiele, zbyt bolesne przypomnienie o tym, czego nie mieli przez resztę roku. Mimo to Martin i tak czuł się wobec Klary zobowiązany na całe życie; ostatnio ich listy przez Atlantyk były nieco rzadsze, choć wciąż płomienne i czułe. Pragnął móc powiedzieć Frances: „Tak, żona przepada za moją kuchnią. Kiedy kochaliśmy się po raz pierwszy, zrobiłem jej omlet”.

Po tej rozmowie wrócił natychmiast do kuchni, a kiedy dwa dni później Frances przyszła znów do Altanki z córką, Martin nawet nie wystawił głowy z kuchni, żeby się przywitać. Gdy kelner przekazał mu, że pani Banks prosi o dotrzymanie jej towarzystwa, choćby tylko na chwilę, Martin odesłał go z przeprosinami, że jest tego dnia zbyt zajęty, by mógł opuścić swoje stanowisko.

Teraz Martin siedział z Klarą w altance, opierając się o nią ramieniem i delikatnie ją podtrzymując. Nadal należała do niego, jednak ostatnio jej ojciec nabawił się artre-tyzmu i miał trudności z poruszaniem się. Prawda była taka, że teraz potrzebował jej bardziej niż kiedykolwiek wcześniej i ton listów zaczął się wraz z tym zmieniać. Zamiast utrzymywać z całą pewnością, że wkrótce będą razem, Martin i Klara po prostu przestali poruszać ten temat. Wszystko, o czym z całą pewnością nadal wiedzieli, to to, że wciąż kochali siebie nawzajem tak samo głęboko jak zawsze, i że będą się spotykać każdego dwudziestego siódmego maja w altance, „niezależnie od okoliczności”, jak napisał Martin.

Wiedział, że wieczorami ojciec z córką siadywali na ganku z tyłu ich domu w Longwood Falls i rozmawiali przy zachodzie słońca. Lucas Swift często mówił Klarze, że powinna natychmiast pojechać do Londynu, gdzie było jej miejsce, ale kiedy odpowiadała, że tu jest potrzebna, nie oponował. Poza pełną opieką nad ojcem Klara przejęła też nadzór nad rodzinną firmą, która prosperowała bardzo dobrze dzięki jej dbałości. Dowiodła, że jest skrupulatną księgową i ma prawdziwy talent w załatwianiu spraw z klientami i pracownikami. Nie mogła jeszcze wyjechać; nie mógł także Martin. Oboje o tym wiedzieli i to niewypowiedziane rozczarowanie położyło się cieniem na ich tegorocznym spotkaniu w altance.

Tego dnia jednak szykowało się coś jeszcze. Klara nie tylko wyglądała na starszą czy bardziej zmęczoną; wyglądała też na zaleknioną. Okazało się, że miała po temu ważną przyczynę.

- Posłuchaj mnie - odezwała się do Martina i ujęła jego obie dłonie w swoje ręce. - Muszę ci coś powiedzieć.

Pierwszym odruchem była obawa, że zmarli jego rodzice. Poczuł jak na tę myśl sztywnieją mu plecy. Choć od lat nie rozmawiał z matką ani ojcem, przygotowywał się na tę wiadomość. Klara jednak powiedziała: - Poznałam kogoś.

Jej głos był nieszczęśliwy, pełen żalu.

Martin zawahał się przez chwilę i nic nie mówił.

- Co masz na myśli? - zapytał, choć obawiał się, że zna już odpowiedź.

- Nazywa się Daniel Clusker - odparła cicho.

Martin zupełnie nie wiedział, jak zareagować. Co znaczy, że ona poznała kogoś? Mieli umowę, pakt. Mieli któregoś dnia być razem.

- Jak mogłaś? - zapytał w końcu Martin i wstał niepewnie, a potem walnął pięścią o drewniany słupek altanki.

- Przestań! - powiedziała, podchodząc do niego i patrząc, jak potrzęsa ręką z bólu. - Proszę - ciągnęła, teraz gorączkowo. - Nie wiedziałam, co robić. Ja jestem tu, a ty jesteś tam i wyglądasz na tak nieszczęśliwego przez cały czas, Martin, tak kompletnie umęczonego tym, że jesteśmy w innych miejscach. Próbowałam znaleźć sposób, żeby się udało; cały czas tylko o tym myślałam. Ale lata mijają i przestaliśmy już o tym mówić - co się z nami stanie. Dokąd nas to wszystko zaprowadzi. Wiesz, że cię kocham. Wiesz, że jesteś całym moim życiem. Ale zjawił się Daniel i pomógł rozwiązać sytuację, i jest bardzo dobry dla ojca, i niezawodny. Wiem, jak bardzo jesteś samotny. Widzę to rok po roku. Bardziej niż samotny. Jesteś rozczarowany. To ci coś odbiera. Postanowiłam więc, że jako pierwsza zrobię ten krok - kończyła. Wzięła głęboki wdech i cichym głosem dodała: - Teraz możesz zrobić to samo.

Wpatrywał się w nią, czując, jak krew w nim pulsuje, a jego stłuczona ręka tętni własnym rytmem.

- Powiedz mi tylko jedno - odezwał się grubym i obcym samemu sobie głosem. - Ten Daniel Clusker ... - zimno wymówił nazwisko. - Czy ty naprawdę go kochasz?

Klara patrzyła w dół, na swoje kolana.

- Jest bardzo dobry - powiedziała prosto, a jej słowa przypomniały mu odpowiedź Nicole na pytanie o jej męża Thierry'ego. Jest dobrym ojcem, tak stwierdziła Nicole, jakby to mogło wystarczyć. Czy to wystarczało? Kto decydował, co było wystarczające dla jednej osoby, co było zadowalające, co składało się na uczciwe życie?

- Daniel potrafi wszystko naprawić - mówiła Klara. - Robi salta na rękach i zna nazwy wszystkich ptaków. Jest bardzo rozważny. - Potem podniosła wzrok, wzięła kolejny wdech i dodała: - Poprosił mnie, żebym wyszła za niego za męża.

Martin wpatrywał się w nią.

- A ty?

- A ja odpowiedziałam, że dobrze - odrzekła cicho. - Nie umiałam wymyślić nic innego.

Martin poczuł kwaśność w gardle.

- Klaro, jedź dzisiaj ze mną do Londynu - poprosił.

- Wiesz, że nie mogę. Mój ojciec. Firma ...

- W takim razie ja przeprowadzę się tutaj. Rzucę tę całą głupią restaurację.

- Ona nie jest głupia. Jest tym, czego zawsze pragnąłeś.

- Tak - odrzekł. - To prawda. - Pomyślał o łagodnie oświetlonej sali restauracji, o uczuciu, jakiego doświadczał, stojąc i obserwując z kuchni, jak pierwszym wieczornym klientom wskazywano ich stoliki. Czuł wtedy zadowolenie, spełnienie, spokój. Potem jednak pomyślał, że nigdy już nie będzie się kochać z Klarą, nigdy się z nią nie ożeni i nie będzie miał z nią dzieci. Może nadal będą się na krótko spotykać raz w roku, tak jak sobie przyrzekli, ale to wszystko.

- Czy naprawdę zamierzasz to zrobić? - zapytał. Odwróciła wzrok i przytaknęła.

- Więc to koniec? Skinęła głową raz jeszcze.

- Muszę już iść, Klaro - powiedział Martin. Podniósł teczkę, którą mu kiedyś dała, i zszedł po białych schodkach chwiejnym krokiem, jak ktoś, kto wypił za dużo szampana, albo otrzymał nagłą, bardzo złą wiadomość.

Daniel Clusker był stolarzem, którego Klara zatrudniła do pracy w firmie Swiftów, człowiekiem mieszkającym w sąsiednim miasteczku. Był wysoki i rudowłosy, i od razu go polubiła, gdy tylko wszedł do biura firmy. Był uroczy

w spokojny, bezpośredni sposób i rozmawiali trochę dłużej, niż można by oczekiwać.

Później, gdy Klara przechodziła przez skwer miejski, zobaczyła kilku pracowników siedzących przy lunchu. Wśród nich znajdował się Daniel Clusker, zabawiał resztę mężczyzn, wykonując imponującą serię salt na trawie. Kiedy spostrzegł Klarę, szybko się podniósł, trochę zmieszany, i lekko pomachał do niej. Daniel był przemiły, lecz głęboko, zaskakująco nieśmiały. Klara zdumiała się więc, kiedy następnego dnia podszedł do niej i zapytał czy jest wolna tego wieczoru.

- Wolna? - zapytała, nie pojmując.

- No wiesz. Czy masz wolny czas? - wyjaśnił. - Myślałem, że moglibyśmy gdzieś wyjść. Obiecuję, że nie będę mówić o stolarstwie.

Z jakiegoś powodu, którego sama nie rozumiała, zgodziła się, a on dotrzymał słowa, w ogóle nie dotykając spraw stolarki.

Jeździli po wzgórzach jego półciężarówką; Daniel pokazywał różne drzewa i szlaki, którymi wędrował z braćmi. Był amatorem przyrodnikiem, szczególnie kochał ptaki. Miał cztery lornetki różnej mocy.

Wspólnie zjedli kolację u niego w domu - nic wyszukanego, po prostu zupę i sałatkę - a on puścił kilka starych płyt Louisa Armstronga, które mu się podobały. Czasem w ciągu dnia przychodził przywitać się, w koszuli roboczej i z pasem na narzędzia. Klara nie umiała ocenić czy faktycznie ją podrywa, czy nie. Tak długo nie zwracała uwagi na innych mężczyzn poza Martinem. Dlaczego, do licha, zwracała uwagę na tego?

Początkowo mówiła sobie, że jej reakcja to tylko uprzejmość.

Daniel Clusker był taki miły i samotny. Ale potem przyszło jej do głowy, że może Martin, choć nigdy by się do tego nie przyznał, po cichu chciałby, żeby ona ko-

gość poznała i że ona teraz po prostu odpowiada na jego niewypowiedziane życzenie. Może teraz wolałby, żeby zerwała, w chwili gdy jego restauracja w Londynie odnosiła wielki sukces. W ten sposób, myślała, mógłby odczuć stratę Klary i opłakać ją, a potem pójść naprzód, może znajdując kogoś innego. Wiedziała, jak nienawidził samotnego układania się do snu w tym łóżku w kształcie sań w mieszkaniu nad restauracją, w którym mieli mieszkać wspólnie. Raz, leżąc w tym łóżku z Klarą, próbował opisać jej samotność jedynaka, oraz to, jak zupełnie czymś innym było doświadczenie bycia z kimś. Klara myślała o tym samotnym dziecku i o tym, jak potem stało się samotnym mężczyzną. Czy tego potajemnie pragnął Martin, może sam nawet o tym nie wiedząc? Czy też ona potrzebowała to sobie powiedzieć, w to chciała wierzyć, aby pozwolić Martinowi odejść? Nawet jeśli on tego nie chciał, zaczęło przychodzić jej na myśl, to może i tak powinna mu to dać - może powinna to na nim wymusić. Martin sam nigdy jej nie opuści; będzie musiał zostać wypchnięty w świat. Martin czuł się najlepiej, mając przy sobie kobietę, kogoś, komu mógł wszystko opowiadać, kogoś, kto go dotykał; o tym jej mówił raz po raz. Potrzebował pocieszenia i choć pragnęła być tą, która mu je daje, nie mogła, przynajmniej nie dość często, i nie wiedziała, kiedy będzie mogło być inaczej.

Pocieszenie - to było coś, czego i Klara potrzebowała.

I wtedy pomyślała o Danielu Cluskerze - jego jasnych rzęsach, nieśmiałości, dbałości. Czy on by się nadawał? Może tak.

Było to dwa miesiące wcześniej. Od tego czasu wiele się wydarzyło. Klara pozwoliła Danielowi ofiarować sobie bukiet frezji i pudełko cukierków toffi, a nawet - jak na ironię - śmieszny kapelusz tyrolski, który zobaczył na miejscowym jarmarku i pomyślał, że jej się spodoba. Nie

wiedział, że nigdy nie nosi kapeluszy. Zdała sobie sprawę, że w ogóle niewiele o niej wiedział.

Któregoś popołudnia Daniel odebrał Klarę z pracy i odwiózł do domu, i przez całą drogę żadne z nich się nie odzywało, jakby o czymś wiedzieli, lecz nie chcieli przyznać tego wprost. Kiedy zatrzymał samochód przed jej domem, odwrócił się do niej, przez chwilę zbierał odwagę, a potem pochylił się przez siedzenie i mocno pocałował ją w usta.

Klara zamknęła oczy, kiedy to robił, nie dlatego że tak powinno się robić w czasie pocałunku, ale ponieważ nie mogła patrzeć na tę sekwencję zdarzeń, którą uruchomiła.

3 lipca 1956

Drogi Martinie,

Piszę, żeby cię powiadomić, że Klara wychodzi za mąż tutaj, w starym kamiennym kościele przy Glimmer Road, siedemnastego lipca o jedenastej. Wiem, jakie to musi być dla ciebie straszne, ale pomyślałem, że będziesz chciał znać datę. Przykro mi, Martin, naprawdę. Jak zawsze oddany

Hush

Choć ona nigdy się o tym nie dowiedziała, Martin przyjechał do miasta i stał naprzeciw małego wiejskiego kościółka, gdzie Klara i Daniel właśnie brali ślub. Obserwował, jak nowożeńcy wychodzili przez drzwi kościoła i widział, jak przyjaciele i rodzina zasypali ich małą burzą ryżu. Daniel Clusker był rudowłosym mężczyzną o jasnej, piegowatej skórze. Otoczył swoją nowo poślubioną pannę młodą ramionami i pocałował ją mocno w usta, na co Martin patrzył niemal zamroczony. Błądą twarz Klary pokrywał rumieniec, włosy ozdabiały lilie, a sukienka była długa, biała i prosta. Jej siostrzeńcy - bliźniaki Margaret - bawili się

na schodach starego kościoła, zbierając ryż i rzucając nim w siebie. Był tam też ojciec Klary, ubrany w żakiet, któremu pomagali dwaj młodzi, silni mężczyźni. Stan zdrowia Lucasa Swifta znacznie się pogorszył, jak widział Martin, obserwując starszego pana stawiającego parę uważnych, sztywnych kroków, z powodu swych artretycznych kolan.

Daniel Clusker wraz z żoną wsiedli do samochodu, który czekał na nich przed kościołem. *Klara Clusker*, pomyślał Martin gorzko, stojąc za sykomorą. Cóż za niezgrabne, przewrotne nazwisko. Ukrył się za zasłoną gęstych gałęzi i obserwował, jak państwo młodzi odjeżdżają razem, a sznur puszek, przywiązanych do zderzaka samochodu, hałaśliwie dzwoni.

Następnego wieczoru Martin wrócił do Londynu. W samolocie spał twardo, z głową opartą o okno, nie słysząc nawet stewardesy, która podeszła, oferując wybór dań obiadowych z karty. A kiedy samolot wylądował, udał się wprost do restauracji, nie zadając sobie nawet trudu, by wstąpić do mieszkania, ogolić się, wykapać, czy sprawdzić korespondencję. Gotowanie mu pomoże, tak myślał; ono odpędzi wszystko inne z jego umysłu; jedyną sprawą, jaka pozostanie, będzie to, czy sos, który miesza, jest dość słony.

Później, w trakcie gorączkowego wieczoru wszedł kelner, mówiąc, że pani Banks je kolację z córką i zastanawia się, czy pan Rayflel mógłby wyjść do nich i się przywitać.

- Przykro mi - zaczął Martin, jak wcześniej. - Proszę, powiedz jej ... - Przerwał, przypominając sobie, jak wyglądała Klara w dniu swojego ślubu, z mocnymi rumieńcami na policzkach i włosami powiewającymi wokół głowy. - Po-

wiedz jej, że zaraz podejde. - Odłożył chochlę, wytarł ręce w ścierkę do naczyń i przeszedł przez drzwi wahadłowe.

Frances Banks siedziała ze swoją sześciolletnią córką przy narożnym stole i obie jadły na deser domowe lody z jagodami. Gdy Martin podszedł, odłożyła łyżeczkę i powiedziała do dziewczynki:

- Popatrz, kochanie, ten pan jest szefem kuchni - przerwała, a potem uśmiechnęła się chytrze, dodając: - Rozpaczliwie potrzebuje golenia.

W ciągu tygodnia Martin został zaproszony do jej domu w Bloomsbury. Było to przestronne miejsce, zarzucone książkami, które należały do jej nieżyjącego męża, a także mnóstwem ubranek i mebelków dla lalek Louisy. W kącie pokoju Martin spostrzegł rzeźbę z brązu, przedstawiającą matkę i dziecko. Klarze bardzo by się ona podobała, pomyślał. Frances zauważyła, że się wpatruje w rzeźbę i zapytała, o czym myśli.

- O niczym - odpowiedział. Potem zwrócił się do niej i spokojnym, lekkim głosem rzekł: - Chodźmy do łóżka.

Frances miała już męża i urodziła dziecko. Była osobą doświadczoną, ukształtowaną życiowo i seksualnie. Martin leżał z nią na jej ogromnym piernacie i myślał o łóżku w kształcie sań, w którym kochali się z Klarą. Przestań, powiedział do siebie. Przestań myśleć o Klarze. Bo z pewnością ona, która zgodnie z informacjami Husha spędzała właśnie miesiąc miodowy w hotelu w Pensylwanii, nie myślała o Martinie, leżąc w łóżku z Danielem Cluskerem. A może jednak myślała? Ta myśl przyszła mu do głowy, kiedy całował i pieścił nieznajome, ciepłe ciało Frances Banks. Miała pełniejsze biodra i piersi niż Klara. Wszystko było w niej dojrzałe, bardziej zmysłowe, a jednak to Klara wywoływała drżenie. Klara budziła oddźwięk nawet wtedy, gdy Martin kochał się z tą nową kobietą w jej domu w Bloomsbury.

- Och, Klara! - wyrwało mu się w lekkim, zduszonym okrzyku w czasie miłosnego aktu tej pierwszej nocy z Frances. Usłyszała, a on poczuł się zażenowany.

- Nic nie szkodzi - zapewniała go później, kiedy leżeli, popijając wino, które wcześniej wstawiła do miedzianego wiaderka z topniejącym lodem, umieszczając je obok łóżka. - Wiem o niej. - Zapaliła papierosa zapalniczką z inicjałami swego zmarłego męża.

Uniósł brwi, zdumiony.

- Tak?

- Popytałam tu i tam - odrzekła Francis. - Próbowałam dowiedzieć się, dlaczego mnie unikasz. I starszy kelner mi wyjaśnił.

- Skąd on o tym wiedział?

- Och, mówił, że wiele osób o tym wie. Twój przyjaciel, Duncan Lear, był może wspaniałym człowiekiem, ale najwyraźniej nie należał do najbardziej dyskretnych.

Martin uniósł się na łokciu i popatrzył na nią.

- Więc co o tym wszystkim myślisz? - zapytał. Wzruszyła ramionami i odgarnęła włosy z twarzy.

- Myślę - zaczęła - że jestem kobietą zbyt młodą, by na wieki zostać wdową. Mam tylko trzydzieści lat.

- Ja mam dwadzieścia cztery - powiedział Martin.

- To nie ma znaczenia - odrzekła Frances. - Nie musimy być dokładnie tacy sami.

Pani Frances Banks wyznała, że nie jest taka jak on, ani on taki jak ona, i że to nie ma dla niej znaczenia, mówiła jednak coś więcej. Dawała mu znać, że chce dojść z nim do porozumienia. Mógł wykrzykiwać w łóżku imię innej kobiety i to jej nie przeszkadzało. Pociągał ją i ujmował, chciała, żeby z nią był, uczynił ją mniej samotną i zastąpił ojca jej małej córce.

To miała być umowa, i prawdopodobnie tak samo było pomiędzy Klarą i Danielem Cluskerem. Dotrzymywał jej towarzystwa, czynił życie w Longwood Falls bardziej znośnym. Martin miał nadzieję, że Klara zaznaje trochę szczęścia, że Daniel jest dla niej cudowny. Miał też nadzieję, że nadal rzeźbi, że nigdy tego nie przestała.

Z tak wielu rzeczy zrezygnowali, myślał Martin, zdumiony w tym nowym łóżku: ze ślubu, którego nigdy nie wezmą z Klarą, z dzieci, których nigdy nie będą mieć - z jej jasną cerą i jego ciemnymi oczami. „Nasze dzieci będą artystycznie utalentowane - powiedziała kiedyś, dawno temu Klara - i będą równocześnie świetnymi kucharzami”.

- Żal mi ich - zareagował wtedy Martin - Artyści kucharze. Nie będą mieć łatwego życia.

- Nie - przyznała Klara. - Chyba nie. Ale kiedy my się zestarzejemy, będą gotować dla nas łagodne, lekkostrawne potrawy i w bardzo twórczy sposób układać je na talerzu.

Teraz niemal widział te dzieci-zjawy, których nigdy nie pozna, ani nie podrzuci w powietrze, nie zaprowadzi pierwszego dnia do szkoły, nie poniesie na ramionach ponad tłumem ludzi. Córka Frances była uroczą, nieśmiałą sześciolletnią dziewczynką, z grubym warkoczem kasztanowatych włosów swojej matki i czymś żalnym w kącikach ust i oczu, wskutek utraty ojca, gdy miała zaledwie dwa latka. Martin polubił Louise i wiedział, że jeśli zostanie w życiu Frances, stanie się faktycznie ojcem tej małej dziewczynki. To nie wydawało się takim złym pomysłem. Nie mógł obiecać Frances słońca, księżyca ani gwiazd, lecz ona też o nie nie prosiła. Widać wielką miłością jej własnego życia było uczucie do zmarłego męża Jamesa, filozofa naukowca, z którym studiowała na uniwersytecie Cambridge i którego uwielbiała aż do dnia jego śmierci.

Teraz nie oczekiwała namiętnej miłości ze strony Martina. To prawda, że pragnęła namiętności, i prawdą było też, że oczekiwała czegoś przypominającego miłość, ale te dwie rzeczy, jak zrozumiał Martin, nie musiały być podane w jednym wielkim daniu. Przyjmie to, co dostanie, i tak samo on. Zawarli umowę. Kiedy Martin Joseph Rayfiel zaślubił Frances Antonię Banks podczas skromnej uroczystości w dobrze utrzymanym kościele anglikańskim w Londynie, 18 sierpnia 1956 roku -w miesiąc po ślubie Klary - nie wysłał przez ocean zawiadomienia miłości swego życia. To byłoby okrutne. Wciąż był zły na Klarę za to, że rozpoczęła ten łańcuch wydarzeń, lecz już jej o to nie winił. Teraz dostrzegał w tym dziwny rodzaj sensu. Podczas miesiąca miodowego Martina i Frances, spędzonego w Positano, zatrzymali się w pięknym domu nad wodą. W pobliżu rosły drzewka cytrynowe, i zapach ich owoców przypominał mu Klarę. Ten aromat nawiedzał go nawet w trakcie własnego miesiąca miodowego, jakby ona była duchem przechadzającym się po wyłożonych terakotą pokojach tego domu. Ale Klara nie należała do świata duchów; była żywą, oddychającą kobietą, kimś, kogo nie mógł mieć. Martin dużo pił w czasie swego miesiąca miodowego i często siadywał na dworze, pałac, którego to nałogu zwykle nie znosił. Frances musiała wołać go do środka.

- Jest już ciemno - mówiła podchodząc do niego z tyłu i otaczając jego szyję luźnym objęciem. - Czy nie wróciłbyś do domu na noc?

Martin wstawał niechętnie, gasząc papierosa i wdychając cytrusowy zapach otaczających go drzew - zapach, który dobrze znał i głęboko kochał - a potem odwracał się i wchodził do środka z kobietą, która była jego żoną.

10

Abby dowiedziała się o małżeństwach Klary i Martina w samym środku nocy. Kiedy usłyszała tę wiadomość z taśmy, musiała wstać i przemaszerować po cichych korytarzach redakcji. Chodziła tam i z powrotem, nie mogąc usiedzieć w miejscu. We wszystkich pokojach światła wyłączono, a ekrany monitorów rozbłyskiwały tańczącym wzorem z programu oszczędzającego ekran, albo były zupełnie wygaszone. Wszyscy pracownicy gazety przebywali w domach, w większości głęboko uśpieni u boku męża, żony czy kochanka. Abby pomyślała, czy nie spakować rzeczy i nie wrócić do domu na noc, ale nie mogła teraz przerwać. Oczywiście, paliła ją ciekawość. Wiedziała, że patrząc w oczy postaci na tych fotografiach sprzed pięćdziesięciu lat, już nie potrafiła powiedzieć, jak ta historia się skończy. Nurtowało ją jednak coś więcej niż sama ciekawość. Była też zła na Klarę.

Klara mogła przecież wrócić. Klara powinna była wrócić. Sama Abby została w Longwood Falls, ponieważ chciała zachować „Kronikę” i pracę swego ojca - ale także dlatego, że nic jej nie zatrzymywało w Nowym Jorku. W każdym razie nic, czemu pozwoliłaby się zatrzymać. Sporadyczny telefon od rozczochanego młodego pediatry się nie liczył. Jednak Klara miała Martina. W Londynie czekało na nią życie. Abby nie potrafiła zrozumieć logiki decyzji Klary, żeby przede wszystkim opiekować się ojcem, ani jej decyzji, by wyjść za mąż za Daniela, ani też kopiującej ją decyzji Martina o poślubieniu Frances Banks. A one tym właśnie były - decyzjami opartymi na logice, życiem prowadzonym zgodnie z wymaganiami rozsądku, podczas gdy związek Klary i Martina opierał się na miłości. Miłość czy logika i rozsądek - do tego wszystko się sprowadzało. Abby czuła, że broniłaby tego, co łączyło Klarę i Martina, pragnąc być z nimi wiele lat wcześniej, by móc im doradzić, ostrzec ich: Nie róbcie tego, kiedy mieli brać ślub z tym innym mężczyzną i inną kobietą.

Wróciła do swojego pokoju i znów zajrzała do aktówki. Znalazła cynowy pierścionek z małym zielonym oczkiem - pierścionek z deseru *Tajemnica* w kawiarni w południowej Francji sprzed tylu lat. Potem wyjęła zawiadomienie o ślubie z „Kroniki Falls” - tej samej gazety, którą teraz prowadzi - pożółkłe i wystrzępione, sprzed czterdziestu lat, włożone pomiędzy dwa kawałki plastiku, informujące o ślubie Klary Swift i Daniela Cluskera. Znalazła też drugie zawiadomienie o ślubie - znacznie większe, ze zdjęciem powyżej - z rubryki towarzyskiej londyńskiej gazety o miesiąc późniejsze, przedstawiające Martina pozującego obok fantastycznie atrakcyjnej kobiety. Obydwoje wyglądali na melancholijnych i zamyślonych. Były także wycinki z kilku gazet londyńskich dotyczące restauracji

Martina, *Altanki*. Było jego zdjęcie w wysokiej czapce kucharskiej, stojącego z pieczoną dziką kaczką na srebrnym półmisku. Znalazło się też stare, postrzępione menu z jego restauracji, z datą 8 marca 1958 roku.

PRZYSTAWKI

Mrożona zupa melonowa, przyprawiona krystalicznym imbirem. Sałatka krewetkowa z porami, pomidorem i kolendrą. Sałatka z endywii, rukwi wodnej i pieczarek z pomarańczowo-musztardowym sosem winegret.

DANIA GŁÓWNE

Kurczak „Klara”, piersi kurczaka posypane orzeszkami, podawane na ryżu z porzeczkami. Klasyczny makaron z serem, w stylu amerykańskim, z przypiekaną bułką tartą. Befszyk z poledwicy, podawany z sosem z zielonego pieprzu i puree z ziemniaków i rzepy. Zapiekany homar, bez skorupy, z sojowo-miodowym przybraniem w stylu japońskim, podawany z aromatycznym ryżem.

DESERY

Sernik nowojorski na spodzie z ciasta grahamowego ze świeżymi jagodami. Napój brzoskwiniowy, podawany na ciepło z domowymi lodami imbirowymi. Wybór ciepłych ciasteczek Martina. Tort diabelski, trzywarstwowy, z lukrem słodko-gorzkawym i kremem angielskim.

Te posiłki przygotowano i podano przed ponad czterdziestu laty, ale Abby czuła, że potrafi sobie wyobrazić poszczególne smaki i Martina stojącego przy piecu, wbijającego krążek masła do garnka i obserwującego, jak się kręcił i topił. Kiedy jednak wyobraziła go sobie w jego pożyciu domowym, żonatego z Frances Banks i mieszkającego w Londynie z nią i jej córką, zobaczyła mężczyznę bez uśmiechu, o twarzy coraz bardziej wymizerowanej i zmęczonej z powodu rezygnacji, jaka pokierowała jego życiem.

Abby ostrożnie odłożyła na bok starą kartę dań, a pod nią znalazła zawiadomienie o narodzinach, z datą 3 kwietnia 1958 roku, wydrukowane na sztywnym papierze z delikatną różową ramką. „Państwo Klara i Daniel Cluskero-wie mają przyjemność zawiadomić o narodzinach córki, Alison Martiny Clusker, o wadze 3,2 kg”. Drugie imię dziecka spowodowało, że Abby wzięła głęboki wdech.

Powoli usiadła z powrotem w swoim fotelu. Może w Klarze było coś więcej niż sobie wyobrażała; może kryło się coś więcej w tej kobiecie, która w tak jawny sposób uhonorowała swoją osobistą przeszłość. Abby ponownie włączyła magnetofon. Nadszedł i minął środek nocy, jednak teraz wiedziała, że nie będzie spać aż do rana.

Alison Martina Clusker. Na pozór oba imiona były urocze i delikatne, pasujące do maleństwa, które miało bladą skórę oraz oczy i delikatne rysy swojej matki oraz puszek ja-snorudych włosów po ojcu Danielu. Jednak pod tymi zgłoskami krył się hołd Klary dla Martina. Klara otwarcie powiedziała Danielowi o Martinie, zanim zgodziła się wyjść za niego za mąż, mówiąc, że byli kiedyś kochankami, a mimo że teraz nie są, nadal zależy im na sobie w bardzo głęboki sposób i zawsze będą się spotykać w altance

raz w roku w rocznicę swego poznania. Daniel nie był zachwycony tym pomysłem, ale po prostu skinął głową i podziękował za to, że go powiadomiła, a potem nigdy więcej nie chciał do tego wracać. Oczywiście Daniel wiedział, dlaczego wybrała takie drugie imię dziecka. Połowa Longwood Falls wiedziała o tym, ale jeśli krążyły na ten temat jakieś plotki - a z pewnością tak było - do Klary nigdy one nie dotarły. Nikt nie ośmielił się rozgłaszać fałszywych opowieści, takich na przykład, że Martin - a nie Daniel - był prawdziwym ojcem dziecka.

Wystarczyło raz spojrzeć na wściekle rude włosy dziewczynki, by wiedzieć, że to śmieszne i niedorzeczne. Alison była na wskroś dzieckiem Daniela, lecz opowieści o romansie Klary z Martinem nadal snuto w Longwood Falls jako rodzaj miejscowej legendy: bogaty chłopak i biedna dziewczyna, którzy żyli za granicą w grzechu, próbowali wspólnego życia i ostatecznie im się nie powiodło, jak zresztą wszystkim grzesznikom.

Klara nigdy nie zdradziłaby Daniela z Martinem; nie było co do tego żadnych wątpliwości. A jednak jej głębsze poczucie wierności kierowało się ku Martinowi. To on był mężczyzną, który ją poznał. Zawsze będą siebie znali w ten sposób; nawet małżeństwo z inną osobą nie mogło tego zmienić.

W czasie ceremonii ślubnej Klara i Daniel przyrzekli sobie wierność. Chociaż nigdy nie była szczególnie poruszona ich stosunkami miłosnymi, to czuła jakiś rodzaj upewnienia, kiedy znajdowała się z nim w łóżku. Przychodził do domu pod koniec długiego dnia pracy w warsztacie i pachniał wiórkami cedrowymi - jakby pysznym, niemal jadalnym zapachem, myślała - i Klara również wracała z pracy. Czasem leżeli w wysokim łóżku w swym domu, a on podnosił się nad nią, jakby bojąc się, by nie zrobić jej krzywdy swym twardym ciałem robotnika. Miał piegową-

tą skórę, co początkowo trochę ją raziło, ale z czasem do tego przywykła. Był poważnym człowiekiem, kimś, kto mógłby całymi godzinami opowiadać o piłach stołowych i tarczowych, gdyby mu Klara na to pozwoliła - czego oczywiście nie robiła. Kochał się z nią jak jedna z jego pił: posuwając się tam i z powrotem w niemal mechanicznym rytmie. Nie przeszkadzało jej to - właściwie czasem było nawet przyjemne - ale tak niewiele przypominało przemożne doświadczenie miłosnego aktu z Martinem, że nie dawało się obu umieścić w jednej kategorii. Mimo to leżenie w łóżku z Danielem czyniło długie zimowe noce mniej samotnymi. Często cicho rozmawiali o tym, co robili w ciągu dnia, albo o jej ojcu, z którym Daniel bardzo się zżył, albo o maleństwie, które czasem przynosili do łóżka w środku nocy do karmienia.

Klara uwielbiała karmić Alison piersią, przepadała za pocieraniem i pociąganiem za sutek i obserwowaniem, jak mała wysysa mleko z imponującą chciwością. Dwa lata po rudowłosej Alison urodził im się syn Jonathan, a czternaście miesięcy później niespodziewane dziecko, drugi syn o imieniu Edward. Teraz Klara była otoczona ze wszech stron; tego właśnie chciała, czyż nie? Mieć te wszystkie bliskie osoby wokół siebie, istną polifonię życia w rodzinie. W miarę jak dzieci rosły, nadal potrzebowały mleka, tyle że czerpały je z wysokich, mokrych butelek, dostarczanych codziennie do domu o nieprzyzwoicie wczesnej porze. Szczególnie chłopcy opróżniali jedną szklanekę mleka za drugą. Szybko wyrosli, obaj wysportowani i o mocnych mięśniach. Edward, ulubieniec rodziny, wyglądał na najbardziej uczuciowego z całej trójki. Kiedy miał cztery lata, zapytał jej:

- Czy miłość ma jakiś kolor?
- Co masz na myśli, Edwardzie? - dociekała zdumiona jego pytaniem.

- No, wiesz, kiedy myślisz o miłości, czy widzisz jakiś kolor?
Klara przytaknęła.

- Zielony - powiedziała zwyczajnie, bo wyobraziła sobie trawę wokół altanki, bujną i zieloną każdego dwudziestego siódmego maja, gdy spotykali się tam z Martinem. Nie opuścili ani jednej rocznicy, nawet w latach, kiedy rodziła dzieci. Daniel nadal nie pochwalał tych spotkań w altance, ale nie próbował jej powstrzymać czy wpłynąć na zmianę decyzji. ,

- Cóż, nie mogę ci zabronić - mawiał. - A jeżeli jest to coś, co z jakiegoś powodu utrzymuje wszystko pozostałe, to chyba nie powinienem się skarżyć.

- Dziękuję - odpowiedziała cicho Klara. Daniel nie rozumiał, bo i skąd, ale i tak to zaakceptował. Pilnował, by tego dnia o zmierzchu być zawsze zajęтым, by nie znaleźć się nigdzie w pobliżu skweru miejskiego, bo nie chciał widzieć żony z tym mężczyzną, który ją wiązał. Powoli Daniel przyzwyczyił się do nieuchronności tego dnia. I także całe miasto przywykło do widoku Martina i Klary raz w roku siedzących razem w altance - dokładnie na widoku wszystkich. Plotki ustały.

Pewnego dnia przyszła do altanki w ósmym miesiącu ciąży i choć Martin słyszał, że Klara spodziewa się kolejnego dziecka - jego stary druh notariusz, Hush, wciąż do niego pisywał - wydawał się zszokowany jej wyglądem.

- Spójrz na siebie - powtarzał Martin. - Mój Boże, spójrz na siebie.

- Sprawiasz, że czuję się zażenowana - odpowiedziała Klara, ale skrycie cieszyła się jego reakcją. Lubiła być w ciąży, czując, jak jej ciało rośnie i zmienia się. Przypominało to posiadanie tajemnicy, o której wszyscy wiedzieli -paradoks, który właściwie nie miał sensu, a jednak istniał.

Piersi miała pełniejsze, blada skóra pozostawała przez cały czas zarumieniona, a włosy jakby bujniejsze. Brzuch był wypchnięty do przodu, a pępek wystający, co ją trochę kłopotowało. Przez środek brzucha przebiegał cienki, pionowy ślad złotych włosów. Czasem Klara stawiała przed lustrem i patrzyła na siebie, zdumiona tym, co się wewnątrz niej dzieje.

- Czy mogę dotknąć? - zapytał Martin. Przytaknęła i kiedy siedzieli obok siebie w altance, on wyciągnął ręce i położył obie dłonie na jej brzuchu. - Och - powiedział, gdy jego dłoń trafiła na napiętą skórę, a ona wiedziała, że tęsknił, by ją pocałować, zagarnąć ją swymi rękami, ustami, zagrzebać się znów w jej włosach i cytrusowym zapachu, ale nie cofnął ręki z jej brzucha. Ta dłoń dotykała ją tyle setek razy wcześniej, badała wszędzie, lekkimi, penetrującymi palcami, lecz teraz były one pełne szacunku i niemal nieśmiałe, bo znajdowały się na terytorium cudzym, nie własnym. Z zamkniętymi oczami ciężko wciągnął powietrze, jakby próbując się opanować. Pod napiętą skórą żyło dziecko kogoś innego, maleńka istota, która rozkwitała, rozkładała rączki, stając się powoli człowiekiem, dzieckiem swojej mamy i swojego ojca.

Martin trzymał nadal dłonie na krzywiźnie jej brzucha, kiedy dziecko kopnęło. Był wstrząśnięty, odsuwając na sekundę dłonie, jakby dotknął gorącego kamienia.

- Poruszyło się! - Szepnął z uśmiechem. Jednak doświadczył też czegoś innego, jakiegoś niewypowiedzianego smutku - było to jak krótki płomień, po którym nastąpił wielki zawód. Frances nie mogła począć kolejnego dziecka, choć wielokrotnie próbowali, co stanowiło źródło milczącego, trwałego smutku pomiędzy nimi. Nigdy dotąd nie czuł drżenia życia pod swoją dłonią. Klara wiedziała, że czasem wyobrażał sobie chwilę, kiedy położy

dłoń na jej brzuchu, jak to właśnie zrobił, czując jak dziecko porusza się i pływa, i drży w jej głębi. Tyle że małeństwo we wszystkich tamtych marzeniach było jego własne.

W 1965 roku piętnastoletnia córka Frances, doskonała amazonka, spadła z konia podczas jazdy na Hampstead Heath i uszkodziła trzy kręgi kręgosłupa. Lekarze mówili początkowo, że sytuacja jest bardzo poważna i obawiali się, czy w ogóle będzie mogła chodzić. Frances i Louisa przeniosły się jednak na sześć miesięcy na wieś, żeby dziewczyna mogła przebywać w klinice rehabilitacyjnej i tam bardzo powoli odzyskiwać sprawność. Dla całej ich trójki był to tragiczny czas, i chociaż Martin w każdy weekend przyjeżdżał do nich, a dzwonił codziennie, Frances skarżyła się, że bardziej mu zależy na restauracji niż na niej i córce.

- To nieprawda - tłumaczył cierpliwie, ale rozumiał, do czego zmierza Frances. Z powodzeniem mógłby rzucić restaurację dla rodziny - nie było wątpliwości - lecz restauracja i tak zawsze miała nad nim władzę. Kiedy pracował w ogromnej jasnej kuchni przemysłowej, którą w końcu przez lata dopasował dokładnie do swoich potrzeb, doświadczał stanu niemal medytacji. Reszta świata przestawała się dla niego liczyć - opuszczała go pamięć o sali pełnej wygłodniałych ludzi siedzących przy nakrytych obrusami stołach, czekających na przekąskę z rusztu albo sery, o córce, która uległa poważnemu wypadkowi i pięknej, wspaniałej żonie, która była tym bardzo przestraszona i czasami trudno ją było pocieszyć. Myślał natomiast wyłącznie o siekaniu, obieraniu, ucieraniu i mieszaniu. Jego dłonie poruszały się błyskawicznie, jak przed wielu laty

nauczyła go tego Nicole przy blacie kuchennym w domu jego rodziców, i wchodził w rodzaj transu. Kiedy gotował, czasem na jawie marzył o Klarze, wyobrażając ją sobie, gdy była młoda, nie miała zobowiązań i jeszcze należała do niego. Niekiedy zatracił się w tych myślach, całkowicie w nich się pogrążając i niemal wyobrażając sobie, że Klara jest nadal tą otwartą i optymistyczną dziewczyną bez kapelusza, a on aroganckim i namiętnym chłopakiem, który ją kocha.

Późno w nocy, kiedy wreszcie zamykano restaurację, kelnerzy odchodzili do domów, gaszono światła w chłodnej, przyćmionej, przypominającej altankę sali jadalnej, gdzie stoły już nakryto do lunchu następnego dnia, ciężkie srebro lekko lśniło, a szkło błyszczało, Martin wychodził głównym wyjściem na bruk Dobson Mews i kierował się do swego domu w Bloomsbury, pustego teraz, gdy Frances i Louisa wyjechały na wieś. Pierwszą jego myślą po wejściu do rozległego pokoju dziennego z rzędami książek i miękkimi białymi kanapami i dywanikami było to, jak bardzo to miejsce różniło się od mieszkania nad restauracją, gdzie planowali dalsze życie z Klarą. Po ślubie Martin wyprowadził się z niego do zbyt licznych pokoi w domu Frances. Lubił je, kiedy przebywali w nim razem. Frances była uczciwą, dobrą, odpowiedzialną kobietą i miał przy niej pewną swobodę. Grali na cztery ręce na fortepianie, czytali sobie nawzajem, chodzili do teatru, masowali sobie ramiona pod koniec dnia. Podzielali dumę z inteligencji i wdzięku Louisy, mieli krąg dobrych przyjaciół, innych małżeństw o podobnych zainteresowaniach i trybie życia. W sypialni siadał na brzegu wysokiego łóżka i powoli zdejmował ubranie, pozwalając, żeby buty i spodnie spadły na podłogę, a klamra od paska zabrzęczała. Wreszcie zrozumiał, że jego ciało było inne niż kiedyś - jakby tro-

chę spowolnione, mniej skuteczne w tym przebijaniu się przez świat. W czarnych włosach pojawiły się pojedyncze srebrne nitki - niezbyt wiele, tylko odrobinę, nadając mu dystyngowany wygląd odpowiedni dla szefa kuchni. Jednak temu, co oznaczała ta siwizna, nie dało się zaprzeczyć. Od dawna miał świadomość, że z każdym rokiem Klara staje się starsza, teraz jednak zaczął rozumieć, że i on się też starzeje, oraz to, że jego ciało będzie kontynuowało ów marsz pod górę, siwizna będzie gęstnieć, a on nadal nie będzie miał Klary.

Lucas Swift zmarł wskutek wylewu w swoim domu w 1966 roku, a jego córka Klara siedziała na krześle przy nim, do końca trzymając go za rękę. Kilka tygodni wcześniej miał mniejszy wylew i nie pozwolił się zawieźć do szpitala w Albany. „BEZ SENSU” - napisał drżącą ręką na bloku papieru, bo jego zdolność mówienia została zakłócona. Został więc w domu i Klara pomagała mu codziennie w ćwiczeniach, owijając jego palce wokół gumowej piłki i pomagając ją ścisnąć oraz próbując posadzić go w łóżku na kilka minut dziennie. Jednak brakowało mu woli walki. Jego żona Maureen odeszła dawno temu, a kiedy przekonał się, że istnieje szansa podążenia za nią, nie widział powodu, by walczyć z tym czymś, co wykręciło mu usta w trwały grymas, palce jednej ręki zgięło jak szpony i zmieniło umysł na podobieństwo rozkojarzone-go dziecka. Zostanie w domu przez resztę swego życia.

Reszta okazała się krótka, bo następny wylew zdarzył się kilka tygodni później i Klara znów wprowadziła się do ojca. Daniel opiekował się dziećmi i robił im obiady. Choć nie był dobrym kucharzem, potrafił ugotować prosty gulasz. Klara siedziała przy ojcu, trzymając jego rękę,

głaszcząc go i rozmawiając z nim o przeszłości. Kiedy umarł, pomyślała, że zrobiła to, o co prosiła ją matka, i jej zadanie zostało zakończone. Firma Remontowo-Porządko-wa Swiftów też miała ugruntowane podstawy, rozszerzywszy swój zasięg i zajmując część przestronnego magazynu na przechowywanie narzędzi i części oraz na biuro. Teraz, myślała Klara z pewną dozą ironii, mogłaby opuścić Longwood Falls i połączyć się z Martinem za oceanem. Jednak życie przypomina czasami wyszukaną grę w skoki przez gumę, w którą niegdyś całymi godzinami bawiła się z koleżankami na wyboistych chodnikach ulicy Badger -jeśli nie wskoczysz w odpowiednim momencie, możesz nie być w stanie w ogóle wskoczyć.

Kiedy z domu pogrzebowego Barkera przybył grabarz o nerwowym tiku, Klara ucałowała rękę ojca.

- Zawsze cię kochałam - powiedziała do niego cicho, a potem wstała i ruszyła z powrotem do domu, do męża i dzieci, którzy na nią czekali.

Dwudziestego szóstego maja 1968 roku Martin szedł ulicami Londynu, szukając taksówki na lotnisko. Londyn zupełnie się zmienił od czasu, gdy sprowadził się tutaj w latach pięćdziesiątych. Teraz pełen był nastolatków, muzyki, zbyt jaskrawych kolorów i całej gamy narkotyków, z czego nic szczególnie go nie interesowało, a za czym przepadała jego córka Louisa. Była błyskotliwą dziewczyną, która nosiła kuse minispódniczki, spędzała czas z hałaśliwymi chłopakami na motocyklach, bez przerwy puszczała te same piosenki rockowe i nakładała tak dużo czarnego tuszu wokół oczu, że wyglądała jak chory szop. Mimo to nie mógł jej mieć tego za złe, bo przeszła długie leczenie po wypadku podczas jazdy konnej, a te-

raz powróciła wreszcie do pełni zdrowia, więc postanowiła wyjść w świat i korzystać z życia, ile się da.

Nie chodzi o to, że Martin był staromodny; właśnie w poprzednim tygodniu John Lennon i Paul McCartney z grupą menedżerów przyszli na wieczorny posiłek do Altanki i Martin czuł podekscytowanie, wyglądając przez cały czas przez okrągłe okienko drzwi kuchennych. Ku jego satysfakcji obaj Beatlesi zmiotli do ostatniego kęsa podane potrawy. Pomyślał sobie: Muszę powiedzieć Klarze, bo miał ją wkrótce zobaczyć.

Chociaż Martin znajdował oparcie w swojej żonie i córce oraz w sukcesie zawodowym, i choć ukazywały się o nim różne artykuły w gazetach i czasopismach, a także miał właśnie wydać książkę kucharską *zatytułowaną Przepisy z Altanki*, to często doświadczał uczucia, jakby prowadził życie we śnie. Było tak, jakby jego śniące ja przebywało w Anglii, podczas gdy ja przebudzone i rzeczywiste przemierzało razem z Klarą wąskie uliczki Włoch.

Frances tolerowała coroczne wizyty Martina w Longwood Falls, choć nigdy jej się one nie podobały. Wiedziała, że są one „niewinne”, ale i tak czuła się zagrożona i miała w tym słuszość.

On uwielbiał widywanie się z Klarą; to ta chwila w ciągu całego roku czyniła go najszcześniejszym, prawdziwie żywym. Czy byłby równie szczęśliwy, gdyby byli razem przez cały czas?

Trudno powiedzieć. Frances zawsze trochę narzekała, zanim wyjechał, siedząc przed lustrem w dużej sypialni i podnosząc ciężkie włosy z szyi (przeszła od długiego warkocza z wcześniejszych lat do bardziej eleganckiego koka). Pytała:

- Czy ona jest ładniejsza niż ja? Czy o to chodzi?

- Nie - odpowiadał Martin, pakując teczkę i torbę podróżną. - Nie jest ładniejsza. Wcale.

- W takim razie jest mądrzejsza - zgadywała Frances.

- Nie skończyła nawet college'u - mówił Martin - a ty skończyłaś filozofię na Cambridge.

Frances lekko prychnęła.

- Dużo mi to daje - powiedziała. - Trudno mieć okazję do tego, by być filozofem, robiąc zakupy u Harrodsa.

- Ale to ty wybrałaś swoje życie - odparł. Frances spojrzała w lustro i ich oczy spotkały się.

- Tak - odrzekła. - Ty również wybrałeś swoje życie, Martinie.

- Mam tego pełną świadomość - zgodził się. - Czy nie jestem dobrym mężem? Czy nie spędzamy wspólnie miło czasu?

- Tak - przyznała. - Rzeczywiście. - I to była prawda.

- Chcę tylko raz w roku móc spokojnie wyjechać - powiedział. - Nie sędzę, żeby to było tak wiele, a jednak zawsze robisz o to zamieszanie.

- Przepraszam, kochanie - odezwała się Frances, a potem nagle wstała, odwróciła się do niego, całując go w same usta i zaskakując go. Jej pocałunki zawsze były intensywne, głębokie i absorbujące. Kątem oka widział ten uścisk w lustrze. Przestał pakować ubrania i odwzajemnił pocałunek, bo był jej mężem, i w końcu, mimo wszystko, także ją kochał.

Dzień później znalazł się znowu w Longwood Falls, wychodząc z peronu w kolejne ciepłe popołudnie. Świat tak bardzo się zmienił w ciągu lat sześćdziesiątych, lecz zmiany te zdawały się nie wpływać na ten zakątek. Tutaj nadal panowała senna atmosfera, brak pośpiechu. Najważniejszym doznaniem Martina, gdy wszedł na skwer, było: To jest miasto, gdzie mieszka Klara. Ta myśl pojawiła się w jego umyśle pierwsza, silniejsza od myśli, że jest to miasto, w którym on sam dorastał. Wspomnienia dzieciństwa szybko bladły, a obraz dużego, białego domu o śliskich posadzkach zaczynał się zacierać.

Kiedy jednak szedł ścieżką do altanki - tego dnia o pół godziny wcześniej, więc Klary jeszcze nie było - nagle dzieciństwo natarło na niego z całą siłą. Ojciec i matka szli ścieżką w jego kierunku. Nie było sposobu, by ich wyminąć; choć jeszcze go nie widzieli, szli wprost na niego, i poczuł, jak serce zaczyna mu bić coraz szybciej. Przez długie lata większość myśli o swoich rodzicach odkładał na bok, choć czasem mu się śnili. Czy oni śnili o nim, albo czy w ogóle o nim myśleli? Nigdy nie próbowali się z nim skontaktować, ze swoim jedynym synem, choć gdyby próbowali, nie wiedział, jak by postąpił. Teraz miał ich przed sobą, ojca i matkę, których nie widział przez piętnaście lat, i to przyprawiło go o szok. Przede wszystkim matka utyła; kiedyś była szczupłą blondynką, lecz alkohol spowodował, że stała się pospolita, jak dzieje się z każdym, kto oddaje się picciu. Oczy jej jakby odpływały, a krok był niepewny, nie dlatego że była pijana, ale ponieważ jej przemiana materii została wytrącona z równowagi. Oczywiście, miała kapelusz, tym razem w kolorze buraka, leżący płasko na głowie, jakby wylądował na niej z innej planety. Jednak bardziej zaskakująca zmiana zaszła w ojcu, który utracił swoją świetność, swoją jawną furję. Wyglądał jak słaby mężczyzna, który się zestarzał. Prawdopodobnie był nadal złym człowiekiem, nieżyczliwym i pełnym pragnienia odwetu na różnych postrzeganych przez siebie wrogach, ale gniew, który go kiedyś napędzał, został pogrzebany w twarzy starego człowieka. Włosy, niegdyś gęste i ciemne jak Martina, teraz się przerzedziły. Nie przetykały ich srebrne nitki jak u jego syna, lecz całe nabrały szarego odcienia, barwy wieku. Skórę pokrywały plamki, i poruszał się wolno. Nikt nie mógłby się poczuć zagrożony z powodu takiego człowieka, pomyślał Martin, i nie mógł uwierzyć, że tak dużą część swego dzieciństwa przeżył w strachu przed ojcem.

Raptem go zobaczyli. Wszystko zdarzyło się jednocześnie. Lucinda Rayfiel wciągnęła powietrze, ścisnęła rękę męża i powiedziała:

- Spójrz.

Zatrzymali się na dróżce, niecałe dwa metry od siebie. Rodzice patrzyli na swoje dziecko i on spotkał się z ich wzrokiem.

- Mamo - powiedział Martin. A potem pochylając głowę dodał: - Ojciec.

- Och, Martinie - odezwała się jego matka, wyrwała się do przodu i przycisnęła go do siebie. - Co tu robisz? - zapytała.

- Przyjechałem, żeby się zobaczyć z przyjaciółką - odpowiedział ostrożnym głosem.

- Och? Czy to dobra przyjaciółka? - spytała matka.

- Tak. Bardzo dobra.

- No, patrzcie tylko - ciągnęła matka. - Zupełnie dorosły i taki dystyngowany. - Otoczył ją ramieniem, głaszcząc po plecach, jakby pocieszał dziecko. A ona jak dziecko szlochała przy nim, jakby nagle, w tym momencie, zdała sobie sprawę, ile straciła przez te długie lata ich milczenia. W obliczu jej łez Ash Rayfiel zdawał się zmieszany, gmerał niepotrzebnie w kieszeniach, odwracał wzrok od tego przejawu emocji. Martin był po części wzruszony, po części nie. Nie miał ochoty płakać, ale czuł autentyczny żal z powodu utraty matki. Oczywiście, utracił ją na długo przed tym, zanim wyjechał do Europy.

Z Klarą było inaczej, ona była dobrą matką. Wiedział o tym od swego przyjaciela Husha, który nadal obowiązkowo przesyłał mu okresowe sprawozdania. Hush, mający teraz własne dziecko, o kilka lat młodsze od dzieci Klary, stwierdził, że Klara jest oddaną, niezmordowaną matką, wymyślającą szalone kostiumy na Halloween dla swoich dzieci, biorącą udział we

wszelkich szkolnych koncertach, w których one występują, dumnie słuchając każdego pisku ich klarnetu i zawsze gotową pomóc im w uczeniu się na pamięć wersetów sztuki teatralnej czy w przygotowaniu pracy z biologii albo fizyki, do której potrzeba fasoli czy kulek z waty. Była dla nich dostępna. Była na miejscu. Gdyby Martin i Klara mieli wspólnie dzieci, jak tego bardzo chcieli, byłaby do ich dyspozycji.

Matka Martina odsunęła się teraz i zobaczył, że miała przepaszający wyraz twarzy. W jej rozbieganych oczach i na policzkach zbyt czerwonych jak na róż i popękane naczynka było to wyraźnie widoczne.

- Och, Martinie - powiedziała. - Chciałabym móc zacząć od początku.

- Ja też - odpowiedział.

- Słyszeliśmy, że świetnie sobie radzisz - mówiła dalej Lucinda Rayfiel. - Mamy przyjaciół w Londynie; pamiętasz Babbingtonów z klubu - Billa i Normę?

Przytaknął, choć nie miał pojęcia, kto to taki.

- Kilka lat temu przeprowadzili się do Londynu i często piszą do nas, i donoszą, jaką ważną jesteś osobą - ciągnęła. - Raz nawet przesłali nam wycinek z londyńskiego „Timesa” o tobie!

Jesteśmy z ciebie ogromnie dumni, oczywiście, i chcieliśmy ci to powiedzieć, lecz twój ojciec uważał, że najlepiej ... - Tu jej głos się załamał; odwróciła wzrok. Teraz Ash patrzył wprost na Martina; jego oczy pozostały równie niewzruszone jak zawsze i sztywno odezwał się: - Uważałem, że najlepiej będzie zostawić cię twojemu własnemu stylowi życia i nie przeszkadzać. Nigdy nie lubiłeś, by się wtrącać. - To prawda, nigdy tego nie lubiłem - odpowiedział Martin, wiedział jednak, że to nie uprzejmość trzymała jego ojca z dala od niego, a raczej silna niechęć, niemal nienawiść. Nie było tego właściwie widać w jego obecnej po-

stawie, bo faktycznie został tylko starzejącym się, pochylonym mężczyzną w kosztownym ubraniu, lecz Martin wiedział, że była tam, tliła się pod powierzchnią.

- Czy przyjdiesz do domu? - odezwała się matka. - Alex czeka z samochodem za rogiem.

- A co się stało z Henrym? - zapytał Martin, przypominając sobie spokojnego szofera, obok którego zwykle siadał w bentleyu.

- Och, Henry zmarł przed wielu laty - odparła matka. - Nowotwór mózgu. To było naprawdę bardzo smutne.

- Przykro mi to słyszeć - odrzekł Martin. Gdyby wiedział, przyjechałby na pogrzeb i odwiedził żonę Henry'ego, która pracowała jako gospodyni gdzieś indziej na Crest. Henry nie żył, tak samo jak gruba kucharka szwajcarska, która miała obsesję na punkcie sera, by nie wspomnieć o ciotce i dwóch wujkach. - Nie mogę przyjść do domu, mam, przykro mi - ciągnął Martin. -

Muszę się teraz zobaczyć z przyjaciółką. Ale może wy przyjechalibyście kiedyś do Londynu i odwiedzili mnie. Wiem, że ty i tata lubicie podróżować. - Dziękuję, Martinie - powiedziała. - Teraz już właściwie dużo nie podróżujemy, ale może przyjedziemy. - Pocałował ją na pożegnanie, a ojciec krótko skinął głową, potem zaś poszli, wolno kontynuując spacer po skwerze. Wiedział, że nigdy nie przyjadą, by go odwiedzić w Londynie; czuł, że prawdopodobnie nie zobaczy ich więcej.

Martin usiadł w altance, wstrząśnięty, powoli powracając do normalnego stanu. Po chwili dołączyła do niego Klara. Jasne włosy przycięła krócej wokół twarzy, a jej ramiona rysowały się szczupło i delikatnie na tle bluzki w kolorze wanilii. Na szyi miała sznur jasnych koralików; prezent od córki Alison, jak poinformowała. - Wciąż pachniesz dokładnie tak samo - szepnęła jej w szyję. Odsunęła się i uśmiechnęła. Po drugiej stronie

trawnika stał jakiś mężczyzna i gapił się na nich. Od czasu do czasu ktoś to robił - rzucał krótkie spojrzenie na plato-niczną parę, która nadal spotykała się co roku. Nikt im jednak nie przeszkadzał ani nic nie mówił. Dzieci Klary zdawały się nic nie wiedzieć o Martinie.

- Wiesz, jak trudno teraz znaleźć to cytrusowe mydło? - mówiła Klara do Martina. - Musiałam przeszukiwać całą okolicę.

Drogeria Spicera przestała je sprzedawać i muszę teraz jeździć aż do Albany. Ale wiem, jak bardzo lubisz ten zapach.

- Rzeczywiście - potwierdził. - Dziękuję ci za te wyprawy do Albany. Kiedy siedzieli razem, ona opowiadała mu o swoim życiu w ciągu minionego roku, z czego część już znał dzięki listom Husha, ale udawał, że dowiaduje się o tym dopiero teraz.

- Czy w ogóle rzeźbisz? - dopytywał się.

- Czasem - odpowiadała wymijająco; zawsze była wymijająca, kiedy pytał o rzeźbienie. Może kłopotowało ją przypominanie o talencie, którego nie mogła ujrzeć w rozkwicie. Bał się, że w ogóle nie rzeźbi, lecz nie chce mu o tym powiedzieć. Nie drażył dalej tego tematu.

- Jak tam w Altance? - zapytała. - Mam na myśli tę, w której podaje się jedzenie. Już miał wejść w jakieś opowieści z życia restauracji i opowiedzieć o mającej się ukazać książce kucharskiej, lecz nagle poczuł, że nie może tego dłużej znieść. To przypominało próżne gadanie; widział ją tak rzadko i na tak krótko, że taka zwykła rozmowa stała się dla niego nie do pomyślenia. - Klaro - powiedział nagle - nie rozmawiajmy ze sobą jak dwoje nieznajomych w pociągu, którzy prowadzą uprzejmą konwersację. Proszę - dodał.

Pokiwała głową.

- Dobrze.

Przyglądał jej się uważnie przez dłuższą chwilę.

- Czy pamiętasz, jak pierwszy raz pojechaliśmy do Lookout? - zapytał.

Uśmiechnęła się, zarazem nieśmiało i ironicznie i powiedziała:

- Tamtego dnia straciłam czystość. Martin potrząsnął głową.

- Nawet teraz nie jesteś nieczysta. Nie wiem w ogóle, co to słowo oznacza.

Klara patrzyła w dół na podłogę altanki, zmagając się, by coś powiedzieć.

- Tamten dzień... - odezwała się. - To zmieniło moje życie.

Mimo że w końcu zamieszkała z powrotem w tym samym mieście, gdzie się urodziła, wyszła za mąż za mężczyznę z okolicy i pomagała w prowadzeniu firmy swego ojca - w istocie prowadząc żywot spokojny, a nawet przewidywalny, podobnie jak wielu znanych jej ludzi - czuła, że jej życie zostało tamtego dnia nieodwołalnie zmienione. To wszystko nie poszło na marne. Czasem Martin martwił się, że mogła myśleć, iż to wszystko było na nic, że to, co w krótkim czasie przeżyli wspólnie, okazało się bezcelowe.

- Więc nie żałujesz? - zapytał. - Tamtego dnia i tego, co wydarzyło się potem?

Klara popatrzyła na niego z dziwnym wyrazem twarzy.

- Wiesz, Martin - odrzekła - trudno mi uwierzyć, w to twoje przypuszczenie, że mogłabym żałować.

- Tak się cieszę, że to słyszę - odpowiedział i przez chwilę trzymał w dłoniach jej ręce, do czasu, kiedy musiała wracać do domu.

W 1975 roku najstarsze dziecko Klary, Alison Martina Clusker, mistrzyni w biegach drużyny Longwood Falls High

i niezwykle utalentowana rysownicza, została przyjęta do szkoły artystycznej w Nowym Jorku, otrzymując pokaźne stypendium. To było ogromne przeżycie dla Klary, która nigdy nie miała szansy na tak intensywne studiowanie sztuki. Ilekroć patrzyła na Alison przy sztalugach, które ustawiła na zatłoczonym poddaszu ich małego domu, czuła wzruszenie na myśl o tym, ile możliwości czeka jej córkę. Alison miała już chłopaka, pogrążonego w myślach Jeffa, który po szkole pracował w sklepie u Beckermana, podając miękkie lody z automatu. Klara starała się nie wchodzić w drogę Alison i Jeffowi, pozwalając im przesiadywać na przednim siedzeniu samochodu rodzinnego do późnej nocy i robić, Bóg wie co. Ostatnio jednak Alison wyglądała na nieszczęśliwą, czasem wybuchając głośnym płaczem. Zalewała się łzami przy kolacji bez widocznej przyczyny, odpychając talerz z jedzeniem i wypadając z pokoju. - Och, te nastolatki - łagodnie komentował Daniel. - Współczuję jej. Ale one wszystkie to przechodzą, prawda? Czy to nie jest jakiś rytuał przejścia? - Chyba - odparła Klara, lecz zmartwiła się. Kiedy pewnego wieczoru Alison odeszła od stołu we łzach po raz drugi w ciągu tygodnia, Klara zapukała do drzwi pokoju córki i zapytała, czy może wejść. Początkowo nie było odpowiedzi, a potem wreszcie Alison otworzyła drzwi z twarzą w smugi i zaczerwienioną od płaczu. - No, co? - odezwała się żałośnie do matki. Za nią znajdował się wypełniony plakatami pokój ze swym rozgardiaszem świeczek, książek, pędzli do malowania, kosmetyków do makijażu i stosami ubrań. Ułożona na siedzeniu krzesła leżała garsonka Klary od Chanel, w kolorze zielonego jabłka, którą Klara oddała córce, bo na nią już nie pasowała. Alison lubiła ją nosić, nazywając ją „dobry rocznik” albo „powrót”, i najczęściej zakładając do

niej chodaki oraz jakąś ciekawą biżuterię, którą zrobiła z drutu miedzianego i koralików na lekcjach plastyki w szkole.

- Chciałam się tylko upewnić, że nic ci nie jest, skarbie - powiedziała Klara. - Gdybyś chciała o czymś porozmawiać, będę

...

- Mamo - przerwała jej Alison - nie ma w tym nic, o czym mogłabym rozmawiać z tobą. To znaczy, spójrz tylko na siebie i tatę. Przecież wy nie przeżyliście niczego porównywalnego z tym, przez co ja przechodzę.

- Czyżby? - zapytała Klara.

- To jasne - odparła jej córka. - To, przez co ja przechodzę, wiąże się z ... miłością. Z odczuwaniem rzeczy tak bardzo, że czujesz się całkiem szalona w środku. Nie gniewaj się, ale to nie jest coś, co mogłabyś kiedykolwiek zrozumieć.

To wystarczyło, by powstrzymać Klarę od wejścia do pokoju, zatrzaśnięcia drzwi za sobą, posadzenia Alison na łóżku i odezwania się: „Posłuchaj, wiem dokładnie, o czym mówisz.

Twoja mama prowadziła potajemne życie miłości i namiętności takie, że wyskoczyłabyś ze skóry, dowiedziawszy się o tym". Jej córka by nie uwierzyła. Bo jakim cudem matka trójki dzieci, pani w średnim wieku - ta przeciętna, łagodna kobieta z małego miasteczka - mogłaby przeżywać takie namiętności? Czasem sama Klara zastanawiała się nad tym.

Więc teraz spojrzała tylko na córkę ze zrozumieniem i zakończyła:

- No, dobrze, gdybyś kiedykolwiek chciała pogadać, jestem na miejscu. - A potem wyszła z pokoju, wiedząc, że za kilka sekund Alison będzie rozmawiać z Jeffem przez telefon, szepcząc, krzycząc i śmiejąc się, i mrużąc rzeczy, których nikt inny nie powinien usłyszeć.

Kiedy w 1987 roku matka Martina zmarła na marskość wątroby wskutek chronicznego alkoholizmu, Hush zadzwonił do niego, a on przyjechał na pogrzeb i siedział wyprostowany w kościele. Wyobrażał sobie, że pojawią się szeptaki na temat jego powrotu, potem jednak zrozumiał, iż większość tych, którzy mogliby szeptać, już prawdopodobnie nie żyje. Dwa lata później, gdy Ash Rayfiel zmarł w swoim gabinecie w fabryce kapeluszy z powodu tętniaka, Martin nie przybył. Na pogrzebie, jak donoszono, pojawiło się bardzo mało osób. Dom na Crest został sprzedany, a całe pieniądze Rayfielów przekazano na rzecz uniwersytetu Princeton, gdzie jakiś nowy budynek miał zostać nazwany imieniem Asha Rayfiela. Martinowi było to obojętne; nie spodziewał się żadnych pieniędzy. Sam należał teraz do bardzo bogatych ludzi, własną pracą zdobył wielkie pieniądze, osiągnął ogromny sukces; pracował w zawodzie, który naprawdę kochał, i miał szeroki krąg przyjaciół w Londynie oraz na całym kontynencie. Co miesiąc razem z Frances zapraszali przyjaciół do restauracji i zasiadali przy jednym okrągłym stole, zostając przy nim do późnej nocy, śmiejąc się, pałaszując wielkie porcje, przechylając się w swych fotelach i spoglądając w górę na celujący w niebo sufit restauracji.

Żona i córka Martina rozkwitały. Frances jako wolontariuszka oprowadzała wycieczki po British Muséum, a Louisa, która ukończyła studia na uniwersytecie Cambridge, była teraz ku zaskoczeniu innych dziekanem wydziału filozofii, jak jej nieżyjący ojciec James. Już dawno temu porzuciła kuse spódniczki i makijaż szopa dla poważniejszej, acz również modnej garderoby.

Włosy Martina posiwiały zupełnie do czasu, gdy skończył pięćdziesiąt pięć lat. Kiedy tego roku pojawił się w al-

tanie, Klara szeroko otworzyła oczy. On nie zdawał sobie sprawy, jak dramatyczna zmiana nastąpiła w jego wyglądzie od poprzedniego roku.

- Czy wyglądam aż tak staro? - zapytał jej.

- Och, nie - powiedziała. - Wyglądasz po prostu na kogoś ważnego. Kim zawsze byłeś, oczywiście. Teraz tylko w to się wpasowałeś.

- Dziękuję - odrzekł. Trzymał jej dłoń i lekko gładził rękę o porozrzucanych piegach, których dotąd nie zauważył. Plamki wieku, pomyślał, ale nie przeszkadzały mu one. Dostarczały tylko wskazówki co do pięćdziesięciu pięciu lat Klary, tej pięknej kobiety, która starzała się, jak wszyscy pozostali. Kochał to, co było w niej niedoskonałe; kochał to, co prawdziwe. - Wiesz - wyznał cicho - nic nie uszczęśliwia mnie bardziej niż przyjeżdżanie tutaj.

- Mnie również - odparła.

- To śmieszne - mówił. - Obydwoje mamy tamto życie, prawda? Ty masz swoje dzieci i Daniela, i rodzinną firmę. Ja mam drugą *Altankę* - przez duże A - i żonę, i Lo-uisę filozofa, a mimo to kiedy przychodzimy tu, jest tak, jakby wszystko inne się nie liczyło.

- To prawda - potwierdziła. - Odczuwam to dokładnie tak samo. Siedzieli i opierali się o siebie, z rękami splecionymi, nie przejmując się, kto na nich patrzy. Ich dzieje przeszły już do historii. Martin podał Klarze dobry przepis na zimną zupę pomidorową ze szczypiorkiem, a ona w pewnym momencie podniosła jego dłoń do ust i ucałowała po kolei wszystkie koniuszki palców.

Obydwoje wyobrażali sobie, że będzie tak trwać w nie- skończoność: spotkanie raz w roku, rozmowy i trzymanie

się za rękę, informowanie się nawzajem, że miłość nadal trwa, tak jak zapach, i że nigdy nie odejdzie. Ale 27 maja 1998 roku sześćdziesięciosześcioletnia Klara była posepna, kiedy Martin wolno wchodził po schodkach altanki i usiadł obok niej.

- Co się stało? - zapytał przestraszony, lecz w sercu z pewnością musiał już wiedzieć.

Ona też się bała; nie wiedziała jak mu powiedzieć. Bała się tego dużo bardziej, niż konieczności powiadomienia o tym Daniela czy dzieci. Cluskerowie byli przynajmniej rodziną i to bliską; mogli chociaż radzić sobie z tym wspólnie. Lecz Martin nie miał przy sobie w Londynie nikogo, z kim mógłby o tym porozmawiać czy otwarcie płakać.

- Posłuchaj, Martinie - zaczęła - posłuchaj mnie teraz. -I zaczęła mu opowiadać o tym, co się stało.

Dziesięć tygodni wcześniej Klara i Daniel szykowali się do snu. On siedział po swojej stronie łóżka, wciągając górę od piżamy, a ona po swojej, nakładając krem nawilżający na twarz i zapinając nocną koszulę. Zachowywali w swoim małżeństwie swobodę, która z upływem lat jeszcze wzrosła. Odczuwała przywiązanie do tego nieśmiałego, pracowitego mężczyzny, który nadal, nawet w wieku sześćdziesięciu sześciu lat, wykonywał od czasu do czasu jakieś salto, jak to robił często w młodości. Był spokojnym i zrównoważonym mężem i dobrym ojcem dla ich trójki dzieci, które miały już teraz własne rodziny. Poważny Jonathan mieszkał w Północnej Kalifornii z żoną i córką i projektował oprogramowania komputerowe. Uczuciowy Edward z żoną, obydwój wiolonczeliści, mieszkali z dwoma synami w Bostonie, gdzie występowali w orkiestrze symfonicznej. A Alison Martina Clusker, która zachowała swoje panińskie nazwisko, wyszła za

mąż za ukochanego ze szkoły średniej, Jeffa, i mieszkali w Vermont wraz z trójką dzieci - dwiema dziewczynkami i chłopcem - ona była artystką, a on uczył w szkole. Życie Klary i Daniela wypełniały wnuki, przyjeżdżające do nich w odwiedziny na Boże Narodzenie i letnie wakacje. Klara nie widziała świata poza tymi dziećmi, a ostatniej zimy każdemu z nich zrobiła na drutach piękny szal z wełny we wszystkich kolorach tęczy. Tamtej nocy Klara siedziała przed snem na brzegu łóżka i jak co miesiąc podniosła jedną rękę nad głowę i zaczęła lekko dotykać piersi, sprawdzając, czy nie ma tam czegoś, czego być nie powinno. Zazwyczaj poświęcała temu zajęciu ledwie kilka chwil, tego wieczoru jednak coś kazało jej się zatrzymać. To było maleńkie, nie większe niż perła; może sobie tylko wyobraziła? Raz jeszcze obmacała lewą pierś z większą starannością.

- Daniel - wyszeptała - chyba coś znalazłam.

Operacja tylko częściowo się powiodła; lekarze powiedzieli, że rak rozszedł się już na węzły chłonne pod pachą. Gdy obudziła się w szpitalu w Albany, wystarczyło jej jedno spojrzenie na męża i już wiedziała. Miała teraz tylko jedną pierś, co ją smuciło. Daniel powiedział, że to nie ma znaczenia, liczył się tylko fakt, iż wraca do zdrowia, miała jednak silne poczucie, że tak nie jest. Seria chemioterapii bardzo ją osłabiła. Straciła na wadze, a kiedy rano patrzyła w lustro, z trudem siebie poznawała. Co dziwniejsze, wyglądała młodziej niż przez długi czas, raczej jak krucha dziewczyna niż starsza, chora kobieta w wieku sześćdziesięciu sześciu lat, którą faktycznie była. Rak nadal krążył w jej ciele - ten sam typ raka, który spowodował śmierć jej matki czterdzieści cztery lata wcześniej. Pamiętała cierpienie swojej mamy. Teraz często o tym myślała, o tym, jak oczy Maureen Swift błyszczą-

ły i jak odwracała głowę w bólu, nie chcąc, by Klara to widziała. Och, mam, myślała Klara, oto ja, kobieta po sześćdziesiątce, której nigdy nie spotkałaś, przechodzę dokładnie przez to, przez co ty przeszłaś. Powiedz mi, co powinnam zrobić. Ale oczywiście matka nie mogła dotrzeć do niej z odpowiedzią poprzez czas i przestrzeń. Klara musiała ją sama wymyślić. Chemioterapia okazała się tak uciążliwa, a szanse tak niewielkie, że postanowiła: dość. Nie podda się jej więcej.

Kiedy wyjaśniła swoją decyzję Danielowi, płakał i prosił, żeby się jeszcze raz zastanowiła. Trzymała jego głowę, kiedy szlochał i zapewniała go, że to słuszna decyzja i że choć będzie mu trudno, to poradzi sobie bez niej. Miał dzieci i wnuki, i całe miasto przyjaciół.

- Kochaliśmy się nawzajem - powiedziała mu.

- Tak - odrzekł Daniel - kochaliśmy się. I kochamy się nadal.

Jej choroba była trudnym tematem w rozmowie z mężem i dziećmi, ale jakoś to zrobiła. Jednak poinformować o tym Martina - to już była całkiem inna sprawa. Po operacji i chemioterapii, oraz po podjęciu decyzji, żeby nie kontynuować leczenia, Klara stanęła przed Martinem w altance i mówiła przez chwilę. On siedział i słuchał, a przez twarz co jakiś czas przemykał lekki grymas. Gdy skończyła, przez chwilę nie odpowiadał. Przerwa się przedłużyła, a potem Martin wziął głęboki wdech i ukląkł przed nią.

- Chcę, żebyś wiedziała - powiedział powoli - że jesteś nadal moją miłością. - Głos uwiązał mu w gardle. Włosy miał zupełnie siwe, a Klara, która omawiała swoją chorobę, swoją śmierć, mogła myśleć tylko o tym, jak zdumiewające i jak smutne jest to, że on również jest teraz sta-

ry - ten mężczyzna, którego włosy były kiedyś czarne, a twarz i ciało chłopięce, smukłe, pełne nadziei. - Nadal jesteś moją miłością - ciągnął - i cokolwiek zrobisz, wiedz, że jestem tuż przy tobie. A nawet jeśli będziesz się bać ... - głos Martina załamał się. Na chwilę przyłożył dłonie do twarzy i widziała, jak jego ramiona drżą. Potem uspokoił się i ponownie podniósł wzrok. - Nie będzie ani chwili, bym nie był z tobą - powiedział. Mocno trzymał jej rękę. - Pomyśl tylko o mojej dłoni w twojej - kontynuował - i o tym, jak to było, kiedy byliśmy razem. Tylko ty i ja, do szaleństwa zakochani. Pomyśl o tych wszystkich łózkach hotelowych w Europie, i tych obiadach, i długich spacerach. O całowaniu się przed każdym pomnikiem. Nigdy nie mieliśmy siebie dość.

- Nie, nie mieliśmy - przytaknęła, i ona teraz też płakała.

- To się nie skończy - mówił. - To nie skończy się ze śmiercią; jak mogłoby? Zawsze będę o tobie myślał, moja ukochana. A zanim i ja odejdę, znajdę jakiś sposób, żeby to, co mieliśmy - nasz wspólny czas - zostało zapamiętane. W ten sposób to przetrwa na tej ziemi.

Pochylili się do siebie i teraz szlochali otwarcie, szaleńczo, całując się, czując swoje twarze coraz bardziej mokre od łez, mocno otaczając jedno drugie ramionami.

- Kocham cię, Martinie - powiedziała do niego. - I kochałam cię od pierwszej chwili, gdy cię ujrzałam w tym właśnie miejscu.

- Ze spuchniętym okiem - zauważył.

- W mojej brzoskwińowej sukience. - Przerwała. - Co się stało z tymi dwojgiem ludzi? - zapytała, wspominając te dziesięciolecia, szmat czasu, jaki spędzili razem i osobno.

Martin przerwał.

- Nigdzie nie odeszli - szepnął cicho. - Są wciąż tutaj.

Kościół był pełen. Na pogrzeb Klary w lipcu przybyło tak wielu ludzi, że były tylko miejsca stojące. Martin dowiedział się o jej śmierci od Husha i w odrętwieniu przyleciał na pogrzeb, wchodząc do kościoła w ostatniej chwili i stając z tyłu, żeby mąż Klary go nie zobaczył, choć Martin nie wiedział, czy Daniel poznałby, że to on, gdyby go nawet ujrzał. Różni ludzie wstawali i wychodzili na podium, żeby powiedzieć kilka słów o tej zwyczajnej, a jednak niezwyklej kobiecie, która urodziła się, wychowała i zmarła w Longwood Falls. Widział jej dzieci - dwóch silnych, przystojnych synów i piękną córkę Alison, która tak bardzo przypominała Klarę, że Martin był wstrząśnięty. Gdy Alison wstała i zaczęła mówić, Martin wstrzymał oddech, bo miała głos identyczny jak Klara, tylko teraz drżący i na granicy łez. Córka Klary była już sporo starsza niż ona sama, kiedy Martin się w niej zakochał.

- Moja mama - zaczęła Alison po wejściu na podium - była osobą przeciętną. Od czasu do czasu rozwiązywała test w czasopiśmie kobiecym, typu: *Czy jesteś spostrzegawcza, Czy jesteś szalona*. I jej wynik okazywał się ... przeciętny. Zawsze się wściekała z tego powodu. - Po kościele przebiegł lekki śmiech. Alison uśmiechnęła się słabo, ocierając łzy chusteczką. - Oczywiście - kontynuowała - ci z nas, którzy dobrze znali mamę, doskonale rozumieją, że cała ta sprawa z „przeciętnością” jest po prostu śmieszna. Kto w tym kościele jest przeciętny? Kto nie ma czegoś, czego nie posiada nikt inny? Kto nie jest oryginalny? - Alison rozejrzała się po zgromadzeniu. - Jak każdy z nas tutaj, moja mama była oryginalna. Kiedyś wymyślała dla mnie i moich braci różne niesamowite kostiumy na Halloween. Pewnego roku Eddie chodził po okolicy od drzwi do drzwi przebrany za posąg *Dawida Michała Anioła*, z listkiem figowym, gdyby ktoś się zastanawiał. - Więcej

śmiechu. Przypuszczam, że czuła się niezrealizowaną, może nawet sfustrowaną artystką - mówiła Alison, - Ale wobec nas, dzieci, nigdy nie była sfrustrowana. Wyglądała na uginającą się pod ciężarem, udreńczoną, zabawną i zdumiewająco cierpliwą. Inne matki zawsze wydawały mi się trochę nadopiekuńcze, ale mama pozwalała nam być jakby ... wolnymi. I za to zawsze będę jej wdzięczna. - Alison przerwała, a łzy spływały jej po twarzy. - Żałuję, że byłam dla niej takim utrapieniem w okresie dojrzewania. Przykro mi, że nie zawsze zdawałam sobie sprawę z tego, jak wiele my wszyscy mamy do zaoferowania innym. Teraz pojmuję, że nie chodzi tylko o to, co ktoś robi w swoim życiu - o życiorys czy listę niewiarygodnych osiągnięć - ani nawet o to, czy dana osoba żyje w jakiś wspaniały sposób, o którym zawsze marzyła. Chodzi o to, czy człowiek decyduje się, czy też nie „udostępnić siebie”, żeby ludzie mogli się do niego przyłączyć. Czy szczerze daje siebie. A, jak wszyscy o tym wiemy, moja mama to robiła. I tak bardzo, bardzo żałuję wszystkich tych lat, kiedy byłam zbyt wielką ignorantką, by to dostrzec. - Alison przerwała, robiąc głęboki wdech, a potem opanowała się i ciągnęła.

- Jestem szczególnie wdzięczna za te ostatnie kilka lat, kiedy zobaczyłam, co moja mama może mi dać i trochę z tego wzięłam. I wszyscy z was tu obecnych też odrobinę z tego wzięli. Chciała tego, naprawdę tego chciała. Cóż stąd, że nie zyskała sławy na cały świat, że nie należała do nadzwyczaj błyskotliwych, że nie bywała tam w „wielkim świecie”, gdziekolwiek to jest. Była w tym świecie - w naszym świecie. Wszyscy mieliśmy ogromne szczęście, że byliśmy tu z nią.

Kiedy Alison skończyła mówić, usiadła cicho obok ojca i braci, którzy otoczyli ją ramieniem. Martinowi wydawało się, że na tym pogrzebie bezustannie leją się niekończące

się łzy - po prostu płynęły i płynęły. Na koniec trumnę Klary zasypano polnymi kwiatami, a potem nastąpiły hymny, które cała kongregacja śpiewała jakby jednym głosem. Martin czuł, że może zasłabnąć i upaść, więc oparł się o ścianę kościoła, słuchając muzyki i pozwalając, żeby łzy zalewały mu twarz i spływały po koszuli. Jestem z tobą, mówił do niej cicho, tak jak jej przyrzekł. Jestem tuż przy twoim boku. I nigdy, przenigdy niczego z tego nie zapomnę - kim byliśmy, co robiliśmy i jak pozostaliśmy dwojgiem ludzi, którzy kochali siebie nawzajem przez cały czas, najlepiej jak potrafili.

Gdy nabożeństwo się skończyło, ktoś otworzył na oścież podwójne drzwi, wpuszczając do środka dzień. W tym właśnie momencie Daniel Clusker wstał i popatrzył wprost na Martina, a Martin na niego. Po chwili Daniel skinął głową, uznając obecność Martina, jednak nie mówiąc ani słowa. Nie było gniewu czy zazdrości, po prostu cicha zgoda pomiędzy dwoma mężczyznami, którzy kochali tę samą kobietę. Po kilku sekundach Daniel odwrócił się, a ktoś go objął. W całym kościele ludzie stali i obejmowali się, nie chcąc jeszcze wychodzić, pragnąc zostać choć chwilę dłużej w chłodzie świątyni i unoszącym się wspomnieniu tej cudownej kobiety, która odeszła. Ale Martin Rayfiel nie mógł zostać. Zanim ktokolwiek spostrzegł, że tam był, pospieszył w światło słoneczne z Klarą u swego boku, trzymając ją za rękę.

11

Skończyła się ostatnia taśma z nagraniem. Wymawiając ostatnie słowa Martin jakby odetchnął z ulgą, a potem pozostała już tylko cisza. Abby wyciągnęła rękę, żeby wyłączyć magnetofon i przez chwilę nie potrafiła zrobić nic poza wpatrywaniem się niewidzącym wzrokiem za okno, gdzie nad skwerem wschodził kolejny świt.

Była zmęczona i straszliwie smutna, zatopiona w historii, którą usłyszała. Jednak na jej biurku nadal leżała otwarta aktówka Martina ze swymi mosiężnymi klamrami. Abby widziała, że w środku znajdowało się jeszcze kilka przedmiotów: przepis z nowej książki kucharskiej Martina, zawiadomienie o wykładzie filozoficznym, jaki jego córka wygłosiła w Cambridge, i wreszcie jakiś złożony kawałek papieru: WNIOSEK O PASZPORT USA. KLARA SWIFT. 28 MAJA 1952 R

Więc to poświadczenie tego dokumentu Klara otrzymała przed wielu laty bez aktu urodzenia. Abby już miała odło-

żyć kartkę na stosik rzeczy wyjętych z teczki w ciągu tej długiej nocy, ale raptem ją zastanowiło: dlaczego znalazła się tutaj, na dnie teczki? Wszystkie pozostałe przedmioty leżały mniej więcej w porządku chronologicznym, począwszy od kwitów z motelu Lookout przez różne zawiadomienia o narodzinach wnuków Klary. Martin w tak metodyczny sposób wszystko poukładał; to przeoczenie było do niego zupełnie niepodobne.

Abby przyjrzała się kartce uważnie. Przeczytała szczegóły wniosku, informacje o życiu, które Klara musiała podać, ale wszystko wydawało się w należyтым porządku: data urodzenia, adres przy ulicy Badger, imiona ojca i matki. Abby raz jeszcze to wszystko przeczytała, myśląc, że coś pominęła, przeszła przez każde słowo od góry do dołu i pieczęć notariusza, przezywanego Hush, który podjął ryzyko i pomógł Klarze w otrzymaniu paszportu, bo uważał, że miłość powinna mieć pierwszeństwo przed wszystkim innym. Abby badała pieczęć, przebiegając palcami po jej wypukłościach.

I wtedy zobaczyła. Pod pieczęcią znajdował się podpis, pełne nazwisko człowieka, którego Martin nazywał Hu-shem.

Thomas Reston - przeczytała, a jej ręka natychmiast uniosła się w zdumieniu do ust. Notariuszem był ojciec Abby.

Przed wielu laty jej własny ojciec był tak bardzo zakochany, że wyświadczył przysługę innej młodej parze. Abby wprost nie mogła w to uwierzyć. Zawsze uważała go za mężczyznę nieemocjonalnego i choć matka próbowała jej powiedzieć, że to wcale nie jest prawdą, Abby nie dała się przekonać. Hush - Tom Reston - był do szaleństwa zakochany w pewnej kobiecie - matce Abby. Zatem ich małżeństwo nie było nudne i pozbawione nuty szaleń-

stwa; dzielili namiętność i przemożne uczucia oraz przeżycia, których ich córka nie mogła poznać. Lecz oni je mieli rzeczywiście. Tyle wiedziała teraz. To prawda, że był małomówny - wyciszony, to było odpowiednie słowo - był jednak kimś więcej. Miał osobowość bardziej złożoną niż Abby potrafiła kiedykolwiek w pełni pojąć, a sposób, w jaki kochał jej matkę, Helen - a nawet samą Abby - był prywatny, cichy, ale pełen uczucia.

Nic dziwnego, że Martin wybrał Abby, by jej to wszystko opowiedzieć; nic dziwnego, iż nalegał, by jej właśnie pozostawić te wszystkie rzeczy i całą historię. Było tak, jakby ona i jej ojciec mieli wspólnego starego przyjaciela, choć nie wiedzieli o tym. Abby wstała i zaczęła zbierać papiery, które przez całą noc wyciągała z aktówki. Starła się odłożyć je z powrotem w takiej kolejności, w jakiej je znalazła, honorując nawet decyzję Martina Rayfiela, by wniosek paszportowy zostawić na dnie. Kiedy jednak podniosła pierwszy stos, by umieścić go z powrotem w teczce, zobaczyła jeszcze jeden przedmiot. Była to mała koperta, zaadresowana do Martina pismem, które wyglądało jak Klary, choć litery rozjeżdżały się nieco drżące, pająkowate, wyraźnie napisane pod koniec życia. Koperta była otwarta, a w niej znajdował się klucz.

Abby chwyciła go. Klucz wisiał na metalowym łańcuszku z kuleczek z etykietką, na której widniał napis: FIRMA REMONTOWO - PORZĄDKOWA SWIFTÓW, MAGAZYN B. Abby trzymała go w ręce, jakby ważąc, tak samo jak przed kilku godzinami sprawdzała ciężar pliku kaset. Nie zadawaj pytania, jeśli nie jesteś pewna, że chcesz poznać odpowiedź. Potem Abby wsunęła klucz do kieszeni. *Czemu nie?* - pomyślała. Przecież zaszła już tak daleko.

Drżąc lekko - nie widziała, czy to ze zmęczenia, czy z emocji - Abby włożyła papiery z powrotem do aktówki i ostrożnie ją zamknęła. Zgasiła lampkę na biurku i wstała. Szła korytarzem ozdobionym oprawionymi w ramki pierwszymi stronami „Kroniki”, ale nie wyszła jeszcze z redakcji. Zanim skierowała się przez skwer i kilka ulic do siedziby firmy Swiftów, musiała sprawdzić tu, na miejscu jeszcze jedną rzecz.

Zatrzymała się przy pokoju nazywanym biblioteką, gdzie przechowywano stare wydania gazety, tom po tomie, w zielonej oprawie z wybitymi złotymi literami na grzbiecie, bo gazeta została założona w 1846 roku. Abby wspięła się po drabinie i sięgnęła po tom oznaczony „Lipiec-grudzień 1998”. Szybko przerzucając kartki, znalazła to, czego szukała.

Klara dusker, 66 lat, zmarła wczoraj w domu po dzielnej walce z rakiem. Żona Daniela, matka trójki dzieci: Alison, Jonathana i Edwarda. Pani Clusker urodziła się i wychowała w Longwood Falls. Rodzina, którą pozostawiła, to mąż, dzieci, sześcioro wnuków, oraz jej siostra, pani Margaret Benton, także z Longwood Falls.

Pani Clusker Abby potrząsnęła lekko głową i czytała dalej.

Randall Devlin, 38 lat, zmarł w szpitalu rejonowym Schenectady w piątek, wskutek obrażeń doznanych w wypadku samochodowym. Pozostawił matkę, Ruth Devlin z Albany i brata, Matthew Devlina z Pensacoli na Florydzie.

Abby przerzuciła strony „Kroniki” szukając następnego dnia.

Przeczytała:

Sandra Cushing, 82 lata, zmarła na wylew w sobotę ...

Poniżej następowały kolejne nazwiska: Harold Starrett, i kolejnego dnia: Norman Bradford, Jenny McLoughlin, Louis Michaels. Dalszy dzień przyniósł: Mark Kibbing, Edgar Lomax, John Santino, a potem Abby zatrzasnęła tom. Odsunęła się o krok i popatrzyła w górę na ścianę tomów w bibliotece. Tu spoczywało życie i śmierć Longwood Falls, starannie uporządkowane i oprawione w skórę. To wszystko była prawda. A zarazem to wszystko było nie tak. Abby zamknęła drzwi biblioteki, przeszła cichym korytarzem, a potem otworzyła główne wejście do redakcji, wychodząc prosto w świt. Więc teraz jest dwudziesty ósmy maja, zrozumiała, i wydał jej się on pierwszym dniem roku. Skwer miejski pozostawał zupełnie nieruchomy, trawa mokra, altanka lśniąca. Minęła ją i skierowała się stromą uliczką, mijając wszystkie te domy z opuszczonymi jeszcze storami, ludźmi śpiącymi w ciepłych łózkach, czy też budzącymi się, stojącymi przy umywalkach i rozpoczynającymi nowy dzień. Nikt nie wiedział, co naprawdę działo się w domu sąsiada - czy też w życiu kogokolwiek innego, jeśli o to chodzi. Klara była tym wszystkim, co napisano o niej w nekrologu, ale też kimś więcej. W dniu jej śmierci Klarę Swift znano jako panią Klarę Clusker, żonę, matkę, babcię. Oczywiście, w rolach tych była godna podziwu, lecz one nawet nie dotykały żadnego z pozostałych elementów, które jej życie czyniły jedynym. Abby nie oddała sprawiedliwości swemu ojcu; on także jako redaktor „Kroniki” ubiegłego lata nie oddał sprawiedliwości Klarze w jej nekrologu. Wydrukował go, ale miał przecież tyle innych informacji i prawdopodobnie nie wiedział, co zrobić z tym wszystkim, o czym wiedział. Przemierzając te same ulice, którymi kiedyś chodziła Klara, mijając uliczki Badger i Conley,

szkołę podstawową i sklep z napojami, który wciąż nazywano „U Beckermana” - jakby zwiedzała całe życie Klary w przechadzce, która mogła być tropem życia kogokolwiek, kto mieszkał w Longwood Falls - zastanawiała się, jak ktokolwiek może choćby po części zrozumieć złożoność i sprzeczności w życiu innej osoby.

Wreszcie zatrzymała się przed budynkiem, w którym mieściła się Firma Swiftów, miejsce, które widywała przez większość swego życia, nie zauważając go, tak samo jak nigdy nie zauważyła tej kobiety, Klary, która tu żyła przez cały czas, kiedy Abby dorastała, i którą z pewnością wielokrotnie mijala na targu czy na skwerze. Dzieci Klary chodziły do tej samej szkoły co Abby, kilka lat przed nią, ale ich także nie znała. Teraz zobaczyła, że budynek jest zamknięty. Włożyła klucz do zamka; pasował. Ciężkie stalowe drzwi otworzyły się, skrzypiąc i Abby weszła do przyćmionej hali przemysłowej, z poczuciem oczekiwania i lęku zarazem. Sięgnęła do włącznika światła, ale go nie znalazła. Idąc po omacku wzdłuż ściany, przeszła przez cały korytarz docierając do jakichś drzwi. W półmroku udało jej się odczytać słowa MAGAZYN A. Szła dalej wzdłuż ściany, a następne drzwi okazały się tymi właściwymi. Raz jeszcze spróbowała otworzyć zamek kluczem i tu też się powiodło. Popchnęła ciężkie drzwi, które ustąpiły, a Abby z niemal całkowitych ciemności wkroczyła w prawie pełne światło.

Magazyn zalewało słońce. Okna były tu od podłogi do sufitu, wpuszczające dzień. Jednak najbardziej zaskoczyło Abby nie samo wnętrze, lecz to, co zawierało. Wszędzie w tym pokoju poustawiane były małe, starannie wykonane, piękne rzeźby: dorobek całego życia, pomyślała Abby.

Powoli krążyła po pomieszczeniu, przyglądając się małym figurkom, które rozpoznawała z opisów Martina -

Martin jako młody mężczyzna i Klara jako dziewczynka czytająca książkę, rzeźba wykonana z pamięci. Były tam rzeźby rodziców Klary, Lucasa i Maureen, sprzed wielu lat, i inna jej siostry Margaret jako nastolatki. Potem jednak Abby zobaczyła dalsze prace, których, jak powoli do niej dotarło, Klara nie mogła wykonać jako dziewczyna czy młoda kobieta: ona sama jako kobieta w średnim wieku, jej mąż Daniel z piłą do drewna, jej dzieci i wnuki. Popiersie Martina jako dojrzałego mężczyzny, o twarzy nieco zmęczonej i pociętej zmarszczkami, ale wyraźnie i bezsprzecznie należące do tego samego wrażliwego, uczuciowego, starszego pana, który pojawił się w progu pokoju Abby przed dwoma dniami, trzymając oburącz zniszczoną aktówkę. Zatem Klara sumiennie i wytrwale pracowała przez te wszystkie lata. Jednak nie zwierzyła się z tego Martinowi; dopiero pod koniec życia wysłała mu klucz i pozwoliła, by sam się o tym przekonał, tak samo jak Abby odkrywała to teraz. Klara chciała po prostu spokojnie pracować, w dużej mierze z pamięci, korzystając z tych chwil, jakie mogła wykraść tutaj, w magazynie B. Dzieło życia Martina było ze swej natury publiczne, pełne rozgłosu, na widoku; dzieło życia Klary pozostało potajemne, ukryte za zwykłymi metalowymi drzwiami budynku przemysłowego na skraju miasta.

Abby przyszło na myśl, że teraz ma dość materiału, wystarczająco dużo prowokującej, poruszającej treści, by wrócić do biura i zacząć pisać. Przełoży opowiedzianą przez Martina historię miłości na coś wyrazistego, długi artykuł, uzupełniony fotografiami, dokumentami i zdjęciami rzeźb Klary. Artykuł będzie przedstawiał trochę niezwykłą lokalną historię, ale też dokona czegoś więcej. Ukaże prawdziwe życie dwojga ludzi w tym mieście

i gdzie indziej, coś, co rzadko się uzewnętrzniało, bo życie ludzkie tak często jest zamknięte dla świata. Abby wiedziała, że ukazując to życie, pomoże Martinowi spełnić obietnicę daną Klarze: znaleźć sposób, by to, co mieli - ich wspólny czas - zostało zapamiętane. Teraz rozumiała, że Martin, wchodząc do jej pokoju, miał nadzieję, iż Abby to właśnie zrobi.

Zostać zapamiętanym i mieć życie warte zapamiętania: tego Abby pragnęła też dla siebie. Podobnie jak Klara, uważała siebie za dobrą, gorąco oddaną matkę. Jej ojciec prawdopodobnie byłby pod wrażeniem pracy, jaką Abby wykonywała w „Kronice”, nawet gdyby tego nie przyznał. Jednak obszar miłości w jej życiu nadal pozostał nie dokończony. W Nowym Jorku mieszkał pewien mężczyzna, próbujący sprawdzić, jak by to było pokochać Abby. Lecz ona nie pozwoliła mu się o tym przekonać. W przeciwieństwie do Klary i Martina, Abby zamknęła się na możliwości. A to przecież możliwości czynią z życia człowieka zdumiewającą historię.

Chciała po latach, jako znacznie już starsza osoba, móc spojrzeć wstecz na swoje życie i powiedzieć: Tak, zrobiłam to. I tamto. I to także. Chciała mieć fotografie, które będą o tym świadczyć, i listy, i dokumenty, i kolekcję biletów, kwitów, świecidełek. Abby postanowiła, że jeszcze tego dnia oddzwoni do tego miłego, przystojnego pediatry, Nicka Kellehera; jej córka Miranda będzie zachwycona. Może przypomni mu o jego propozycji, by przyjechać tu w któryś weekend i spotkać się z nią. Odległość pomiędzy Nowym Jorkiem a Longwood Falls nie była ani trochę tak zniechęcająca jak między Nowym Jorkiem a Londynem. Abby myślała teraz o Martinie podróżującym co roku tam i z powrotem przez ocean, wsiadającym do samolo-

tów, by pobyć z Klarą choć przez krótki czas. Chciała po wiedzieć Martinowi, jak bardzo podziwia to, co było udziałem jego i Klary, co jakoś razem osiągnęli, i ile to znaczyło osobiście dla Abby. Podejrzewała jednak, że nic będzie miała okazji mu tego powiedzieć - że odszedł

Jeśli znała Martina Rayliela - a zaczynała uważać, że go zna - to z pewnością opuścił już Longwood Falls. Pojechał z powrotem do Londynu, do swojej restauracji, żony i kręgu przyjaciół oraz klientów. Co więcej, wątpiła, by kiedykolwiek tu powrócił.

Oddał Abby - córce Husha - wszystko, co należało do niego i Klary, a jej pozostawił zrobienie z tym tego, co uważała za najlepsze. Długo stała w tym magazynie, tak długo, że w końcu usłyszała głosy w pobliżu - ludzie, którzy pracowali w Firmie Remontowo-Budowlanej Swiftów, przychodzili i zaczynali dzień, tak samo jak z pewnością zaczynali też schodzić się pracownicy redakcji „Kroniki”. Właśnie teraz Kim, recepcjonistka, nastawia ekspres do kawy, a ktoś inny prawdopodobnie wsuwa papier do zasobnika kopiarki.

Jednak Abby nie ruszyła się z miejsca. Będzie musiała wkrótce pójść, ale nie chciała jeszcze opuszczać tego świata, który odkryła w magazynie B. Zwlekała, pochylając się, by z bliska przyjrzeć się rzeźbom. Jedna z nich, znaleziona w kącie, była mniejsza od pozostałych i Abby podniosła ją, żeby lepiej zobaczyć. Na jej dłoni leżała jak małe pudełko na biżuterię: altanka. Nie dało się określić, jak dawno Klara ją wykonała, była jednak doskonałym, wiernym odzwierciedleniem ośmiu ażurowych ścian i spiczastego daszku. Abby wpatrywała się w nią, aż po chwili zobaczyła w środku ich dwoje - obydwójce tacy młodzi, Martin z ciemnymi włosami opadającymi na czoło, a Klara ze swą bladą cerą, w brzoskwiniowej letniej sukience. Opierali się o siebie, jak zawsze, i bez troski się śmiali.